I 266.968

Wiślickiego Adama
52 i 53.

Wydawnictwo Dzieł Tanich

MĄŻ LEONORY

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERYĘ MARRENÉ
(Morzkowską).

WARSZAWA
—
1883.

Cena kopiejek 24.

Mąż Leonory

Waleria Marrené

Wydawnictwo Dzieł Tanich A. Wiślickiego, Warszawa, 1883

Pobrano z Wikiźródeł dnia 1 listopada 2020

MĄŻ LEONORY

P O W I E Ś Ć

PRZEZ

WALERYĘ MARRENÉ
(Morzkowską).

WARSZAWA
Wydawnictwo Dzieł Tanich A. Wiślickiego.

1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава 18 Октября 1882 г.

Druk Przeglądu Tygodniowego ul. Czysta Nr. 2.

Miałem lat dwadzieścia jeden. Wchodziłem w życie, a życie to otwierało się dla mnie wszystkiemi ponętami strojne, nęciło barwami wymarzonemi w rozgorzałej głowie, w rozkołysanem sercu. Ojca straciłem w dzieciństwie. Byłem jedynakiem, chowała mnie matka tylko, z całą miłością wdowiego serca, z całą troskliwością i pieczą około jedynej drogiej istoty. I charakter mój wyrobił się pod jej wpływem wrażliwy, głęboki, kochający, z odcieniem kobiecej czułości, kobiecego nieprzewidywania, chwiejny, bo nie oparty na rozumie i woli, skłonny do cierpienia, bo oddany drugim i w zamian wymagający wiele.

Nie byłem zarozumiałym w zwykłem tego słowa znaczeniu, a jednak zarozumiałość moja była wielka; tylko na dnie ducha ukryta nie wybijała niczem na zewnątrz. Sądziłem żem bardzo dobry, szlachetny; ale wierzyłem także, że i drudzy są tacy. Chowano mnie w systematycznej

niewiadomości złego, bez pojęcia realnych warunków życia; a to com mógł sam dostrzedz w szczupłem otaczającem mnie kole, naginało się, przechodząc przez pryzmat mego wzroku, do tego w com wierzył.

Zresztą położenie, w jakiem los mnie postawił, sprzyjało wszelkim złudzeniom. Byłem młody, wykształcony, bogaty, świat uśmiechał się do mnie jak ja do niego i zdawał się usuwać przedemną trudności i zapory. Do owej chwili przynajmniej nie spotkałem się z żadnym zawodem; usposobienie samo strzegło mnie od niego. Wychowany w ciszy rodzinnego domu, lubiłem samotność i ciszę; gwar i tłum odstręczał mój umysł marzący, skłonny więcej do łagodnych uczuć, niż gwałtownych namiętności, przenoszący naukę i pracę nad rozrywki świata. A przecież....

Od czegoż mogłem być wówczas dalszy jak od przewidzenia przyszłych kolei życia? Gdyby jaki czarnoksiężnik ukazał mi je znienacka, byłbym rozśmiał się tylko z wróżb jego. Zresztą nie myślę się usprawiedliwiać; postanowiłem skreślić minione dalekie dzieje życia, z bezstronnością człowieka, któremu nie pozostaje już nic na świecie. Okoliczności były silniejsze od usposobienia mego, to jednak nie zmniejsza mej winy: wola ludzka powinna być silniejszą od okoliczności i usposobienia. Oskarżam się bezstronnie, roztrząsam i sądzę, jakiemi drogami, z umysłem szlachetnym i z sercem poczciwem doszedłem... gdziem doszedł.

Miałem lat dwadzieścia jeden w chwili gdy zawiązał się węzeł mego losu; przybyłem właśnie do Warszawy,

znaglony niespodzianym interesem. Dom handlowy, w którym matka moja umieściła znaczne kapitały, zbankrutował. Przyjechałem ocalić co się dało, ale bez owej palącej troski, jaką zwykle wzbudzają podobnego rodzaju katastrofy. Strata dotykała nas tylko w nadmiarze mienia; przyjąłem ją obojętnie bardzo. W pewnych indywidualnościach poszanowanie pieniądza jest zawsze sztuczne niejako, i wyrobić się tylko może potrzebą i brakiem; przez te próby nie przechodziłem dotąd. Nie wiedziałem jeszcze, że od tego marnego pieniądza zawisła miłość, przyjaźń, cześć i wiara ludzka, nie ceniłem go jak należy, a raczej ceniłem względnie jako sposób tylko, nie zaś jako cel i potęgę.

Byłem więc w Warszawie, nie po raz pierwszy, ale w porze, w której nie bywałem w niej nigdy: wczesną jesienią. Miasto wyludnione było ze wszystkich znajomych; zaledwie przyjechałem, już pilno mi było je opuścić, i chcąc zbyć interes jak najspieszniej, skierowałem kroki ku kantorowi domu bankowego na Nowym Świecie.

Było to jednego z owych chłodnych dni wrześniowych, zapowiadających zimę ostrym wiatrem, przysłonionych chmurami. Przed domem bankiera tłum był wielki, pospólstwo zaległo pół ulicy; z razu nie wiedziałem dla czego, aż zbliżywszy się, ujrzałem karawan stojący przed bramą i kilku żałobników.

— Kto umarł w tym domu? — zapytałem stojącej obok kobiety; bo pogrzeb był tak skromny, biedny nieledwie, że dziwnie mi się zdawał sprzecznym z wykwintną powierzchownością eleganckiego pałacu.

Ale nikt mi nie odpowiedział, bo wszystkich oczy w tej chwili zwróciły się na bramę, zkąd wynoszono zwyczajną czarną trumnę, a za nią ukazała się młoda kobieta w grubej żałobie, sama jedna. Teraz już nie ciekawość sama, ale litość przykuła mnie na miejscu, bo nigdy dotąd nie widziałem tak wielkiego a tak cichego cierpienia. A przecież oczy tej kobiety były suche, chód spokojny, wysoka postać nieugięta; tylko twarz jej była biała jak całun umarłego. Rysy jej delikatne, drobne, wypieszczone, teraz miały jakąś sztywność i martwotę dziwną; jak gdyby wyrobione były z wosku, straciły ruch i miękkość życia, nie tracąc nadzwyczajnej piękności. Oczy jej jasno niebieskie, przerażały surowym wyrazem nieszczęścia; usta wązkie były tak ścięte, że nie można ich było nawet wyobrazić sobie otwartych uśmiechem. Jakaś zgroza wiała od niej. Stała w miejscu jak posąg żałobny; skamieniała pod ciosami wewnętrznego gromu; nie było w niej już barwy krwi, ani życia; pozostały tylko kształty cudnie piękne. Jej włosy blado-złotego koloru i klasyczny profil objęty czarną krepą kapelusza, odcinał się martwo na matowem tle jego, a różowe nozdrza, zbyt może wykrojone, dodawały jeszcze ostrego wyrazu tej kameowej twarzy. Ta kobieta była więcej niż smutną, znać w niej było nieubłaganą rozpacz, osłupienie ze zbytku cierpienia; widocznie nie dotknęła jej jedna tylko strata, na raz musiała stracić wszystko co tylko posiadała i kochała. Teraz automatycznym ruchem szła za trumną. Gdy wkładano trumnę na karawan, zatrzymała się, powiodła wzrokiem w około, jakby pytała, czy prócz niej nikt nie odda ostatniej posługi zmartwieniu? i nie spotkała

żadnej ręki, na którejby się wesprzeć mogła. Więc z wolna, otulając się fałdami czarnego szala przed zimnym, przeraźliwym wiatrem, który niemiłosierny zerwał się gwałtownie, siekąc jej twarz drobnym deszczem, postępowała za karawanem.

W tej chwili z bramy pałacu wynurzyła się postać starca. Ubranie jego było liche i zaniedbane; twarz żółtawa barwą i wyrazem zdradzała człowieka, który wiek cały prześlęczał nad machinalną biurową pracą; nie było inteligencyi w rysach jego zatartych i pospolitych, ale natomiast jaśniały one pierwotną poczciwością. Oczy zapłakane ocierał kraciastą chustką, pod pachą niósł wielki niebieski parasol i szedł z daleka za młodą kobietą. Kilka razy zbliżał się do niej i cofał się, jakby chciał a lękał się przemówić. Tymczasem deszcz padał coraz gęstszy, jak gdyby i niebo nie miało litości nad nędzą ludzką. Wówczas starzec nabierając nagle odwagi, roztoczył parasol nad jej głową. Spostrzegła go, ale twarz jej nie poruszyła się, nie zadrgała żadnym wyrazem; on postąpił krok jeszcze i nieśmiało podał jej ramię; wsparła się na niem i szli we dwoje po błotnistej ulicy, wśród chłodnego wilgotnego dnia, samotni za trumną.

Ja szedłem z dala za nimi; pociągnięty nieopisanem uczuciem litości, zajęcia; zapomniałem wejść do tego domu, zapomniałem o co bądź zapytać, i postępowałem za nimi przez miasto całe, przez rogatki aż na Powązki. Patrzałem jak ciało spuszczano do grobu, patrzałem jak zasypywano mogiłę; starzec schylił się i garść ziemi rzucił pobożnie na trumnę; kobieta klęczała bez ruchu i głosu,

może bez modlitwy nawet, jakby już wypłakała łzy wszystkie. A ja ogarniony widokiem tej boleści, myślałem jakby ulżyć, jakby okazać przynajmniej współczucie moje.

Przy wrotach cmentarza sprzedawano kwiaty i wieńce z nieśmiertelników, oddaliłem się na chwilę i zakupiłem najpiękniejsze. Gdym powrócił, grób już był zarównany a starzec stał przy młodej kobiecie i szeptał jej coś nachylony, jakby chciał odciągnąć ją z tego miejsca. Ale ona nie zdawała się go słyszeć i z rodzajem osłupienia spoglądała na mogiłę nie odznaczającą się niczem, która może pochłonęła całą jej miłość. Nie mogła powstać, siły jej były wyczerpane; może prócz tego grobu nie posiadała już nic na ziemi. Zbliżyłem się do starca i oddałem mu wieńce moje, wskazując na klęczącą kobietę, bo nie śmiałem wręczyć ich jej samej; spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie mówiąc słowa, wziął je i włożył w ręce kobiety. Ona machinalnie, nie podnosząc na mnie oczu, wzięła je i ułożyła w kształcie krzyża na żółtym piasku mogiły. Dotąd nie zauważyła obecności mojej, nie spytała zkąd pochodził ten smutny dar nieśmiały; alem ja uczuł pewną ulgę, gdy ręce jej dotykały tych kwiatów, gdy choć tę pamiątkę zostawiła na grobie.

Starzec jednak nie spuszczał mnie z oka. Ja się nie kryłem, bo nic nie miałem do ukrycia; ale on snadź nie zrozumiał tego, bo czemprędzej uprowadził swoją towarzyszkę. Dorożka stała koło rogatek; zawołał jej, i usadowił w niej kobietę drżącą od zimna, w przemokłych sukniach; sam zawahał się czy ma usiąść koło niej, ale snadź jakaś myśl nowa przyszła mu do głowy, bo otworzył znowu drzwiczki przymknięte, wsiadł, starając się zająć jak

najmniej miejsca, cichym głosem dał adres woźnicy i dorożka szybkim kłusem potoczyła się ku miastu.

Ja pozostałem na miejscu, i dopiero po chwili potrafiłem zdać sobie sprawę z tego co się działo we mnie, dopiero po chwili podniosłem głowę i oglądając się w koło na pusty plac przed cmentarzem, wzruszyłem ramionami nad własnem szaleństwem, i przemokły, zziębły, zmęczony, szukając oczyma dorożki jak zbawczej przystani, skierowałem się napowrót ku miastu.

Ale mimo to, obraz nieznajomej utkwił głębiej niż sądziłem w myśli mojej, i mimowoli przed oczyma snuła mi się jej wysoka, żałobna postać, jej cudne wpół zmartwiałe rysy, gdy zwolna powracałem tą samą drogą, którą tak niebacznie przebiegłem jej śladem, a która teraz wydała mi się nieskończenie długą i nużącą. Warszawa jak zwykle w dni słotne, przybrała szary, brudny, posępny koloryt; przechodnie spieszyli nie oglądając się za siebie, obryzgani błotem; powozy mijały się szybko, a jak zwykle w podobnej chwili, żadnego wolnego spotkać nie mogłem. Rad nierad więc szedłem dalej, gdy nagle z maleńkiego dworku na Nalewkach spostrzegłem wychodzącego starca, który towarzyszył na cmentarz młodej kobiecie. Tym razem szedł on samotny, z tymże samym rozłożonym niebieskim parasolem, z tąż chustką kraciastą w ręku, tymże krokiem powolnym, zgarbiony, z wyrazem uległego smutku i ograniczenia na poczciwej twarzy.

Ta dziwna para intrygowała mnie coraz więcej. Co wspólnego być mogło pomiędzy tą wykwintną kobietą a tym pospolitym starcem? jaki mógł łączyć ich stosunek? I

po raz pierwszy myśl moja podbudzona, pracowała nad podobnym problematem. Sądząc z wieku, ona mogła być jego córką lub wnuczką, ale nie wiem czemu nie mogłem przyjąć tej myśli: ona była zbyt dumna a on zbyt pokornym, żaden rys przelotny nie jednoczył ich bądź to w wyrazie twarzy, bądź to w przywyknieniu lub ruchu. Rozmyślałem nad tem zwalniając kroku i miarkując go do chodu starca, który ze spuszczoną głową szedł przedemną. Ten człowiek jednem słowem mógł zaspokoić palącą ciekawość moją; ale jakże go było o to słowo zapytać? Szedłem za nim, by przynajmniej powziąść wiadomość o jego mieszkaniu i tym sposobem zupełnie nie zgubić śladu nieznajomej, gdy spostrzegłem, że stanęliśmy znowu na Nowym Świecie przed domem bankiera.

Widocznie nić tej powieści plątała się w moje życie, przyszłość winna mi była rozwiązanie obecnych zagadek, bo nieznajomy starzec wszedł do tego domu. Ja także teraz śmiało już wszedłem za nim. Obejrzał się w bramie, i teraz dopiero spostrzegł obecność moją, a twarz jego przybrała wyraz nieufny, przelękły niejako. Stał w bramie i czekał gdzie pójdę, wyraźnie śledził mnie ze swej strony; ciągłe towarzystwo moje budziło w nim podejrzenia, trwogi, domysły zwykłe u ludzi, którzy doznali w życiu więcej złego niż dobrego i przy każdem zbliżeniu z nowym człowiekiem przeczuwają nieledwie wroga. W tej chwili byłem niejako jasnowidzącym i czytałem wyraźnie te myśli w zblakłych źrenicach starca, bacznie zwróconych na mnie.

Postąpiłem krok ku głównym wschodom; wówczas on drgnął, i jakby nagle zbudzony z zadumy, podniósł głowę.

— Kogo pan szukasz tutaj? zapytał zbliżając się do mnie.

Głos jego był ochrypły, stłumiony, nieśmiały; snadź nie bez trudności przyszło mu uczynić to proste zapytanie.

— Kogo? odparłem. Bankiera X., właściciela tego domu.

Ale te proste słowa zrobiły na nim niepojęte wrażenie. Otworzył usta, jakby chciał coś wyrzec lub krzyknąć z podziwu; oczy szeroko rozwarte wlepił we mnie i powtarzał:

— Pana bankiera X.! pan szuka pana bankiera?

— Tak jest, odparłem zniecierpliwiony, alboż on tu nie mieszka?

— Panie, wyrzekł starzec po chwili milczenia, w której zdawał się ważyć moje i swoje wyrazy: jesteś pan zbyt młody, by szydzić z siwych włosów i z nieszczęścia.

A gdy to mówił, twarz jego pospolita nabrała dziwnej godności, blade usta mu drżały, spoglądał na mnie z oburzeniem i litością razem.

Ale sumienie moje było czyste, więc wytrzymałem wzrok jego spokojnie.

— Ze zbyt smutnego powracamy obrzędu, wyrzekłem, by w głowie mojej postała myśl szyderstwa; wytłómacz mi pan słowa swoje, bo ich nie pojmuję.

Te wyrazy, sposób, w jaki je wymówiłem, zrobiły pewne wrażenie na starcu; jednak nie odpowiedział wprost na pytanie moje.

— Więc dokąd pan idziesz? powtórzył tylko.

— Do bankiera X., powiedziałem to już raz.

— A wszakże wracasz pan z jego pogrzebu! wybuchnął

nieznajomy.

— Z jego pogrzebu! zawołałem zdumiony, jakto? on umarł? więc ten biedny pogrzeb był jego? więc...

Nie skończyłem zaczętej myśli.

Stary spoglądał na mnie smutnie przez chwilę, przytwierdzając słowem, aż w końcu zakrył twarz rękami i rzekł głucho:

— Tak jest, umarł — nie mógł znieść ruiny i hańby.

W głosie jego była tak wielka boleść, że spojrzałem na niego z poszanowaniem, wymawiając sobie prawie, żem ją zbudził z uśpienia.

— Wybacz mi pan, wyrzekłem zbliżając się do niego: nie znałem wszystkich nieszczęść spadłych na ten dom, nie wiedziałem kto jesteś.

— Jestem, odparł nieznajomy biorąc te słowa za zapytanie i odpowiadając na nie za spokojną pokorą: jestem Onufry B., ostatni z komisantów pana bankiera; ale posadę tę zajmowałem od lat czterdziestu, jeszcze u ojca jego; znałem go dzieckiem, nosiłem nieledwie na ręku.

I tu grube łzy pociekły z jego oczu; otarł je w milczeniu, i spoglądał na mnie, jakby w zamian badając, kto jestem? co mnie tu przywiodło? Jednak żadnego pytania uczynić nie śmiał; snadź przywykł do podrzędnego stanowiska, jakie zajmował przez życie całe, przywykł sam siebie nie rachować za nic. Ja byłem zdumiony tem com usłyszał; ale jakaś sympatya wiązała mnie z tym człowiekiem, który jeden nieszczęściu wierny pozostał. Spojrzałem na niego innemi oczami, i ta postać zgrzybiała, cicha, pokorna, nabrała dla mnie dziwnego uroku.

— Jakto? spytałem: i nie oddał mu ostatniej posługi ani jeden z tych, co otaczali go świetnem gronem za życia, co schylali się po okruchy spadłe ze stołu jego? Znałem go, był wspaniały i miłosierny.

— Panie, zawołał starzec drżącym od wzruszenia głosem z widoczną wdzięcznością na twarzy: pan jeden oddajesz mu sprawiedliwość. Ci co żyli z łaski jego, odstąpili go pierwsi; przyjaciele, którzy zazdrościli mu skrycie, popchnęli go w przepaść, obrzucili potwarzami. Nie zabił go zły los, ale ludzie — wszakże to zdarza się codzień.

— I z ogromnego majątku nie pozostało mu nic? Miał dzieci?

— Jedyną córkę; nie mógł znieść myśli o jej nędzy.

— Nędzy! zawołałem.

— Tak jest, nędzy, powtórzył starzec z pewną dumą; córka jego oddała wszystko, do ostatniego klejnotu, na zaspokojenie wierzycieli, i wyszła z tego domu, gdzie lat dwadzieścia przeżyła wśród zbytku i szczęścia, sama uboga, w jednej sukni żałobnej, jak ją pan widziałeś.

Te słowa wytłómaczyły mi wszystko; słuchałem ich dźwięku, choć stary mówić przestał, i w oczach moich ta piękna bolejąca postać, za którą szedłem przed chwilą, oblekła się aureolą szlachetności i męztwa. Stałem osmutniały i milczący naprzeciw Onufrego, który pocieszony współczuciem mojem, nie myślał przerywać rozmowy. Ja nie znajdowałem wyrazów w myśli, na uczucia budzące się z niepohamowaną gwałtownością; składały się na nie najszlachetniejsze pierwiastki. W tej chwili byłbym dał życie, by módz otrzeć jej łzy, skończyć

sieroctwo i stworzyć jej życie zbytku, wykwintu, do którego zrodzoną była.

— I cóż ona pocznie teraz? spytałem nieśmiało bo wkroczyć w dziedzinę jej myśli, zdawało mi się prawie świętokradztwem.

— Chce pracować, odparł stary wzruszając ramionami; wola jej jest hardą, ale słowo „praca“ nie ma dotąd dla niej wyraźnego znaczenia. Nie zna jej, nie zna warunków realnego życia. Ojciec ubóstwiał ją, i chował jak rajskiego ptaka wśród kwiatów i woni.

Stary nie powiedział wszystkiego. Dowiedziałem się potem, że on jeden w tych strasznych chwilach zajął się jej losem: on był jej opiekunem i dobroczyńcą.

— Biedne dziecię, mówił dalej niby sam do siebie: czyż mogłem pomyśleć kiedy, że jej na to przyjdzie!

— Tak młoda! tak piękna! zawołałem nie mogąc pohamować się dłużej, a tak nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwa! o tak! bardzo nieszczęśliwa! Czy uwierzysz pan, że narzeczony opuścił ją bezwstydnie, dowiedziawszy się o katastrofie majątkowej?

Te słowa przejęły mnie zimnym dreszczem. Więc był na świecie człowiek, co posiadał jej serce, jej słowo, i człowiek ten był nikczemnym. Nie umiałem zdać sobie dokładnej sprawy z wrażeń moich, ale wrażenia te miotały mojem niedoświadczonem sercem i rozmarzoną głową jak rozbitym okrętem. Po raz pierwszy widziałem z blizka podłość ludzką i dotknięty nią byłem w istocie, którą postawiłem na ołtarzu uczuć moich dotąd nieskalanych. Trzeba mieć lat dwadzieścia, trzeba być wychowanym z

dala od ludzi i świata pod wpływem nerwów czułej kobiety, trzeba nie mieć najlżejszego pojęcia praktycznych warunków życia, patrzeć na wszystko przez pryzmat własnych marzeń, i do tego jeszcze być obdarzonym pewnym donkiszotyzmem uczuć, by pojąć myśl, jak w tej chwili wylęgła się nagle w głowie mojej. Bez rozwagi i namysłu, nie bacząc na nic, o nic nie pytając postanowiłem ofiarować córce bankiera rękę moją, majątek, życie całe, i drżałem jeszcze, by nie odrzuciła tej ofiary. Moralna zarozumiałość moja była bez granic; nie spotkawszy się dotąd nigdy z rzeczywistością, urabiałem ją fantastycznie wedle pojęć moich, odrzucając z góry logikę faktów, o której nie miałem zdrowego wyobrażenia. Wierzyłem tylko w bezmyślne porywy serca, które u mnie dotąd były czyste i szlachetne; nie wiedziałem, że czyn szlachetny nawet potrzebuje poparcia rozumu, by wyjść komubądź na dobre. Miałem niekonsekwentność umysłu dziecka, a wiek i wolę człowieka. Jednak gdy postanowienie to miałem objawić słowem, zawahałem się chwilę, dobierając wyrazów, czułem, że krok podobny ludzie nazwą szaleństwem, że sam Onufry spojrzy na mnie jak na szaleńca. Ale ja szaleństwo to spełnić chciałem, pragnąłem go, i tę niebaczną miłość, zrodzoną przed chwilą dopiero, stroiłem we wszystkie wysokie marzenia. Nie przyszło mi nawet na myśl zbliżyć się do córki bankiera, poznać jej usposobienie, umysł, serce. Nie; wiedziałem, że była szlachetną, skoro zrzekła się wszystkiego, by ocalić pamięć ojca, odważną, skoro nie zlękła się ubóstwa, że była samotną, opuszczoną, zranioną we wszystkich uczuciach, i z niecierpliwością

dziecka chciałem jak rószczką czarnoksięzką zmienić warunki jej istnienia, powrócić jej wiarę w ludzi, w życie i szczęście, wiarę, którą utracić musiała. Nie wiedziałem jeszcze wtenczas, że są rzeczy niepowrotne.

Stałem obok starego komisanta w czasie gdy te wszystkie myśli snuły się w mojej głowie; on z pewnością odgadnąć ich nie mógł, i wnosząc z milczenia mego, że znudził mnie swą rozmową, wyrzekł ze zwykłą pokorą:

— Ale ja zatrzymuję pana tutaj, mówiąc o rzeczach, które pewno nie zajmują go wcale; przepraszam.

I skłonił mi się nieśmiało.

Ten człowiek nie znał serca ludzkiego, nie miał najmniejszego pojęcia wyrazu twarzy, lub nie patrzał na mnie, inaczej, byłby odgadł burzę szaleństwa wrzącą w duszy mojej. Podniosłem na niego wzrok zmącony i rzekłem drżącym głosem:

— Chciałbym widzieć się z panną X.

— A to na co? zapytał starzec, surowo prawie spoglądając na mnie.

— Sam widok jej wzruszył mnie do głębi ducha; to, coś mi pan powiedział, dokonało reszty.

— Nie żebrałem dla niej litości, wyrzekł z rumieńcem oburzenia; bo ten człowiek tak pokorny co do samego siebie, dumniał skoro szło o nią.

Byłbym chciał uściskać go za te słowa, ale on hardy i gniewny mierzył mnie przygasłemi oczami, z których się jeszcze iskry dobywały.

— Matka moja, wyrzekłem, byłaby matką dla niej.

— Czy chcesz pan ofiarować jej jałmużnę? Dopóki ja

żyję, potrzebować jej nie będzie.

— Nie, panie, zawołałem, zdobywając się na zupełną szczerość; słowa moje mogą wydać ci się dziwne i niespodziane, a jednak przysięgam ci, mówię prawdę. Jestem wolny i bogaty; chciałbym zaślubić pannę X. Naprzód wiem, że to jedyny sposób przywrócenia jej znaczenia i dostatku, do jakiego przywykła; to jedno dać mi może prawo opiekowania się jej losem, bo wreszcie od chwili gdym ją ujrzał, kocham ją, a to pierwsza miłość moja. Pan nie wiesz, kto jestem, oto moje nazwisko (i oddałem mu bilet wizytowy). Nie żądam, byś mi pan wierzył na słowo; zbierz potrzebne ci informacye. Przybyłem tutaj jako wierzyciel bankiera. Nie trudno ci będzie przekonać się o prawdzie wszystkiego co mówię. Jutro o tej samej godzinie będę tu czekał na pana; chcę, byś mnie przedstawił pannie X.; chcę ujrzeć ją i z ust jej własnych usłyszeć mój wyrok, a jakibądź on będzie, nie zmieni uczuć moich dla niej.

Wszystko to wypowiedziałem jednym tchem, gorączkowo, i mógłbym mówić dużo dłużej, bo zdumiony starzec nie myślał mi przerywać i stał jak człowiek nagle pogrążony w sen czarodziejski, jak ten, który chciałby a nie może uwierzyć w rzeczywistość widzeń swoich. I długo patrzał mi w oczy, szukając w nich fałszu lub obłąkania; aż w końcu pokonany nieprzepartą wymową prawdziwego uczucia, wyrzekł z wolna:

— Ja sądzę, że to wszystko prawda; ale pozwól mi pan być ostrożnym: tu chodzi o nią.

— Masz pan słuszność, odparłem; ja sam tego żądam.

Skłoniłem mu się i odejść chciałem; ale ze wszystkich ludzi, ten starzec z gorącem nieświadomem siebie sercem, o słabej inteligencyi, z przywiązaniem i wiernością psa do pana swojego, najprędzej mnie mógł zrozumieć. To też po chwili namysłu zaszedł mi drogę; łzy migotały w jego oczach, twarz drżała od gwałtownego wzruszenia; wyciągnął do mnie rękę wyschłą.

— Panie, wyrzekł, albo jesteś najszlachetniejszym z ludzi...

Nie dokończył, ale w słowach jego znać było obowiązkową niewiarę.

W istocie myśli te musiały nasunąć się jemu i każdemu innemu, coby usłyszał podobne wyznanie; ale on miał naiwną prostoduszność, skłaniającą go do ufności. W życiu musiał być nieraz oszukanym, bo ostrożność nawet widocznie pochodziła u niego więcej z wyrozumowania niż z instynktu, sam zdolny do szlachetnych uczuć, drugich sądził według siebie. Czułem, żem go pozyskał dla sprawy mojej, i odurzony tą całą sceną, upojony własnemi słowy, wyszedłem z tego domu, w którym tak nagle rozegrały się przyszłe losy moje, — w stanie trudnym do opisania.

Postawiłem więc krok pierwszy w realnem życiu, pierwszy raz postanowiłem coś i zdziałałem sam przez się. A to com uczynił, zdawało mi się wyjątkiem z jakiejś czarodziejskiej powieści; rzeczywistość była podobna do snów i marzeń, a ja niebaczny sądziłem, żem świat podbił sobie, żem przeinaczył pierwotne warunki bytu. I nie zastanowiłem się ani chwilę nad zobowiązaniami przyszłości, nad odpowiedzialnością, jaką brałem na siebie

za swoje i cudze życie; kochać, zdawało mi się rzeczą tak łatwą jak oddychać.

Pomyślałem wprawdzie o matce, ale z góry pewny byłem jej przyzwolenia: wierzyłem, że ona kochać musi co ja kocham; że otworzy szeroko ramiona, by przygarnąć sierotę, i da jej całą miłość matki. Mój sposób myślenia był jej dziełem; ona to nauczyła mnie pogardzać tem, co świat zwykle ceni, prawa uczucia stawiać po nad wszystko, nie spierać się z żadnym szlachetnym popędem serca, ale słuchać uderzeń jego bez wahania, i zamiast ubitych gościńców ludzkich, szukać dróg własnych, samotnych. Biedna matka, miała słuszność w wielu rzeczach; zapomniała tylko w drogę życia uzbroić mnie puklerzem rozumu i zdrowej wiedzy; zapomniała wpoić we mnie te gruntowne przekonania i hart woli opartej na wyrobionej myśli, które rządzić powinny całym ustrojem naszym, i puściła na manowce świata ślepe dziecko nie zaś człowieka.

Reszta dnia tego zeszła mi sam nie wiem jak; godziny zdawały mi się wiekami, a jednak mijały szybko. Noc przyszła, nie mogłem znaleźć snu i spoczynku; przed wyobraźnią moją snuło się tysiące obrazów; teraźniejszość i przyszłość mieszała się w dziwnych kształtach, a zawsze i wszędzie widziałem przed sobą córkę bankiera, to tak jak wczoraj skamieniałą prawie pod naciskiem bólu, to zwolna wracającą do życia i szczęścia, z uśmiechem na bladych ustach, z rumieńcem na marmurowej twarzy, ze słowem: kocham w spojrzeniu.

Nazajutrz długo przed umówioną godziną czekałem na Onufrego. Ujrzałem go w końcu; szedł szybkim krokiem

rozradowany, promienny; zdawał się młodszym o lat kilka. Zbliżył się do mnie z wyciągniętemi rękami, jak gdyby chciał mnie uścisnąć. Nie potrzebował mówić, dość było spojrzeć na niego, by zrozumieć, że sprawa moja wygrana była w myśli jego, a może już wygrana zupełnie.

— Więc, spytałem z bijącem sercem: przedstawisz mnie pan pannie X.?

— Panna Leonora czeka na pana.

— Czeka na mnie? powtórzyłem blednąc, bo wzruszenie zwyciężało siły moje; czeka na mnie, więc wie wszystko?

— Wie, że jeśli są tutaj podli i nikczemnicy, są też ludzie tacy jak pan. Chodźmy.

— Chodźmy, powtórzyłem.

W tej chwili byłem tak szczęśliwy, że potrzebowałem paść na kolana i podziękować Bogu i ludziom. Szliśmy w milczeniu, bo choć tysiące pytań cisnęły się na usta moje, jednak nie byłem w stanie sformułować ich słowem, w duszy mojej było w tej chwili uroczysto jak w kościele, w rzeczywistości stąpałem wśrod marzeń, a każde tchnienie było mi tchnieniem rozkoszy. Na rozkosz tę składało się wiele uczuć. Nie była to miłość jeszcze — ta więcej daleko tkwiła w wyobraźni mojej niż sercu, ale jakieś dumne upojenie, żem wystąpił z powszednich szlaków, jak błędny rycerz znalazłem pole działalności, życie moje przemieniałem w poemat i stałem się dla samego siebie bohaterem romansu.

Weszliśmy w końcu do dworku na Nalewkach. Onufry zastukał, drzwi się otworzyły, i ujrzałem się w obec Leonory. Czarna suknia ciężkiemi fałdami obejmowała jej

kibić pełną, wysmukłą i rysowała lekko jej posągowe kształty, korona blado złocistych włosów zwieszała się nad jej czołem i ciążyła na karku w bogatych zwojach skręconych niedbale; ale twarz jej była biała jak wczoraj, bez śladu rumieńca i uśmiechu. Czoło było surowe, nieubłagane, a jasny wzrok spoczywał na mnie z nieujętym wyrazem litośnego badania. Spojrzenie to przeszyło mnie na wskroś i zmusiło spuścić oczy; jednak nie odwróciłem ich od niej, ale z rodzajem zachwytu utkwiłem je w jej ręce, w jej sukni, śledziłem jej powolne a wdzięczne ruchy, gdy w milczeniu wprowadziła nas do pokoju i wskazała mi krzesło siadając sama.

Pokój ten był bardzo skromny, ubogi; a jednak ona rozjaśniała go swą pięknością i nadawała mu niepospolite piętno; wchodziłem tu jak do świątyni, z cichą trwogą i skupieniem ducha. Kobieta nie zdawała się zwracać uwagi na liche otoczenie swoje; czy wiedziała, że nosiła z sobą wszędzie atmosferę sobie właściwą, czy pogrążona w ponurej rozpaczy nie raczyła zwrócić nawet uwagi na nizkie bielone ściany, na biedne sprzęty swego mieszkania. Widocznie jednak zastosować się chciała do nowego położenia: na stole leżała robota zaczęta, a jej alabastrowe palce nie przywykłe do igły, nosiły ślady drobnych ukłóć. Wzrok mój zatrzymał się na tej ręce wytwornej, pieszczonej, skazanej na powszednią pracę. I wzruszenie moje silniejsze było od woli, nie mogłem przemówić słowa.

Leonora milczała chwilę, jakby zostawiając mi czas do namysłu; w końcu gdy cisza przedłużała się zbytnie, przemówiła pierwsza.

— Stary mój przyjaciel Onufry mówił mi, że pan jesteś wierzycielem mego ojca i że pragniesz mnie widzieć.

Te słowa przejęły mnie zimnym dreszczem; spodziewałem się co innego usłyszeć. Wymówione były głosem chłodnym. Podniosłem oczy: twarz jej była nieporuszona.

— Pani, zawołałem rozżalony: czyż powiedziano ci to tylko?

— Onufry mówił mi rzeczy tak dziwne, iż rzeczywiście upoważniłam go do przyprowadzenia tu pana; zresztą nie zapomnę nigdy, że pan jeden szedłeś za trumną ojca mojego i wspominasz go bez przekleństwa.

Słowa te były smutne i łagodne, ale twarz nie poruszyła się większym wyrazem; oczy badawczo wlepiła we mnie. Jam nie wiedział co odpowiedzieć. Utworzyłem sobie w wyobraźni obraz tej kobiety inny zupełnie; na tych rysach, w tej postaci spodziewałem się innego wyrazu, innych słów z tych ust. A jednak choć różna od marzeń moich, córka bankiera była cudownie piękna, olśniewająca w dumie swojej.

— Pani, wyrzekłem z cicha znowu, spuszczając oczy przed jej dojmującym wzrokiem: cokolwiek powiedziano ci, jest prawdą i dojść nie może miary uczuć, jakie wzbudziłaś we mnie; ale jeśli mnie nie odrzucisz, życia całego nie starczy na ich stwierdzenie.

W głosie moim musiała dźwięczeć prawda, bo Leonora zamyśliła się chwilę, a ja mówiłem dalej niepewny i trwożny.

— Powiedz pani, że mi wierzysz przynajmniej.

— Wierzyć muszę, odparła, bo cóżby dzisiaj powodować mogło panem? ale to bardzo dziwne.

I znów nastało milczenie. Rzeczywiście obecna scena była dziwną i mało podobną do sceny miłosnej. Ta kobieta w grubej żałobie, nieporuszona jak posąg, z którą mówiłem po raz pierwszy i musiałem od razu mówić o małżeństwie; ten starzec słuchający w kącie rozmowy naszej: wszystko razem miało coś mrożącego. Czułem, że w tej chwili nie miałem prawa żądać słowa przyzwolenia od tej znękanej istoty; a jednak okoliczności zmuszały mnie żądać go koniecznie. Ona nie miała nad sobą opieki żadnej, brakło jej schronienia i codziennego chleba, a opiekę i wsparcie mogła przyjąć od męża tylko. Patrzyła ciągle na mnie zamyślona z czołem wspartem na ręce.

— To dziwna, powtarzała, zdaje mi się, że to wszystko co słyszę jest snem.

— Pani, są uczucia piorunujące, których istnienia nie domyślamy się pokąd ich nie doświadczymy. Wczoraj nie wiedziałem jeszcze co to miłość, dziś kocham.

— Kochasz mnie pan? wyrzekła z dziwnym wyrazem; ależ pan mnie nie znasz!

— Znam cię dość pani, by ukochać; wiem, że jesteś szlachetną i że cierpisz.

— To nie dość jeszcze, odparła, by związać niepowrotne dwa życia. Co wiesz pan o przeszłości mojej, o moralnej istocie?

— Wiem, żeś spotkała pani na drodze swojej podłość, że masz prawo pogardzać ludźmi, ja chcę ich odkupić w oczach twoich.

Cień jeszcze głębszy przesunął się po jej czole; wzrok przeszył mnie zimnym blaskiem.

— Jesteś pan szlachetny, odparła z nieujętym wyrazem: szlachetny jak dziecko, ja nie powinnam przyjąć ofiary twojej. Nie potrafię odpłacić niczem za nią.

— Pani! zawołałem przerażony, mam tylko jedno słowo odpowiedzi i jedno błagalne słowo: ja cię kocham.

Ten wyraz nie wywołał na jej twarz rumieńca; słuchała mnie spokojnie, uważnie ale wrażenia, jakie czyniłem na niej, odgadnąć nie byłem w stanie.

— I chcesz pan, bym wzajem odpowiedziała: kocham? spytała.

— Nie, nie mam prawa żądać tyle; pozwól mi pani tylko kochać siebie, zawierz mi życie, a ja wiem, że wzajem pokochać mnie będziesz musiała.

Wstrząsnęła głową.

— I na tej nadziei chcesz pan budować przyszłość? A jeśli ona pana zawiedzie? jeśli ja nie potrafię pokochać cię nigdy?

— To, zawołałem, nie będę cierpiał więcej niż cierpię teraz.

— I nie masz pan, mówiła dalej, nikogo zapytać o radę? i tak sam w jednej niebacznej chwili stanowisz o całej przyszłości?

— Mam matkę, odparłem, przed którą pochlubię się wyborem swoim; ona nauczyła mnie iść ślepo za głosem serca, nie sprzeczać się nigdy z żadną szlachetną żądzą, uczucie kłaść po nad wszystkie względy świata.

I znowu milczała długo wpatrując się we mnie; aż

wreszcie przemówiła zwolna, jakby zbierając myśli i siły.

— Materyalnie ofiarujesz mi pan majątek, dostatki, znaczenie, imię szanowane, w zamian za zhańbione nazwisko, jakie noszę: moralnie ofiarujesz więcej daleko: wyciągasz rękę do istoty, którą odepchnęli wszyscy, oddajesz mi serce, w chwili gdy wzgardzono mojem, chcesz mi wrócić wiarę, nadzieję, miłość. I gdyby cokolwiek mogło mi je powrócić, to pewno czyn twój dokazałby tego cudu. A jednak powtarzam jeszcze raz: ja powinnam odrzucić to wszystko. Świat odwraca się od nieszczęśliwych, świat się ich lęka i ma słuszność; zbytek nieszczęścia zabija moralnie. Daj Boże, byś pan nigdy nie doświadczył tego. Dziś jesteś swobodny; świat, życie ci się uśmiecha; korzystaj z tego i nie mieszaj się do mojej smutnej doli, nie łącz drogi twojej z moją. Wierz mi pan: wczoraj, kiedyś, był czas na to — dziś to za późno. Patrz pan, spoglądam na ciebie spokojnie; dziwisz mnie pan tylko, ale nie wzruszasz. I na to wszystko, co mówisz i czynisz, pierś moja pozostaje martwą, słowo „kocham” nie przyszło mi na usta; nie czekaj na nie, ono nie przyjdzie nigdy. Coś we mnie zamarło i skamieniało; czuję to, cierpiałam za wiele.

Miała słuszność. Żadne drżenie głosu, żaden promień spojrzenia nie zdradził wewnętrznych uczuć, gdy mówiła te słowa; ale jam nie mógł jej uwierzyć, bom tego zupełnie nie pojmował. Brakło mi na to lat i doświadczenia życia. Słowa jej brałem za słowa tylko; głębokości ich rozpacznego znaczenia zmierzyć nie byłem w stanie.

— Ja chcę, zawołałem, byś pani zapomniała przeszłości:

to będzie jedynym celem życia mojego; ja w zamian nic nie żądam, nic nie wymagam, tylko pozwól mi patrzeć na siebie, pozwól mi kochać, a i tak już szczęśliwym będę.

— Więc, zapytała, za to pierwsze, święte uczucie, pan nic nie chcesz w zamian?

Zawahałem się: pytanie to było stanowcze. Wówczas jeszcze mogłem się cofnąć, bo rzeczywiście nie rozumiałem sam siebie; pragnienia, marzenia, miłość sama, wszystko to jeszcze nierozwikłane było w sercu mojem. Ale miałem lat dwadzieścia, kochałem po raz pierwszy. Spojrzałem w jej oczy wielkie, smutne, głębokie, spojrzałem na tę postać czarującą i odpowiedziałem stanowczo:

— Daj mi prawo myśleć o szczęściu twojem pani, a przysięgam, że to mi wystarczy.

Wyciągnęła do mnie rękę z pewnem wzruszeniem, jakby zwyciężona bezinteresowną szlachetnością moją.

— Będę panu wierną żoną, jeżeli zechcesz, wyrzekła; ale wstrzymaj się pan jeszcze z ostatecznym krokiem, zastanów się nad przyszłością, nademną.

Te słowa były dziwne zimne, ale przynajmniej szczere i stanowcze: wszystko w tej kobiecie wzbudzało szacunek, a powinno było zmrozić uczucie tak świeże, tak niebaczne. Jednak przeciwnie się stało. Pierwsza miłość silniejsza była niż jej obojętność. Nie przyjąłem tej ostatniej deski zbawienia jaką podawała mi ona sama, odrzuciłem z oburzeniem myśl zwłoki. Gdyśmy się rozstali, mała złota obrączka, którą Leonora miała na ręku, błyszczała na palcu moim; miałem jej przyrzeczenie.

Powróciłem do siebie rozmarzony, szalony; siadłem i

napisałem czteroarkuszowy list do matki. Potrzebowałem koniecznie mówić o niej, rzucałem głośno jej imię hotelowym ścianom, pieszcząc się jego dźwiękiem, i znowu w myśli mojej zamiast marmurowej istoty, którą widziałem, wywoływałem inną Leonorę, Leonorę serca i wyobraźni mojej, która miała tylko kształty rzeczywistej. Topiłem chłód jej obejścia pod ogniem miłości mojej; kładłem w jej usta słowa uczuć moich, zapalałem jej wejrzenie namiętnością własną, rumieniłem jej lica krwią z serca dobytą, i dopiero klękałem przed tym tworem fantazyi mojej rozgorzałej, zaślepiony warem krwi szalejącej, rozkołysany falą marzeń, porwany niepohamowaną siłą pierwszego uczucia. Pigmalion nowej Galatei.

Codzienna to powieść. Biada sercu, na którego straży nie stoi rozum! biada tym, co patrzą na oblicza ludzkie odbite w zwierciedle własnej piersi, co mają w oczach pryzmat marzeń i świat rzeczywisty stroją tęczami wzroku swojego! Biada tym, którzy nie nauczyli się trzeźwo patrzeć przed siebie i szukać piękna i prawdy w tworach Boskich takich jakie są.

W kilka dni, zamiast odpowiedzi na list mój, przyjechała matka, strwożona nagłem postanowieniem mojem; wprawdzie odpowiadało ono tej stronie drażliwości uczuciowej, jaką troskliwie rozwijała we mnie, lękając się wpływu zmateryalizowanego wieku (tak nazywała epokę naszą). A jednak to nagłe przeniesienie marzeń w dziedzinę rzeczywistości, trwożyło ją instynktowo. Ten krok bezmyślnej rycerskości, ofiarowanie ręki i serca sierocie pokrzywdzonej przez społeczeństwo, ten czyn, który

spełniony przez kogokolwiek innego wzbudzałby w niej bezwarunkowe uwielbienie, przerażał ją w głębi ducha, skoro ja go spełnić miałem. Rozpoznałem to uczucie w matce mojej z boleścią, bo dostrzegłem po raz pierwszy rozłamanie, jakie tak często spotykać się daje w najszczerszych nawet istotach pomiędzy ideą a faktem, w chwili gdy wymarzone ich teorye w czyn się zamieniają. Ona pragnęła z pewnością, bym ożenił się jedynie według woli serca; ale dla czegóż serce moje miało przywiązać się koniecznie do istoty nieznanej, bez rodziny i przyszłości? dla czego nie miało pokochać którejbądź z młodych kuzynek i sąsiadek, wśród których matka moja zawczasu upatrywała sobie synowej? Uwagi jej były mi tym przykrzejsze, że budziły tajemne trwogi odzywające się we mnie czasem wśród upojenia chwili, a które próżno zagłuszyć się starałem.

Zresztą na rozmyślania miałem mało czasu; spiesznie czynione przygotowania ślubne nie zostawiały mi wolnej chwili prawie. Nawet z Leonorą widywałem się krótko; zaledwie miałem czas spojrzeć na nią i zapytać o zdrowie, już odwoływały mnie pilne zajęcia, zakupy, interesa. Leonora pomimo prośb moich, nie chciała opuścić swego dworku, nie chciała nic zmienić w trybie swego biednego życia, ani przyjąć odemnie żadnej drobnostki. Próżno pytałem o jej wolę i rozkaz, nie chciała nawet o niczem objawić smaku swojego, wszystko było dla niej obojętne. Widząc, że pytania moje sprawiają jej przykrość lub obrażają dumę — bo uczuć jej rozwikłać nie mogłem, — starałem się zasięgnąć zdania Onufrego, ale ten niemiał

najmniejszego pojęcia o wykwintnym kobiecym smaku. Zostawiony więc byłem sam sobie, i z gorączkową niecierpliwością czekałem chwili, w której wreszcie ta piękna i smutna kobieta zupełnie do mnie należeć będzie, w której zbadam w końcu tajemnicę tego hardego, zamkniętego ducha! Niestety! nie byłem w stanie pojąć, że ta chwila nie nastąpi nigdy.

Leonora przyjęła matkę z tą samą pokorną dumą; jeśli tak wyrazić się można, z jaką przyjęła oświadczenie moje; ale jej macierzyński uścisk nie wywołał w niej wzruszenia, ale choć schyliła czoło po jej błogosławieństwo, nie podniosła go rozjaśnionego nadzieją ani miłością. Nie uchyliła w niczem żadnej zewnętrznej formie, a jednak matka moja posmutniała patrząc na nią.

Stosunek nasz był dziwny bardzo; żadne słowo żadne wylanie nie zbliżyło nas pomiędzy sobą: nie znalem jej ani lepiej, ani więcej jak w dniu pierwszego widzenia. A jednak namiętność moja wzrastała z dniem i z chwilą każdą, rozdrażniona tym niemym oporem, jaki mi stawiał duch tej kobiety. Ja kochałem ją z szaleństwem lat dwudziestu, pierwszej miłości, blizkich zaślubin, marzonego szczęścia.

Dnia pierwszego spotkania pomiędzy narzeczoną a matką moją, oboje w milczeniu wracaliśmy do siebie; powóz toczył się szybko, matka spoglądała czasem na mnie z niepokojem, tłumiąc westchnienie, a jam nie śmiał zapytać jej o przyczynę smutku. Powóz zatrzymał się przed hotelem; wysiedliśmy, poprowadziłem ją po wschodach aż do drzwi mieszkania, i odejść chciałem, ale matka zatrzymała mnie.

— Zostań Kazimierzu, wyrzekła, tak dawno nie rozmawialiśmy z sobą.

Zostałem, ale z instynktową trwogą; lękałem się tej rozmowy, przeczuwałem, że cierpieć będę, a wówczas jeszcze nie przywykłem do tego. Matka usiadła, usiadłem przy niej; wtedy przygarnęła miłośnie głowę moją do swojej piersi, i uczułem jak dwie łzy palące spadły mi na czoło. Podniosłem wzrok na jej oczy pogodne ale zwilżone, wpatrujące się we mnie.

— Matko moja! wyrzekłem wzruszony: co tobie? Milczała chwilę, aż w końcu nachyliła się do mnie, i jakby lękała się dźwięku własnego głosu, szepnęła prawie:

— Czy ty ją bardzo kochasz?

— Dla czego mnie pytasz? zawołałem z żalem.

— Bo ona cię nie kocha, Kazimierzu.

Zadrgałem z bólu, ale odparłem:

— Matko, szczęście nasze leży we własnem uczuciu; czyż nieraz nie mówiliśmy o tem? Kochać — to najwyższy szczyt szczęścia; być kochanym, to mniej daleko.

— Dla czegóż nie miałbyś posiąść jednego i drugiego, mój synu? Trzeba nie mieć serca, by nie kochać ciebie.

— Ona przecierpiała tyle! zawołałem stając w jej obronie, pomnij na wszystkie straty, jakie ją na raz dotknęły.

Matka wstrząsnęła smutnie głową.

— Ja znam się z cierpieniem, Kazimierzu; nie ma łzy w jej oczach, ani westchnienia na ustach. Jeśli to boleść, to na taką boleść nie ma pocieszenia, ja jej nie pojmuję.

— Ona musi być szczęśliwą, wyrzekłem; przysiągłem

samemu sobie, że szczęśliwą będzie.

— A ty będzieszże szczęśliwy, Kazimierzu? spytała z macierzyńską tkliwością.

— Szczęście moje w jej ręku tylko, odparłem ze spokojem, jaki daje każde niezłomne postanowienie.

— W jej ręku tylko! wyrzekła matka z lekkim wyrzutem. Czyż być może, by dni kilka zmieniło zasadnicze prawa twego istnienia? Dni kilka temu nie znałeś jej nawet, nawet nie wiedziałeś, że istnieje!

— To próżne słowa, odparłem; nie pamiętam czem byłem już przed dniami kilku, zdaje mi się, że żyć zacząłem od chwili gdym ją pokochał.

Matka moja umilkła; zrozumiała, że wszystko było daremnem.

— Daj Boże, wyrzekła tylko, byś był szczęśliwy, dziecię moje!

I z cichą modlitwą wzniosła oczy do nieba.

Niestety, ta modlitwa nigdy wysłuchaną być nie miała.

Jednak rozmowa ta, smutek matki mojej, wywarły na mnie dziwne wrażenie, niepokój ogarniał mnie coraz większy, im bardziej zbliżała się stanowcza chwila; szukałem ukojenia przy Leonorze, ale nie znajdowałem go, przyjmowała mnie zawsze jednako przyjaźnie, ale nic nie zdołało stopić tego chłodu, jaki ją otaczał.

Położenie moje było trudne; dając wszystko, lękałem się czegobądź wymagać w zamian, lękałem się czembądź obrazić jej dumę. Daremnie miłość niweczy wszystkie względy świata i równymi czyni tych, którymi rządzi; pomiędzy nami być jej nie mogło. Czyż godziło mi się

żądać więcej niż dać mi mogła? czyż miałem prawo się uskarżać, gdy za dni kilka miałem zostać jej mężem? A jednak smutek bez nazwy ogarniał mnie przy niej; nawet nie zawsze ukryć go mogłem.

Za pomocą Onufrego odkupiłem wszystkie dawne jej klejnoty, wszystkie kosztowne cacka, które otaczają wykwintną młodą dziewczynę i są niejako powiernikami domowego jej życia. W dzień ślubu przyniosłem jej to wszystko rano i ustawiłem na sosnowych stolikach jej mieszkania, czekając aż wyjdzie do mnie. Jak zwykle nie czekałem długo. Leonora ukazała się we drzwiach i powitała mnie bladym konwencyonalnym uśmiechem. Ale zaledwie wzrok jej padł na otaczające sprzęty, twarz jej blada pobladła bardziej jeszcze, wzrok się zamglił, a wargi drgały jakby słowami, których dźwięki nie wychodziły z piersi ściśniętej. Zbliżyła się do stołu nie zważając na mnie, i poczęła rozrzucać skromne dziewicze klejnoty zamknięte w hebanowej szkatułce. Patrzyłem na nią w milczeniu, a tymczasem Leonora drżącemi rękami rozkładała bransoletki, broszki, kolczyki, aż dobyła z pośród nich szmaragdowy medalion i z dziwnym wyrazem, wlepiła w niego swe jasne źrenice, w których w tej chwili grały jakieś blaski, jakieś promienie chłodne a przenikające jak połyski stali. Długo tak wpatrywała się w niego, zgubiona w przepaściach myśli, wspomnień czy nadziei, odkrywając mi w tej chwili nową nieznaną mi w sobie istotę. Znać było, że to szkliste spojrzenie patrzało nie na świat otaczający, ale na świat wewnętrzny; że postacie snujące się w jej wyobraźni zapalały te oczy, mgliły je na przemian i

nadawały im blask dziki prawie. Ale to wszystko przeszło bez słowa i wybuchu; nakazała milczenie wspomnieniom swoim, zmieniła bieg myśli, zgasiła spojrzenie, i z twarzą bielszą od ślubnej sukni rozłożonej na krześle, cała drżąca od doznanego wzruszenia zwróciła się do mnie, dziękując obojętnemi słowami za dar odebrany.

— Leonoro! zawołałem: co tobie? Lękam się czy te wspomnienia nie przyniosły ci boleści.

— Przeszłości nie zapomniałam i nie zapomnę nigdy, odparła zwolna; nie potrzebują budzić jej martwe przedmioty, ona tkwi we mnie, nieuśpiona nigdy.

— Leonoro, odrzuć smutne myśli; patrz, słońce świeci jasno, pogodnie, to dzień nasz weselny.

— Tak, to dzień nasz weselny, powtórzyła jak echo.

I stała ciągle w miejscu nieporuszona, wsparta ręką na stole. Patrzałem na nią z prawdziwym żalem.

— Boże! Boże! zawołałem mimowoli prawie; więc ja nie potrafię przynieść ci szczęścia!

— Szczęścia! wyrzekła ciągle pogrążona w zamyśleniu, szczęścia! są chwile, które niweczą je niepowrotnie.

— O nie mów tak! zawołałem; ty nie wiesz co ja cierpię.

Te słowa zdały się ją budzić; spojrzała na mnie przytomnym wzrokiem, i po raz pierwszy dostrzegła na twarzy mojej boleść prawdziwą.

— Daruj mi pan, wyrzekła smutnie: ja nie chcę, byś cierpiał dla mnie, ostrzegałam cię; nieszczęśliwi jak zarazę szerzą nieszczęście. Widzisz pan, że podjąłeś ciężar nad siły; porzuć mnie; czas jeszcze, jeszcze nam wolno się rozejść. Ja siebie tylko winić będę i to zbolałe serce, które

odpowiedzieć ci nie umiało; pamiętać będę wiecznie, jak jesteś szlachetnym i dobrym; panie Kazimierzu ja nie potrafię ukochać cię, jak tego godzien jesteś. Wierzaj mi: szczęście, miłość, wiara, wszystko to już nie dla mnie.

Głos jej dźwięczał prośbą prawie; surowe oczy smutnie patrzały na mnie. W milczeniu ukląkłem przed nią, pochwyciłem jej ręce i przycisnąłem do ust gorących, szepcząc przysięgi i zaklęcia, których powtórzyć nie zdołam. I od tej chwili nie wolno mi już było cierpieć, nie wolno było na co bądź się uskarżać.

Ślub nasz odbył się cicho i skromnie. Matka moja, Onufry i drugi świadek konieczny składali cały nasz orszak weselny. Leonora w muślinowej sukni, w przejrzystej zasłonie, z wieńcem pomarańczowym na złotych włosach, jaśniała cudowną pięknością; a jednak nie było na jej twarzy rumieńca, w oczach wesela ani łez narzeczonej.

Z żałobnemi szatami nie odrzuciła ani na chwilę jedną żałoby myśli; blask moich oczu nie zapalił jej wejrzenia, pierś moja wzburzona nie znajdowała echa w jej spokojnie bijącem sercu. Piękna jak anioł, biała jak lilia, chłodna jak marmur, ponura jak fatum, niewzruszona jak posąg, stanęła obok mnie przy ołtarzu, wymawiając słowa przysięgi wyraźnym, dźwięcznym głosem, słowa, które związały na wieki wieków moją kipiącą młodość z jej obumarłą od boleści młodością.

Nieszczęście życia mojego było spełnione. Wszystkie szlachetne żądze i popędy, stały się narzędziem mej zguby. Parę dni szału, chwila jedna niecofniona i męka życia całego! Matka moja płakała po cichu. Onufry płakał także

łzami radości; ja tylko jeden w półcieniu gotyckiego kościoła promieniałem nadzieją, szczęściem i dumą, jak skazany na śmierć, który nie zna swego wyroku i nie wie, że łzy i modlitwy wznoszące się w około, są za niego.

Nie mogę uskarżać się na nikogo: ja sam, ja jeden byłem sprawcą nieszczęść moich; ale czyż dla tego cierpiałem mniej? Poznawszy omyłkę własną, przekonałem się, że nic nie mogło jej nagrodzić. Daremnie jak ślepy uleczony, powróciłem do światła; światło nie powinno już było istnieć dla mnie. Tak kazały prawa świata tego.

Wspomnienia uniosły mnie daleko od owej chwili, kiedy rozkochany, ufny i szczęśliwy, ślubowałem życie Leonorze; ta chwila tkwi w pamięci mojej ze straszną świeżością. Pamiętam najprzelotniejsze uczucia moje, pamiętam blask gromnic padający martwo na blade czoło mojej oblubienicy, pamiętam jak usta jej poruszały się jednostajnym ruchem, gdy powtarzała za księdzem słowa przysięgi, i dziwny wyraz jej spojrzenia utkwionego szklisto, bez wyrazu i modlitwy, w oblicze Chrystusa ukrzyżowanego rozpięte na ołtarzu.

Pilno mi było wywieźć ją z tych miejsc, w których cierpiała, i sam na sam wśród ciszy, wśród pierwszych uniesień zatrzeć pocałunkami ślady łez na jej twarzy, i wyspowiadać jak mąż, jak kochanek tę hardą boleść, zamkniętą. Prosto z kościoła wyjechaliśmy na wieś. Mrok zapadał, różowe blaski gasły na zachodzie, gdyśmy zostawili za sobą ostatnie domy Warszawy. Powóz toczył się szybko po równej drodze. Spojrzałem na żonę; z głową niedbale wspartą o poduszki, siedziała w rogu karety

spokojna, surowa jak zawsze, wziąłem jej drobną rękę, zdjąłem rękawiczkę i na tej ręce na której błyszczała już obrączka moja, złożyłem pierwszy długi pocałunek kochanka. Nie cofnęła ręki. Ośmielony, zbliżyłem się i kibić jej objąłem namiętnem ramieniem, usta moje spragnione zbliżając do ust jej. Leonora pozostała w ręku moich bezbronna, ale martwa; twarz jej nie zdradzała ani dziewiczej trwogi, ani rumieńca wstydu; ani słowem, ani spojrzeniem, ani ściśnieniem dłoni nie odpowiedziała na uściski moje. Byłaż to żona moja, czy ofiara przemocy? Byłbym wolał wszystko niż to bierne poddanie się. Usta jej mroziły moje pocałunki, ręce w moich palących dłoniach pozostały chłodne, pierś przy piersi mojej biła jednostajnie. Ja konałem z rozkoszy i bólu; sto razy miałem na ustach ten wykrzyk: „ty mnie nie kochasz“, ale nie wymówiłem go. Czyż nie powiedziała mi dziś rano jeszcze, że miłość, nadzieja, wiara, wszystko to pozostało za nią w drodze życia? A jednak ja od tych chłodnych ust nie mogłem moich oderwać; pomimo bólu, jaki czułem w sercu, piękność jej silniejsza była niż obojętność, a zmysły moje zwyciężyły serce. A jednak nie mogłem spojrzeć bez wyrzutów sumienia na tę kobietę, nad którą władzę nadawały mi prawa tylko, nie miłość; ona przyrzekła mi być wierną żoną, nic więcej, i dotrzymywała słowa. Oddawała mi się bez oporu, bez skargi i radości, tak jakby dopełniała warunków umowy, do której wcale nie wchodziło serce.

Dnie i tygodnie mijały, nie przynosząc najmniejszej zmiany w naszych stosunkach. Patrzyłem w jej wielkie,

jasne, obojętne oczy i piłem z nich żar i ogień; wspierałem głowę na jej marmurowej piersi, marzyłem o jakiemś rajskiem życiu miłości i rozkoszy! a tymczasem chmury na jej czole były coraz posępniejsze, wzrok zdradzał coraz większe znużenie. Ale usta jej milczały uparcie. Prócz potocznych obojętnych rozmów, nie odpowiadała na pytania moje, coraz natarczywsze, coraz namiętniejsze. Jednego tylko nigdy uczynić nie śmiałem pytania: czy mnie kocha. Przeczuwałem odpowiedź, usłyszeć jej nie miałem odwagi. Co ją broniło przeciwko miłości mojej? inne uczucie, czy wyczerpanie serca? Bo czułem, że walczę z jakąś niewidzialną potęgą i walczę daremnie; siły ducha wyczerpywały się we mnie, odbiegała mnie nadzieja, a miłość podniesiona tym niemym oporem stawała się gorączkową, drażliwą, niespokojną. Cierpiałem gdym był od niej daleko, cierpiałem gdym ją trzymał w ramionach. Ta kobieta nigdy prawdziwie nie należała do mnie. Gdzie były jej myśli w chwili gdy usta nasze łączyły się pocałunkiem? gdzie szło to dojmujące spojrzenie? Za jedno słowo miłości, którego nie wymówiła nigdy; byłbym oddał życie i ją samą. Nie miałem prawa się użalać; a jednak nie umiałem milczeć zawsze. Jest logika namiętności silniejsza od wszystkich umów i postanowień czynionych na zimno. Człowiek kochający prawdziwie, musi żądać wzajemności, nie pytając się czy to jest lub nie jest sprawiedliwe; człowiek co cierpi szalenie, wobec istoty kochanej musi wybuchnąć w końcu. A jam był w wieku jeszcze, w którym wszystko we mnie rozwijało się i wzrastało; dotąd byłem zepsutem dzieckiem świata, nie łamałem się z żadną trudnością, nie

umiałem znosić, milczeć i wybaczać. Namiętności uśpione spokojnem życiem, budziły się we mnie ze straszną siłą; stworzony do cichego domowego szczęścia, do miłości podzielonej i uświęconej, byłem jak człowiek gwałtownie wytrącony z kolei, szukający daremnie równowagi. To co mnie spotykało, było właśnie tem, czego nie przewidziałem nigdy; nie pojmowałem, by kobieta mogła otworzyć mi ramiona a zamknąć serce i ducha. Winiłem Leonorę, gdym powinien był winić niedoświadczenie i omyłkę własną.

Zresztą ona nie była szczęśliwszą odemnie. Pomiędzy małżonkami jedno nie może być szczęśliwe kosztem drugiego; żona kochana przez męża; jak była kochana Leonora, musi pokochać go wzajem, lub znienawidzić koniecznie; obojętną pozostać nie może. Uczucia jej zagadką były dla mnie, a w chwilach spokojniejszych, gdym był w stanie rozważniej patrzeć na nią, widziałem odcienie tych dwojga uczuć, ale odcienie tylko. Zdawało mi się, że wola jej skłaniała się ku mnie; a jakaś ukryta, nieznana przyczyna odpychała ją mimowolnie. Czasami zastawałem ją w pokoju samą jedną z oczyma utkwionemi martwo przed siebie w przestrzeń, jak gdyby wśród ciszy jawiły się przed jej wyobraźnią jakieś widma, wywołane z mgły pamiątek; i wówczas źrenice jej miały ten blask zimny, przeszywający, jaki dostrzegłem w nich raz przed ślubem, gdy spoglądała na dawne klejnoty. A wyraz ten był tak lodowato zawzięty, nieubłagany, niemiłosierny, że to samo wspomnienie przejmowało mnie zimnym dreszczem. Ale obecność moja snadź rozpędzała te mary. Leonora wracała do zwykłej obojętności, nawet czasem starała się

uśmiechnąć; ale uśmiech ten nie pochodzący z serca, nie rozjaśniał jej surowej piękności; był mi tylko dowodem dobrej woli i niczem więcej. Nieraz siedząc u jej nóg, patrzałem godziny całe w jej oblicze, chcąc wyczytać ten marmurowy hieroglif; na pozór rysy jej były zimne, a jednak jakiś nieznaczny ruch nozdrzy, jakiś blask przelotny jasnych źrenic zdradzał, że pod tym powierzchownym lodem wrzała jakaś myśl czy namiętność ukryta. W każdym razie nie była to miłość. Ona przed rozkochanem okiem ukryć się nie może nigdy; jest to rodzaj braterstwa ducha widnego od razu. Łuk jej brwi ciemnych łączył się ciemno-złocistą linią nad nosem, a często ściągał się boleśnie, rysując na jej alabastrowem czole zaledwie dostrzegalną brózdę; usta zbyt wązkie może, zazwyczaj przycięte, uderzały wyrazem dziwnym. Wiedziałem to od dawna, że cierpi, ale przyczyna uchodziła mi. Napróżno więc osypałem ją dostatkiem i miłością.

Tak minęła zima. Wiosna rozjaśniła ziemię. Czas zdawał się nie przynosić jej ulgi ani ukojenia; za to dla mnie chwila każda dorzucała ciężaru, bo coraz bardziej niweczyła nadzieje moje. Jakieś uczucia nieznane dawniej podnosiły mi się w piersi; nieszczęście czyniło mnie złym i niesprawiedliwym. Co chwila wstrzymywałem wybuch gniewu bez przyczyny, bo w sercu mojem wrzał gniew zawzięty, ciągły, choć ukryty. Ludzie nie poznawali mego głosu drżącego od burz wewnętrznych; ja sam nie poznawałem już siebie. Widok Leonory nawet, budził we mnie najsprzeczniejsze uczucia. Dla czego ona nie była taką, jaką pragnąłem? dla czego te dumne usta nie

wymówiły nigdy słowa miłości? dla czego, gdy ja szalałem, ona pozostała nieporuszona? Pytania te mogłem zadać przeszłości, samemu sobie wreszcie, który przyjąłem ją taką i pokochałem. Jednak przyszła chwila wściekłego zaślepienia, w której zwróciłem je do niej, w której osypałem ją wyrzutami, przekleństwy, w której wymódz chciałem rozpaczą to, czego nie zdobyłem miłością. Leonora milczała długo wpatrując się we mnie smutnym i zdumionym wzrokiem; wreszcie powstała i postąpiła ku drzwiom, jakby chcąc zostawić mnie samego z szaleństwem mojem.

— Zostań! zawołałem przywiedziony do ostateczności tym pogardliwym krokiem; zostań! przynajmniej wysłuchać mnie musisz.

Oko jej zapałało tym zimnym blaskiem jej tylko właściwym, ale to trwało chwilę; zwróciła się i wyrzekła zcicha i łagodnie:

— Ostrzegałam cię Kazimierzu, nie chciałeś mi wierzyć: powiedz mi, w czem nie dotrzymałam przyrzeczeń moich, uchybiłam danemu słowu? powiedz, co mi możesz wyrzucać?

Miała słuszność; to jam był niesprawiedliwy. Dobijało mnie to uczucie i razem podbudzało bezsilną wściekłość.

— Leonoro! zawołałem: czyż nie widzisz, że w słowach moich jest ból bez nazwy? Ja cię kocham, ja chcę być kochanym; ja chcę widzieć szczęście w twych oczach.

Wstrząsnęła głową z nieopisanym wyrazem.

— Dałam ci wszystko, co dać mogłam, Kazimierzu, powinnam była przewidzieć, że ci to nie wystarczy,

powinnam była odrzucić ofiarę twoją. Sądziłam, żeś mnie zrozumiał. Daruj mi, ja także omyliłam się; ja nie chciałam ci przynieść nieszczęścia.

Był straszny smutek w tych słowach, smutek spokojny, ale może równy mojemu.

— Powiedz mi, czego ci brakuje Leonoro? Miej ufność we mnie.

— Nie brakuje mi nic, odparła; jesteś dobrym szlachetnym; czuję, że powinnam kochać cię i być szczęśliwą. Nie oskarżaj sam siebie przynajmniej; moja wina, jeśli szczęśliwą nie jestem.

— Ale dla czego? dla czego? pytałem z rozpaczliwym uporem.

Żona moja lekko wzruszyła ramionami.

— Są rzeczy niepowrotne, wyrzekła; choćbym chciała, nie potrafię być inną.

— Powiedz mi, co ty kochasz na świecie? mówiłem, wpatrując się w nią z zachwytem i wściekłością.

Milczała chwilę jakby i ją bolało słowo, które wymówić miała.

— Nie kocham nic, nie kocham nikogo, odparła wreszcie.

— I nie kochałaś nigdy?

Pobladła tak, że twarz jej i usta przybrały trupią nieledwie barwę.

— Kochałam ojca mojego, wyrzekła głosem tak stłumionym, że zaledwie zrozumiałem jej słowa; wówczas kochać mogłam. A dziś? Winnam ci prawdę Kazimierzu, mówiła z coraz większem wysileniem: na raz świat i ludzie

wydali mi się tak nikczemni; tak podli, na raz taki nawał boleści otoczył mnie ze wszystkich stron, że coś we mnie jękło i zamarło na zawsze.

— Bądź sprawiedliwa przynajmniej; czyż ja winienem temu?

— O nie, nie! zawołała; a jednak jest straszna solidarność pomiędzy ludźmi: gdyby świat nie okazał mi się w całej strasznej nagości, ty byłbyś szczęśliwy Kazimierzu, boś powinien być kochanym.

Cóż odpowiedzieć mogłem? Ona miała słuszność. Panowała nademną swym chłodnym spokojem; ale w głębi serca ja miałem słuszność także, bom cierpiał. Wszystkie nadzieje życia omylone, wszystkie nienasycone pragnienia ducha i władze serca skazane na milczenie, podnosiły we mnie bunty straszne, tem bardziej, że jak na szyderstwo, przy mnie była kobieta, w której złożyłem je wszystkie.

Ale cierpienie moje zamykałem w głębi łona, wobec świata, wobec matki nawet, przyznać ich nie chciałem; z rodzajem dumy kłamałem uśmiechy, z myślą śmiertelnie smutną układałem twarz i słowa, by potem zmordowany, podwójnie czuć gorycz mojego położenia i z nowym szałem zatapiać się w rozpaczy. Zresztą ja tak od razu nie przyjąłem tego wyroku nieszczęścia, co chwila łagodziłem samego siebie, wmawiałem nadzieję straconą od dawna, budziłem znów zmartwych marzenia, bo przyjąć losu, jaki sam zgotowałem sobie, nie mogłem od razu; żywotność natury mojej sprzeciwiała się temu. Trzeba było, by wprzódy duch mój osłabł w bezsilnej walce, zatruł się bezsilną rozpaczą, rozbił się o niepodobieństwo, zanim

poddał się ostatecznie i potrafił oko w oko zmierzyć się z przyszłością.

Próbowałem wszystkiego, czego człowiek próbować może; zwiedzałem z żoną moją obce kraje, żyliśmy w świecie, chciałem zbudzić w niej jaką bądź strunę, chociażby miłości własnej, i struna ta zadźwięczała mi jedna. Leonora lubiła błyszczeć; gdy piękność jej podniesiona świetnym strojem gasiła wdzięki innych kobiet, gdy w koło rozlegał się szmer pochlebstwa, uwielbień, zazdrości, wówczas dziwny uśmiech roztwierał jej usta, czoło surowe rozjaśniało się dumnie, i postać ta zamarła zdawała się odżywać tajemniczem życiem. Z radością spoglądałem z razu na tę zmianę; sądziłem, że po zbudzeniu się tego pierwszego kobiecego uczucia, zbudzą się inne, że nastąpi w końcu owo przetworzenie moralne oczekiwane z takiem upragnieniem. Omyliłem się: Leonora rzuciła się w wir świata, ale dla tego nie stała się ani bardziej wylana, ani kochająca, ani szczęśliwsza; z rodzajem zimnego postanowienia, z jakiem oddała mi rękę, wstąpiła na nową drogę zbytku przepychu i błyskotnego życia, a piękność jej, nieugięta duma, chłód oblicza i jakieś piętno tajemnicze a niepospolite, zaciekawiało ludzi. Zresztą świat zwykle wielbi tych, którzy pogardzają nim w głębi ducha. Leonora była wielbiona i lubowała się w atmosferze hołdów.

Ja nie pojmowałem tego, jak wielu rzeczy w mojej żonie; ale ten nowy zwrot naszego życia stawał mi się coraz bardziej nieznośnym. Lubiłem ciszę, spokój, pogodne uczucia, skromne rozrywki, a otaczał mnie gwar i zamęt;

kryłem więc znużenie moje, i śledziłem coraz baczniej tę, co jedynie obchodziła mnie na świecie, Leonorę. Czasem gdy wsparta na mojem ramieniu wchodziła na bal lub zgromadzenie, oczy jej przenikliwe przebiegały tłum otaczający; ale czasem w jej wzroku zapalał się ów blask nieubłagany, — czemu? nie pytałem daremnie, ale idąc za kierunkiem spojrzenia, nie mogłem zrozumieć go także. Czasem idąc ulicą zemną, zbladła nagle i ręka jej zadrżała konwulsyjnie, ale zapytana nie dawała mi odpowiedzi. Życie nasze na pozór błyskotne i świetne wlokło się wśród jednostajnych zabaw i rozrywek świata; z rana wizyty, sprawunki, potem stroje, obiad wystawny, teatr lub koncert, w nocy bal, i codzień jedno i toż samo. Upadałem ze znudzenia i niesmaku, gdy znowu nowa nadzieja zajaśniała mi w życiu, nadzieja upragniona całem sercem; nadzieja ojcostwa. Od tej chwili Leonora stała mi się podwójnie drogą; wola jej, kaprys nawet, był dla mnie prawem; z uczuciem rozrzewnienia, czci i szczęścia spoglądałem na nią, i z razu wierzyłem, że wszystko złe minęło, że w końcu serce jej otworzyć się musi.

Wprawdzie Leonora nie zmieniła się wcale, nie znała marzeń przyszłości i moje przyjmowała z lekceważącym uśmiechem; jednak rachowałem na pierwsze spojrzenie, na pierwszy krzyk jej dziecka, by zbudzić to zamarłe serce.

Chwile te najszczęśliwsze były w mojem nędznem życiu; ufałem, miałem nadzieję, a dzień każdy zbliżał mi jej spełnienie; w oczekiwaniu zapomniałem o sobie, żyłem tylko dla żony mojej, której stan zdrowia nie pozwalał na huczne rozrywki jakie lubiła.

Wróciliśmy na wieś, ja dnie całe spędzałem przy niej, starając się urozmaicić jej samotność, otaczając ją tem wszystkiem czego napragnąć mogła; matka radowała się wraz zemną, i po raz pierwszy w życiu uczułem to ciche spokojne szczęście, które było marzeniem mojem, do którego stworzony byłem.

Ale jak zwykle nadzieje ludzkie i moje omylone zostały, szczęście to całe w oczekiwaniu trwało krótko. Narodził mi się syn, lecz Leonora nie odmieniła się dla tego. Dziecię to przyjęte prezemnie z bijącem sercem, oblane łzami radości, ukochane zanim ujrzało światło dzienne, dziecię to nie zbudziło w jej kamiennem łonie żadnego uczucia, nie dojrzałem na jej bladem licu tego wewnętrznego blasku, który opromienia męczarnie matek, nie, Leonora nie zdolną była być ani żoną, ani matką; serce jej nie przyjęło, nie ukochało żadnego z tych obowiązków, płacz syna nieodbijał się w jej wnętrznościach i nużył ją tylko, nie pragnęła go karmić mlekiem swojem. A jednak nie upadłem pod ciężarem tego zawodu, ale serce moje zranione i omylone z podwójną czułością zwróciło się do tej wątłej istoty, której brakło w pierwszej chwili życia niezmordowanej, przewidującej miłości matki. Ileż razy wśród nocy nie chcąc się spuścić na płatne dozorczynie, czuwałem nad dzieckiem mojem, koiłem jego łzy! ileż razy pochylony nad jego kolebką, wpatrywałem się w nie z rozkoszą. Powoli żona moja powracała do dawnego życia zbytków i zabaw, i znów ukazała się w świecie piękniejsza jeszcze jeśli to być może; dla mnie zmieniły się zasadnicze warunki bytu, przestałem silić się na niepodobieństwa,

przestałem zwolna marzyć o tem co być nie mogło, miałem teraz czem żyć, co kochać: miałem syna. W chwili gdy pierwszy raz usta jego poruszyły się wyrazem „tata“, przestałem myśleć żem jest sam na świecie; gdy po raz pierwszy usta jego złożyły się do pocałunku, zapomniałem jak zimne były usta matki jego. Żona moja stroiła się, wydawała świetne bale i uczty, jak złoty motyl błyszczała wśród czczych uciech, które jednak nierozjaśniały jej wcale, a ja strzegłem pierwszych kroków mojego dziecka, miałem jego pierwsze pieszczoty, pierwsze spojrzenia, gdy niespodziana zmiana położenia Leonory, wybitniejszą jeszcze rozdzieliła nas granicą.

Onufry od czasu do czasu odwiedzał nas w Warszawie, niezmienił on widocznie trybu życia swego, a dla żony mojej zachował rodzaj czci i miłości graniczącej z zachwytem. Jak przed ślubem naszym chciał pracować dla niej i poświęcał wszystko bez wahania, tak dziś spoglądał na nią z rozkoszą, gdy strojna jechała na bal, dostatek jej był dla niego dostatkiem, jej szczęście było szczęściem jego. Człowiek ten przywykł do wyosobienia się, on sam był z pewnością ostatnią istotą o której pomyślał: ja szanowałem w nim ten typ tak rzadki a tak naiwny; zresztą spotykaliśmy się w jednem uczuciu, w miłości dla maleńkiego Stasia mego.

Dla niego syn Leonory był istotą wyjątkową w ludzkości; rujnował się dla niego na cacka i łakocie zanim dziecię mogło rozróżnić przedmioty.

Dnia jednego o niezwykłej porze, Onufry przybył do nas. Twarz jego zmarszczona, żółta i przygasła, teraz

promieniała. Nie zważając na mnie, nie witając się prawie z rozwianym rzadkim włosem na głowie z drżącemi rękoma, zbliżył się do Leonory trzymając jakieś pisma. Żona moja w rannym negliżu siedziała przy herbacie; widząc go w tym stanie podniosła wzrok zdziwiony i spoglądała na niego.

— Pani moja! zawołał starzec przerywanym głosem: nie żałuję niczego, umrę szczęśliwy.

Więcej nie mógł mówić, łzy rzuciły mu się z oczu. Leonora cofnęła się niespokojna, czy jaka niespodziana wiadomość nie pomięszała mu zmysłów.

Ja zaś zbliżyłem się do niego, badając o przyczynę tych słów. Starzec odsunął mię prawie.

— Tak jest, mówił zwracając się do Leonory, tu dowód, wszystko zwrócone.

Zwrócone? Co zwrócone? pochwyciła badawczym urywanym głosem, powstając, i wpatrując się w niego tak, jakby głąb myśli wyczytać chciała.

Onufry uspokoił się pod wpływem tego nakazującego wzroku.

— Przeszłość! odpowiedział wracając niejako do trzeźwej przytomności. Dom handlowy w Londynie, który zawieszając swe wypłaty, spowodował ruinę pani ojca, powstaje znów, opłaca dawnych wierzycieli, jesteś znów bogatą.

Lekki okrzyk stłumiony, wydobył się z piersi mojej żony, twarz jej na chwilę, pokryła się szkarłatnym rumieńcem i znowu zbladła gwałtownie; jedną ręką przyciskała piersi jakby jej tchu zbrakło, drugą wspierała się o stół i tak stała przez chwilę z nieujętym wyrazem na twarzy. Ja nie

pojmowałem tego wrażenia: czyż brakło jej czego? czyż chciwość budziła się w jej myśli? Spoglądałem na tę dziwną kobietę, gdyż odsłaniała mi znów jedną nieznaną strunę swego ducha.

— Jesteś znowu bogatą, powtarzał z upojeniem Onufry, znowu jak dawniej królować możesz.

Leonorze nie dość było tego zapewnienia; dzikim nieledwie ruchem, wyrwała z rąk jego papier i czytała go chciwie, pożerała wzrokiem. Ale zwolna dziwna zmiana zaszła na jej twarzy; czoło powróciło do marmurowego spokoju, opuściła zniechęcone ramiona ku ziemi, szepcząc tylko „za późno!“

Przeczułem więcej niż dosłyszałem te słowa, choć Leonora zdawała się zapominać obecności mojej.

— Zapóźno! powtórzyłem gwałtownie; wytłómacz mi to słowo.

Żona moja zwróciła niedbale głowę w moją stronę.

— Tak jest, wyrzekła; zapóźno dla szczęścia mojego. Czy dziś bogactwo wrócić mi może wszystko co mi nędza odjęła? Czy wskrzesi ojca mojego i tę dawną istotę, jaką ja byłam za dni szczęśliwych.

Zamyśliła się; wsparła głowę na ręku i myśl jej odbiegła od obecnej chwili i błąkała się gdzieś daleko w krainie pamiątek.

— A jednak, wyrzekłem, przed chwilą byłaś szczęśliwą tym niespodzianym zwrotem losu.

— Pieniądz to potęga, odparła sucho; zanadto nienawidzę ludzi, bym nie radowała się tem wszystkiem, co mi daje władzę nad nimi. Czyż nie wiesz o tem?

Nie, nie wiedziałem, Leonora była dotąd dla mnie sfinksem tajemniczym, którego zaledwie kilka wyczytałem hieroglifów. Jednakże to zdanie wypowiedziane z zimną zaciętością, zabrzmiało mi przykro z jej ust, oszpeciło dla mnie piękne jej rysy. Nie byłem w stanie pojąć tego uczucia, dotąd nie znałem nienawiści, nie czułem się w prawie pogardzać współbraćmi jakiekolwiek były ich wady i winy. Cierpienie, które młodość jej zmroziło w zawiązku, mnie nauczyło rozumieć a zatem przebaczać.

— I cóż ci przyjdzie, rzekłem smutnie, z potęgi nad istotami, któremi gardzisz. Czyż warto dla nich marnować czas i życie?

Leonora spojrzała na mnie z rodzajem politowania, jak gdybym nie był w stanie jej pojmować, ale było w fazie wylanie i mówiła dalej, upajając się nieledwie własnemi słowy:

— Ci sami, którzy dawniej odwrócili się odemnie, dziś szukać będą spojrzenia mego, żebrać o uśmiech, ci, co dawniej dla nędzy mojej mieli uśmiech tylko. Ludzie oddadzą mi się w poddaństwo mocą podłości swojej, a ja będę mogła swobodnie deptać po ich zgiętych karkach i bryzgać im w oczy pogardą.

Oczy jej gdy to mówiła, płonęły dzikim a lodowatym blaskiem, była jak Eumenida szatańsko piękna ale odrażająca; można ją było podziwiać, kochać nigdy.

— Leonoro! zawołałem przerażony, chwytając jej ręce drobne, zaciśnięte konwulsyjnie, jakby pilno mi było zbudzić ją z tego marzenia, jak gdybym chciał zapomnieć o jej słowach i nie mógł wierzyć, że one płynęły z głębi

ducha; Leonoro, to być nie może by tak marna duma, tak nikczemna zemsta, była marzeniem twego serca.

Ona przez chwilę spuściła oczy i zamilkła zdziwiona; ale po chwili podniosła głowę i mówiła dalej uniesiona prądem własnych myśli, wlepiając na mnie urągliwe spojrzenie:

— Daremnie silić się będę na inne słowa. Są wspomnienia, które gryzą mnie i palą, odejmują sen z powiek, odbierają spokój serca i swobodę myśli. Próżno siliłam się zapomnieć, pragnęłam przebaczyć; nie mogę, nie potrafię, dopóki nie przyjdzie dzień zadosyć uczynienia; daruj mi Kazimierzu, tej jednej nadziei poświęciłam wszystko, nawet siebie. Ty nie masz powodu nienawidzić ludzi, ty mnie zrozumieć nie możesz.

Była prawda w jej mowie; słuchałem z politowaniem, gdy ten duch zwichnięty spowiadał mi rany ukryte. Teraz przejrzałem do dna jej istoty, wiedziałem wszystko.

— I cóż ci mam darować? wyrzekłem z goryczą. Ja ci nic nie wymawiam. W złej chwili ukazałem ci się jako bierne narzędzie, jako środek do tej zemsty, i nic więcej, zresztą byłaś wspaniałomyślną, ostrzegłaś mnie. Jam winien, boś ty wyrzekła prawdę; jam cię nie mógł zrozumieć.

W ostatnich czasach przecierpiałem tyle, zżyłem się tak z cichym bólem, zahartowałem się w nim niejako, że chwila ta, odkrywająca mi tak zupełnie znikomość marzeń jakie snuć śmiałem, niszcząca i burząca wspomnienia, nie przywiodła mnie do wybuchu. Tak jest; tę kobietę kupiłem na targowisku świata, ale nie szlachetnością, nie poświęceniem, kupiłem ją pieniądzem tylko; teraz tenże

sam pieniądz rozrywał nasze więzy, pozwalał jej być samą sobą, zrzucić z twarzy tajemniczą maskę i oswobodzić się z jarzma, które jej snadź ciążyło. Teraz zrozumiałem to wszystko; nie miałem nigdy żony, posiadałem niewolnicę tylko. Ale nie wypowiedziałem tego. Na co próżne słowa pomiędzy tymi, którzy się pojąć nie mogą. Zresztą w tej chwili, myślałem mniej o sobie; nie szło mi już o przyszłość moją straconą z góry: szczerze i prawdziwie litowałem się nad nią.

— Leonoro! Leonoro! wyrzekłem smutno, jak marnej jak nędznej idei poświęcasz życie i bicie młodego serca.

Zadrżała od stóp do głowy pod temi słowami.

— Nie chcę litości twojej; nie chcę litości niczyjej, zawołała gwałtownie.

Duma jej jednak strasznie zranioną była, oburzały ją nawet te słowa z głębi ducha płynące; snadź, dla tego chorego serca nie było już uleczenia, próbowałem jednak:

— Bądź szczęśliwą i przyjmij życie jakie masz, ukochaj cośkolwiek na świecie, chociażby własne dziecię; inaczej póki cierpisz i nienawidzisz, podpadasz litości ludzkiej, daremnie się oburzasz wzbudzać ją musisz, bo prawdziwie nieszczęśliwa jesteś.

Przez chwilę zastanowiły ją te wyrazy, po raz pierwszy w życiu mówiłem do niej słowami rozsądku nie namiętności, i dziwna zmiana zaszła w jej rysach surowych i ściętych: wargi jej zadrgały wzruszeniem, wzrok się zamglił i pierś jej podnosiła się szybko jakby wzburzona wewnętrznem łkaniem. Zakryła twarz rękoma i wyszeptała przerywanym głosem:

— Kazimierzu! ja byłam inną dawniej; tyś mnie nie znał wówczas: kochałam, wierzyłam, uśmiechałam się do świata, — i ty sądzisz, że przebaczyć można, gdy na raz odjęte zostało mi wszystko?

Głos jej zamarł w cichym szepcie; pozostała na miejscu nieruchoma. Sądziłem, że to kamienne serce zmiękło w końcu, że obecna chwila stopiła lodowy pancerz, którym opasało ją nieszczęście; zbliżyłem się do niej, objąłem lekko jej kibić pochyloną, chciałem, by podnosząc oczy, spotkała najprzód wzrok mój pełen miłości i nadziei. Pomimo wszystkiego nie mogłem zerwać z tą miłością: złożyłem w niej nadto wiele skarbów własnego ducha, ona zżyła się z całą istotą moją, ze wszystkiem co dobrego było we mnie, w każdej myśli, w każdem marzeniu, w każdym zakącie serca trzeba było szukać jej korzeni i wyrywać je bez miłosierdzia. Ale Leonora zamiast oddać mój uścisk, wyrwała się z ramion moich z nieukrywanym wstrętem; wyraźnie ja w tej chwili daleki byłem od jej myśli. Może mogła jeszcze kochać, ale nie mnie, mnie, co byłem dla niej wspomnieniem złych dni przeszłości, com stał się panem jej życia. W tej chwili, w tym jednym ruchu, zrozumiałem to z głęboką boleścią; wszystko com uczynił dotąd, stawało pomiędzy nami niepowrotne. Oddaliłem się w milczeniu, cóż więcej powiedzieć mogłem? co więcej przecierpieć? Zauważyłem, że po wyjściu mojem, żywa choć cicha rozmowa zawiązała się pomiędzy Leonora a Onufrym; obecność moja była dla niej zawadą, pewnem moralnem jarzmem, ciążyła na niej może mimo jej woli i wiedzy.

Od dnia tego, na pozór nic nie zmieniło się w życiu

naszem, tylko majątek zwiększył się w dwójnasób. Leonora coraz większym otaczała się zbytkiem; dotąd dość dla niej było błyszczeć, teraz chciała zaćmić wszystkich; pragnienie strojów, zabaw, zmieniło się w niej w rodzaj gorączkowej żądzy, ona musiała być wszędzie i wszędzie najpiękniejszą. Nieraz wśród balu wszystkich oczy zwracały się na nas; poglądano na mnie z zazdrością, jaką sprawia każde powodzenie, byłem mężem najpiękniejszej kobiety w Warszawie, cień żaden nie zaćmił widomie naszego wspólnego pożycia, a na domiar niespodzianie spadała na nas ogromna fortuna. A jednak gdyby kto był zajrzał w głąb piersi mojej, znalazłby tam nieuleczony smutek, rozstrój i rozłamanie. To, na czem oparłem życie, usuwało mi się z pod nóg; wiara młodych lat moich pokazała się mylną; w głowie mojej był chaos, zamęt, w sercu zawód i ta miłość osłabiona tylu ciosami, a jednak dość silna jeszcze, by przykuwać mnie do tej kobiety, by coraz nowe sprawiać mi cierpienia i odnawiać co chwila spełniany kielich goryczy.

Leonora miała słuszność; teraz panowała nad światem, wszyscy dobijali się o jej uśmiech, spojrzenie. Jeśli zadowolenie dumy może przynieść szczęście, ona powinna była być szczęśliwą. A jednak tak nie było: czytałem to na jej twarzy gorączkowej i znużonej, w przygasłem wejrzeniu, które tylko wobec ludzi zapalało się sztucznym blaskiem; ale nie wznawiałem napróżno uwag i rad moich. Widząc, że wszystko napróżno, zamknąłem się także w milczeniu cierpienia.

Jak każdą kobietę młodą, piękną, wykwintną, rój wielbicieli otaczał Leonorę, przecież świat nie mógł rzucić

na nią podejrzeń swoich, przyjmowała ich hołdy z jednakim dumnym spokojem, jako rzecz jej przynależną, rzadki jej uśmiech zarówno rozdzielał się pomiędzy wszystkich. Jednak pomiędzy tym motylim światowym tłumem, oko moje rozeznało jednego człowieka, który może najmniej zbliżał się do żony mojej, ale za to ścigał ją nieustannie wejrzeniem. Leonora obchodziła się z nim dumniej jeszcze niż z innymi, na wzrok jego odpowiadała szyderskim uśmiechem, ale on niezrażony znosił to z pokorą prawdziwego uczucia lub wysokiej sztuki. Zaczął bywać w domu naszym, żona przyjmowała go jednak tylko wtenczas, gdy drzwi nasze stały dla wszystkich otworem. Ze mną starał się zabrać ściślejszą znajomość, ale ja nie miałem wcale wśród świata przyjaciół, nad etykietalne konieczne stosunki nie miałem i mieć nie chciałem innych. Powoli świat zanegował mnie zupełnie, ginąłem w blasku żony mojej, uważano mnie jako cień pięknej Leonory, jako męża królowej, nic więcej. Stanowisko to było mi obojętne; obok serdecznej rany nie pozostało miejsca na drobne drażliwości miłości własnej; zresztą świat miał słuszność: należałem do niego jedynie przez żonę; nie dbał o mnie jak i ja o niego, to zdawało mi się sprawiedliwem.

Usiłowania więc pana Karola (tak się nazywał uparty wielbiciel Leonory) żadnego nie odniosły skutku; zwróciły tylko na niego baczniejszą uwagę moją. Był to typ jaki spotyka się codzień człowieka przeżytego prawdziwie lub pozornie, zanim rzeczywiście żyć zaczął; wychowany w sztucznej atmosferze zbytku i wykwintu, wierzył tylko w użycie i w sposób użycia — w pieniądz. Ci, którzy go nie

posiadali, przestawali istnieć dla niego, lub wydawali mu się tylko stworzeni jako narzędzia zachceń i kaprysów dla szczęśliwców świata tego. Miłość, wiara, serce, szlachetne porywy, czyny nie przynoszące doraźnych korzyści, nie wchodziły w jego rachunek. Wiedział wprawdzie, że są ludzie dość szaleni, by dla podobnych mrzonek poświęcać realniejsze korzyści; ale sądząc innych według siebie, podejrzewał zawsze, iż jakieś głębokie plany ukrywają się po za mniemaną szlachetnością ludzką, a tych coby ją brali na seryo, miał za rodzaj waryatów, stworzonych na to tylko, by wyzyskiwani byli przez bieglejszych od siebie w sztuce życia. Takie przynajmniej było głośne wyznanie wiary Karola; czy zupełnie stosował je w praktyce? nie wiem. Przeszłość jego obchodziła mnie zbyt mało; czy w głębi ducha nie pozostała jakaś iskra źle stłumiona, która w danej chwili roztlić się mogła? — nie wiedziałem także. Ludzie tak często stwarzają sobie w myśli typ idealny, do którego zastosować się pragną; natura tak często mści się za gwałt zadany niespodzianym wybuchem, że im bardziej patrzałem na świat, tem mniej sądzić śmiałem stanowczo.

Patrzałem więc na tego człowieka bez niechęci, zazdrości lub pogardy, jak na specimen jednego z licznych gatunków ludzi, przesuwających się przed memi oczyma. A jednak Leonora inną była dla Karola niż dla wszystkich: nigdy nie przemówiła do niego inaczej jak gorżkim sarkazmem; nigdy nie spojrzała bez tej złowrogiej zaciętości w twarzy, która od czasu do czasu przemieniała w maskę tragiczną jej twarz piękną. Czy jak niektóre pierwotne kobiece natury, nienawidziła go właśnie dla tego,

że ją kochał, czy też ukarać w nim chciała bezwzględnego czciciela złotego cielca, któremu sama hołdowała w głębi ducha, nie mogłem odkryć. Doszedłem był do tego stopnia cierpienia, że to było mi obojętnem prawie; do zbytku zadrażnione wszystkie struny miłości, zamierały jedna po drugiej; żonę moją kochałem jeszcze, ale już bez świadomości, bo myśli i uczucia moje spłynęły się w ponury beznadziejny smutek, w rodzaj apatyi serca, z której sądziłem, że nic mnie już zbudzić nie zdoła.

W tym pojęciu myliłem się także. Cierpienie to istny obraz nieskończoności; któż śmie powiedzieć, że doszedł do dna jego głębi? ono mierzyć się tylko może siłą wytrwania człowieka, a nieraz struny serca zamarłe już dla szczęścia i nadziei, zdolne są jeszcze odezwać się bólem. Cierpimy nad tem cośmy już sto razy przecierpieli, i nad tem co nam z góry zdaje się obojętnem; cierpienie jak Proteusz zmienia kształty i barwy, a kto raz popadł w moc jego, nigdy się z niej wyłamać nie zdoła.

Traf ślepy rozwiązał w końcu dla mnie zagadkę postępowania i charakteru Leonory, i odkrycie to po tylu zawodach było mi jeszcze boleścią.

Dnia jednego wchodziłem do salonu żony, gdy wśród żywej rozmowy, dosłyszałem kilkakrotnie wymówione moje imię i zatrzymałem się we drzwiach za portyerą, której bogate fałdy przysłoniły mnie zupełnie. Są chwile w życiu, w których zapominamy o wszystkich względach świata; tak stało się zemną. Węzeł dramatu mego życia rozgrywał się o parę kroków odemnie; mógłżem go nie wysłuchać?

W salonie były tylko dwie osoby: żona moja i Karol. Młody człowiek wyszedł zupełnie ze swej roli obojętnego gentlemana; na twarzy jego grały uczucia, oko płonęło żądzą, prośbą, łzą może, bo na czole jego tkwił ból, ból prawdziwy; stał naprzeciw Leonory z głową schyloną jak winowajca, smutny, zakochany. To nie była komedya światowej miłostki, czytałem to wyraźnie w rysach jego zmienionych, w ustach, które drżały bez słów, w zapomnieniu nawet i zaniedbaniu postawy, gdy słuchał słów płynących z jej ust gorączkowo; a jednak snadź to prawdziwe uczucie nie czyniło na niej najmniejszego wrażenia, bo postać jej, którą widziałem wyraźnie odbitą w przeciwległem zwierciadle, nigdy może nie była tak lodowato dumną, tak niemiłosiernie szyderczą; na słowa jego urywane, serdeczne, odpowiadała przeszywającym sarkazmem tylko, gradem pocisków gorzkich i zjadliwych. Ale on znosił wszystko, pokorny jak dziecko lub człowiek pokonany namiętnością.

— Leonoro, mówił z cicha: wspomnij na dni dawne, tyś mnie tak kochała!

Oto pierwsze słowa jakie dosłyszałem. Wybuch śmiechu był całą odpowiedzią.

— Patrzę na ciebie, mówił dalej Karol niezrażony, i odnaleźć cię nie mogę. Jak inne było spojrzenie twoje!

— I nie odnajdziesz mnie już nigdy, wyrzekła; istota, którą byłam dawniej, umarła dawno.

On zbliżył się do niej z wolna, nieśmiało, i ukląkł przy jej stopach.

— Jeśli jam ją zabił, wyszeptał, czyż wskrzesić ją nie

jest w mojej mocy? Leonoro, ja cię tak kocham! Odbiegłem cię szalony, nie znając siły własnego uczucia; ale odtąd nie było dla mnie chwili szczęścia ani spokoju nawet; poznałem za późno, żem cię kochał niepowrotnie; powróciłem, szukałem cię i znalazłem żoną innego, świetną, piękną, dumną — ale czy szczęśliwą, o! odpowiedz, czy szczęśliwą?

Była chwila ciszy, ale nie wahania, Leonora z jakąś dziką radością patrzała na tego człowieka pokonanego, klęczącego przed nią; który kiedyś zadał tak ciężką ranę jej sercu.

— Jestem szczęśliwa teraz, wyrzekła z przyciskiem.

On nie zrozumiał znaczenia tego słowa, które mnie przejęło zimnym dreszczem, i podniósł wzrok, w którym nadzieja walczyła z boleścią, ale wyraz jej twarzy zmroził nadzieję.

— Tak, mówiła kobieta oddychając pełną piersią: teraz jestem szczęśliwa; sprawiedliwość spełniona: ten przez którego cierpiałam, cierpi; przyszła chwila, w której ja wzgardzić mogę tym, co mną pogardził.

Spodziewałem się słów tych, a jednak kto wie czy w tej chwili nie byłbym wolał zobaczyć w jej oku łzę żalu za przeszłością, na jej ustach słowo współczucia dla tego, który choć niegodny, był kiedyś jej pierwszą miłością. Zdaje mi się, żebym ją uszanował, gdyby serce jej zdolne było odczuć jakie bądź ludzkie uczucie, że miałbym był odwagę walczyć z człowiekiem, ale nie z tą martwą obojętnością dumy, o którą rozbijały się napróżno siły uczuć moich. Przyszedłem już był do stopnia rozpaczy, w

którym jaka bądź zmiana staje się pożądaną. Ale Leonora pozostała niewzruszona; podobne istoty nie wzruszają się niczem. Mogłem być spokojny o imię i cześć moją: ta kobieta zbłądzić nie mogła.

I znowu usłyszałem w salonie przycichły, drżący głos Karola:

— Leonoro, czyż nie ma litości w sercu twojem?

— Litości? powtórzyła; a ty czy miałeś litość nademną? czy pomyślałeś o tem, com przecierpieć miała od razu odepchnięta od czary życia, z której dotąd piłam pełną piersią? Sądziłeś, że zapomnisz o mnie; nie spytałeś, czy ja zapomnieć potrafię. Nie zapomniałam, pamiętałam o tobie w dniach nędzy bezsilna; pamiętałam, gdy inny człowiek ofiarował mi rękę swoją; pamiętałam gdym szła do ołtarza; pamiętałam w objęciach jego. Patrz, ten mały szmaragdowy medalion, który miałam od ciebie, nie opuścił mnie nigdy; przysięgłam samej sobie, że oddać ci muszę złe za złe, ból za ból, to było celem życia mojego. Dziś jestem spokojna: znam cię, wiem, że kochać mnie będziesz zawsze, bo uczcić we mnie musisz potęgę, której hołdowałeś życie całe, kochać mnie będziesz wszystkiemi złemi pierwiastkami twego ducha, a taka miłość jest niezgaszona jak ogień piekielny.

Była straszna wymowa w tych słowach, w których wzbierała jej dusza cała; ale wymowniejsze jeszcze było spojrzenie i wyraz twarzy. Karol spoglądał osłupiały prawie, na tę szatańską piękność, która oczyniała go jakimś czarem niepojętym. Leonora nie omyliła się, obrachowując tego człowieka: im więcej deptała go, tem on kochał więcej,

— on co wzgardził oddanem sobie sercem, on zdolny był tylko kochać to, co błyszczało i wymykało mu się z ręki, to co świat podziwiał i mógł mu zazdrościć. Kłamał gdy mówił, że powrócił do niej sam z siebie; powrócił, bo ją spotkał spokojnie królującą w świecie, i wówczas dopiero pożałował tego, co sam odrzucił. Leonora miała słuszność, że dla tak nędznego cierpienia nie miała litości; a jednak scena ta podsłuchana przypadkiem, rozwiązała ostatnie ogniwa, które mnie z nią łączyły: ta kobieta, której zemsta była jedynym celem życia, która jej poświęciła wszystko mimo piękności, dumy i wierności swojej nawet, budziła we mnie wstręt tylko. Zresztą serce moje przesycone goryczą, od dawna już bić dla niej przestało; dotąd cierpiałem tyle, że ostateczna chwila tej pierwszej szalonej miłości przeszła prawie bez bólu. Czegóż żałować mogłem? Z Leonorą nie zrywałem serdecznego związku, on nie istniał nigdy; nie traciłem złudzeń żadnych, odbiegły mnie od dawna; jedynym węzłem, który nas, łączyć powinien, był syn, ale czyż ona z ducha była matką jego? Dziecię to było wypadkiem w związku, który przyjęła z wyrachowania tylko, związku nienawistnego, i obchodziło ją równie mało jak ja sam.

Rozstaliśmy się spokojnie, bez próżnych słów, skarg i wymówek. Po kilku latach pożycia, wychodziłem z małżeństwa złamany na duchu, straciwszy więcej stokroć niż wiarę w ludzi, wiarę w samego siebie zrażony do świata, lękając się każdego z nim zetknięcia, i jak starzec pragnący tylko ciszy i spokoju. Ostatnie lata zdały mi się wiekami męki. Rozbitek życia, nie unosiłem nawet skarbów

wspomnień; pamiątki moje były gorzkie i zatrute, przeszłość równie jak przyszłość nie miała uroku dla mnie, była mi pustką i niczem. Dziecię sierota oto był cały skarb mój; powróciłem z nim do matki jak syn marnotrawny, a matka przyjęła mnie jak może tylko aniołowie w Niebie lub czasem matki na ziemi zbolałe dziecię przyjąć umieją. Bez wyrzutów, pytań ani pożałowań, wskazała mi dawne miejsce obok siebie, przytuliła mnie i syna mojego do piersi. Gdyby nie to dziecię, mógłbym był może wierzyć, żem prześnił złym snem lat kilka; tak wszystko po dawnemu szło w domu matki mojej, tak wszystko pozostało na miejscu, niby w oczekiwaniu powrotu mego. Ale któż potrafi wyrwać z serca pamięć dni przebolałych? Pod wpływem cichych ścian domowych, otoczony macierzyńską miłością, nie odnalazłem straconego szczęścia; życie moje bezpowrotnie złamane było, ja sam ponury, zrozpaczony, próbowałem daremnie snuć dalej nić istnienia; ręce moje opadły bezsilne, myśl zmordowana wymykała się z pod kierunku woli, serce zbolałe i zrażone zamierało w piersi.

Są momenta przejścia w życiu człowieka, które wprawiają go w odrętwienie ducha, w rodzaj letargu podobnego do śmierci. Ja sam nie mogłem odnaleźć siebie.

O Leonorze nie mówiliśmy nigdy, matka moja czuła się współwinną tej wielkiej omyłki serca, wychowaniem jakie mi dała: ona także widząc ruinę szczęścia mego, musiała w głębi ducha zwątpić o tem wszystkiem, w co wierzyła dotąd, ale miała odwagę milczenia. Jam nie był w stanie dotknąć myślą nawet żadnej z palących kwestyj, o które

rozbiłem przyszłość, bo myśl każda była mi boleścią, rany odebrane w walce życia były zbyt świeże, jeszczebym mógł wierzyć że one zabliźnią się kiedyś. Cierpiałem jak potępiony, matka moja spoglądając na mnie, cierpiała także, ale nigdy te dwie boleści nie zbiegły się, nie zmieszały się razem; oboje tailiśmy je przed sobą wzajemnie, oboje walczyliśmy w ciszy serc własnych, chcąc wysnuć słowo pociechy, którego szukaliśmy napróżno.

Tak przechodziły dni, miesiące, nie przynoszące mi zmiany żadnej. Cierpienie nie wydawało dla mnie zbawiennych owoców swoich, nie rozjaśniło mi serca, nie doprowadziło do wiedzy, szarpałem się z niem napróżno. Zabijała mnie pustka serca i myśli, której w wieku i z usposobieniem mojem maleńkie dziecię zapełnić nie mogło. Dla matki mojej Staś powoli stawał się światem całym; (jak to zwykle czynią babki), odnajdowała w nim młodość swoją, dla niego zapominała prawie o mnie, bo kochając go kochała mnie w nim jeszcze. Ja trawiłem się sam w sobie; młodość moja więdła, włos opadał z bladego czoła, surowy wyraz smutku ściągał usta moje, a przecież zaledwie miałem lat dwadzieścia cztery. W wieku, w którym drudzy wstępują dopiero w życie, ja nie mogłem się już niczego spodziewać, nie byłem nawet w stanie nic pragnąć. I nieraz zapytywałem samego siebie, czym kochał jeszcze żonę moją? ale nie, na wspomnienie jej pierś moja nie biła silniej, czułem tylko nieuleczony ból zawodu.

Kochałem miłość, ale nie Leonorę; kochałem to, co w niej złożyłem marzeń, nadziei i pragnień, lecz nie tę dumną i lodowatą kobietę, z którą nie wiązała mnie ani jedna

serdeczna chwila. I nie pomyślałem nawet o pokochaniu innej; przecierpiałem tak strasznie, że nie miałem siły i odwagi ważyć się na nowe boleści. Zresztą z usposobienia i wychowania nie pojmowałem pół-uczuć, miłostka nie miała dla mnie uroku; jak kobieta rozumiałem tylko zupełne oddanie, i w zamian sądziłem się w prawie żądać równie wiele; wówczas znękane i rozdarte serce moje nie było w stanie otworzyć się nowej miłości i nawet o niej zamarzyć.

Tymczasem gdy tak w oddali konałem prawie z bólu, świat ze zwykłą trafnością swoją rzucał na mnie kamieniem potępienia; świat, który zawsze wielbić lub szkalować musi to czego nie pojmuje, osądził po swojemu rozstanie moje z Leonorą. Ona z dawna była ze światem w przymierzu, pozostała na widowni jego, więc ona była nieskazitelną, ona była ofiarą, ja rzucony zostałem na pastwę oszczerstwa. Nie było mnie tam, bym się bronił, więc tysiące drobnych zawiści, zadraśniętych miłości własnych powstało przeciw mnie, i wkrótce w opinii ludzkiej odsądzono mnie od czci i wiary. Pogłoski te dochodziły mnie przez usta niby życzliwych, ale nie były już w stanie mnie dotknąć; uśmiechałem się tylko na nie litośnie, bo świat i ludzie oddawna przestali mnie obchodzić. A jednak człowiek każdy ma pewną słabą stronę, w której najnikczemniejsze pociski ugodzić go mogą. To co mnie znajdowało obojętnym, raniło matkę moją; cierpiałem w niej i przez nią tak, że wkrótce położenie moje stało się nie do zniesienia; codzień nowe potwarze wyciskały nowe łzy z jej oczu, spoglądała na moją twarz zestarzałą przedwcześnie i dręczyła się bardziej jeszcze nieszczęściem mojem.

Wreszcie postanowiłem wyjechać na czas jakiś, rzucić kraj i miejsce, gdzie obecność moja była tylko powodem bólu, i szukać wśród nowych ludzi i nowych widoków zapomnienia i rozerwania myśli. Matka moja nie sprzeciwiała mi się wcale, może miała nadzieję w oddaleniu, w rozrywce, wreszcie w młodości mojej; tak więc dnia jednego uściskawszy dwie istoty, które stanowiły cały mój świat serdeczny, puściłem się w podróż. Z razu z obojętnością zwiedzałem obce kraje; ale powoli żywotne siły niezmarnowane ocknęły się we mnie: byłem za młody jeszcze, by jakie bądź cierpienie mogło znihilować zupełnie ducha i serce moje; wyrwany z koła zabójczych wspomnień, począłem rozglądać się w około w pięknej naturze i w dziełach ludzkich, i wkrótce nowy świat roztoczył się przed okiem mojem zdumionem, świat sztuki i wiedzy otworzył mi skarby swoje. Poznałem po kolei ogniska dawnej i nowożytnej cywilizacyi; myśl moja budziła się, pracowała i odrywała się od przeszłości... a jednak nie znalazłem szczęścia.

Rozwój mój moralny był przeinaczony: doświadczenie poprzedziło wiedzę i jak ołowiana chmura zaciemniało mój horyzont wewnętrzny, ćmiło, gasiło wszystkie porywy ducha i krępowało mnie jakiemiś niewidzialnemi kajdanami, życie straciło dla mnie powab nadziei. Przebiegłem palące pustynie Afryki, dziewicze lasy amerykańskie, słuchałem szumu Niagary, doświadczałem okropności nieskończonych biegunowych nocy, a wszędzie wiodła mnie nie żądza nauki, nie chęć zdobycia sławy, ale po prostu ciekawość tułacza szukającego wrażeń nowych.

Powoli też z rozcierpiałego dziecka wyrobiłem się na człowieka: rozszerzał się mój horyzont moralny, rozumiałem wiele rzeczy dawniej niepojętych, spoglądając w oczy niebezpieczeństwom, nabyłem siły i hartu, nauczyłem się działać zamiast marzyć; ale serce moje pozostało puste i niepocieszone, wiedza zapełnić go nie mogła, potrzebowałem kochać a straciłem wiarę w miłość. Znałem ludzi, którzy w podobnem położeniu rzucili się z całą siłą w świat intelingencyi, którzy zamiast kobiety ukochali ideę jakąś, prawdę zdobytą z całą namiętnością i zaparciem gorącego ducha; ale jam tak nie mógł, serce moje nie było tej miary, i nieraz zapytywałem samego siebie, czy jeden uśmiech ukochanej twarzy nie wart więcej niż wszystkie mrzonki sławy i wiedzy? nieraz gdy koczujące życie zawiodło mnie pod dach gościnny amerykańskiego pioniera, gdy żona jego z dzieckiem na ręku krzątała się około skromnej wieczerzy, zazdrościłem twardego losu tych zgubionych dzieci cywilizacyi, którzy wśród trudów i niebezpieczeństw, ale z ręką wspartą o niewieścią rękę, postępują naprzód drogą życia. Ale nie oddawałem się niewczesnym marzeniom i próżnym żalom: były to raczej odbłyski przeszłości niż usposobienie ciągłe; na pozór zgodziłem się z losem moim, z dolą samotną; ludzie mogli znać mnie długo i nie domyślać się, że w głębi piersi mojej jest rana niezagojona. Jednak do kraju nie miałem odwagi powracać, jakbym przeczuwał, że tam cierpienia odżyją we mnie z nową siłą, że z usposobieniem mojem mogłem tylko znosić życie pełne zmian, ruchu i nowości. Potrzeba mi było koniecznie zagłuszyć owo

wewnętrzne *ja*, odzywające się niekiedy tylko z nieprzepartą mocą, choć serce ciągnęło mnie tam od dawna, choć zawsze i wszędzie w myśli mojej jawiła się anielska główka mego syna i poważna a smutna twarz matki jak dwa promienie w ciemnej przeszłości mojej. Ale z czemże powracać miałem? czy na to, by znów zakłócić ciche ściany rodzinnej wioski gorączkowem usposobieniem i walką ze światłem? czy na to, by znów chmury mego czoła osmucały bladą twarz matki i rzucały cień złowrogi na kolebkę dziecka? Wahałem się więc i zwlekałem ostateczną odpowiedź, gdy niespodziane wiadomości odebrane z kraju przecięły wahania moje. Wieści te były złe bardzo. Matka moja od dawna delikatna i cierpiąca, teraz zapadła mocno, a prócz tego zagrożoną była utratą wzroku. Napisała do mnie słów kilka drżącą ręką, prosząc, by mogła zobaczyć mnie jeszcze, nim na wieki zamkną się jej oczy. Resztę dopisała nieznana mi ręka.

Ten list dotknął mnie jak grom niespodzianie. Dotąd matka nie skarżyła się nigdy, nie wspominała o zdrowiu ani oczach swoich, czasem pismo jej było drżące i nieczytelne, ja nie zwracałem na to uwagi; zatopiony w sobie zapominałem o cierpieniach, jakie jej sprawiłem szaleństwami, rozpaczą, oddaleniem mojem, myślałem tylko o sobie, a ona tam może wypłakała oczy nademną i za mną, niepokój i żal podkopały jej zdrowie, skróciły życie.

Z sercem przepełnionem goryczą, wyrzutami i trwogą, dążyłem do domu. List ostatni cudownem prawie zrządzeniem losu, doszedł mnie szybko bardzo w Tryeście, w chwili właśnie gdym się gotował do nowej i długiej na

Wschód podróży; mogłem więc mieć nadzieję, że przynajmniej nie przyjadę za późno. A jednak im bardziej zbliżałem się do kresu podróży, tem więcej serce moje drętwiało w piersi, jakby pod naciskiem lodowatej dłoni. Porzuciłem kolej na najbliższej stacyi, zkąd jeszcze kilka ciężkich mil miałem do domu, ale nie spotkałem żadnej znajomej twarzy, zresztą sam lękałem się o co bądź zapytać, dać poznać nawet imię, by nie usłyszeć jakiejś strasznej wieści. Jechałem więc w milczeniu pocztowemi końmi w ponury wieczór zimowy znajomą okolicą. Gęste chmury gnane silnym wichrem przebiegały niebo, sypiąc niekiedy mokrym śniegiem; płaty brudnego w pół stopionego śniegu zaścielały błotnistą drogę, szkielety drzew szumiały złowrogo, wszystko w okół było obumarłe, straszne, ponure, jak przeczucia moje. Zadrżałem w końcu, poznając zdala mglisto rysujące się topole otaczające ogród matki mojej; księżyc zachodził krwawo, ze wsi odzywało się złowrogie wycie psów. Dziedziniec był pusty, dom pogrążony w milczeniu, okna ciemne. Co zwiastowała mi ta cisza? spokój czy nieszczęście? Jak szalony zeskoczyłem z pocztowej bryczki, której turkot zgłuszony błotem nie zbudził nikogo; stanąłem u drzwi domu i wejść nie śmiałem; wziąłem za klamkę, drzwi były zamknięte. Lękałem się uczynić jaki bądź hałas i zdradzić obecność moją, bo nie wiedziałem, jakie to wrażenie na chorej uczynić może; obszedłem więc dom i zastukałem do bocznej sieni obok kredensu oddalonej od pokoju matki. Ale długo bardzo dobijać się musiałem, nim zaspany lokaj otworzył mi drzwi niechętnie. Był to nowy nieznany mi

człowiek; spojrzałem na niego snadź bardzo znaczącym wzrokiem, bo stał w progu mierząc mnie nieufnie, jakby nie wiedział czy ma mnie wpuścić. Z jego strony była to naturalna ostrożność, a jednak to przyjęcie na pierwszym wstępie do rodzicielskiego domu ścisnęło mi serce. Czyż dla wszystkich miałem tu być obcym?

— Czego pan chcesz po nocy? spytał wreszcie opryskliwie lokaj; czy doktora? dziś żaden nie nocuje.

— Więc pani wasza zdrowsza, zawołałem z radością, w którą zmieszały się wszystkie trwogi moje.

Lokaj spojrzał na mnie zdziwiony, i nie odpowiedział wprost na ten wykrzyknik, snadź dla niego dość obojętny.

— Pani śpi od dawna, odparł.

Uspokojony teraz zażądałem klucza od mego pokoju, kazałem wypakować rzeczy, pytając kto jest przy matce mojej. Wówczas dopiero zrozumiał kto jestem.

— Pokój pana od tygodnia opalony, mówił krzątając się z zapałem koło mnie, by zatrzeć pierwsze złe przyjęcie i otwierając mi drzwi od salonu. Zaraz pójdę poprosić panny Anieli.

I nie czekając odpowiedzi, wybiegł spiesznie. Zostałem sam w pokoju. Wszystkie sprzęty stały na dawnem miejscu, ale jakby odmłodzone i rozweselone kobiecą ręka; nie było tu żadnego śladu opuszczenia, jakie zwykle przybiera dom w czasie choroby. Żardinierki pełne świeżych kwiatów woniały w powietrzu, białe firanki przysłaniały okna, wszystko tu było miłe, staranne. Byłem nadto wzruszony, by po szczególe uważać rzecz każdą, ale uderzył mnie wdzięk ogólny, gdy lekkie i szybkie kroki dały się słyszeć

w przyległym pokoju, a we drzwiach ukazała się smukła postać kobieca. Była to Aniela; wówczas dopiero przypomniałem ją sobie.

Przed kilku laty ubogą krewną sierotę matka moja wzięła na wychowanie; widywałem ją często, lecz nie zwracałem uwagi na kilkunastoletnią cichą dziewczynkę snującą się w domu matki. Anielka była jedną z tych istot, które tak mało zajmują miejsca, że dla obojętnych przechodzą niepostrzeżone; twarz jej ani piękna ani brzydka, nie miała nic uderzającego, ruchy spokojne i skromne nie zwracały uwagi. Chodziła cicho jak myszka i znajdowała się tam tylko, gdzie potrzebną była. Teraz przypomniałem sobie to wszystko, gdy witała mnie z serdeczną swobodą, mówiąc:

— Ach! jakże wyglądałyśmy pana, jakże się ciocia ucieszy!

— Odebrawszy wiadomość o chorobie matki w Tryeście, dążyłem tu dzień i noc przerażony.

— I nie odebrałeś pan listów moich ani w Wiedniu, ani w Krakowie? zapytała z pewnym niepokojem.

— Nie zatrzymywałem się wcale w drodze.

— Więc pan nic nie wiesz, wyrzekła smutnie.

— Nic wcale; ale mów mi pani, mów mi o matce mojej.

— Zdrowsza, podchwyciła Anielka; na teraz niespokojność o jej życie minęła, ale wzrok jej stracony bez nadziei, nie zobaczy pana więcej.

Tę wiadomość odebrałem na wstępie. Anielka z razu szanowała boleść moją, ale powoli zapytana, zaczęła opowiadać szczegóły choroby, słowa wyrzeczone przez matkę, w końcu wtrąciła imię Stasia, przeczuwając pono, że

w tej chwili to jedno może być dla mnie pociechą. Podniosłem się na to imię, potrzebowałem zobaczyć syna, przycisnąć go do piersi stęsknionej.

— Staś! zawołałem drżącym głosem, pokaż mi Stasia.

— Staś śpi w moim pokoju, wyrzekła; ale jemu przebudzenie szkodzić nie może, chodźmy.

I wziąwszy świecę prowadziła mnie po znajomych mi kątach domu, lekko, cicho aż do swego panieńskiego pokoju, tam za białą kotarą spał syn mój. Anielka stanęła przy nim, odchyliła ostrożnie muślin firanki, drugą ręką przysłoniła świecę, by blask jej nie raził oczu śpiącego.

Z nieopisanem uczuciem spojrzałem na dziecię; zostawiłem niemowlę w kolebce, dziś znajdowałem czerstwego chłopca. Spał spokojnie snem niezmąconym nawet marzeniem przykrem, usteczka jego różane poruszały się równym oddechem.

— Nie poznałbyś go pan, wszak prawda? szepnęła Anielka, wskazując mi go z dumą macierzyńską prawie.

Myliła się, poznałbym go był wszędzie: ta drobna dziecinna twarzyczka zbyt wybitne przedstawiała podobieństwo z Leonorą. Staś był piękny jak ona; odnalazłem w nim też same delikatne rysy, toż dumne czoło, na które spuszczały się pukle jasnych kręconych włosów, i zadrżałem ze wzruszenia, szczęścia i bólu, bo to podobieństwo, o którem nie pomyślałem nigdy, przywiodło mi na pamięć cały smutny korowód zatartych wspomnień. Więc nic tej przeszłości zniweczyć nie mogło! odzywała się ona do mnie nawet w rysach dziecka, witała na progu rodzinnego domu. Z pochyloną głową stałem nad śpiącym

synem, pożerając go nieledwie smutnym wzrokiem, zapytując samego siebie w głębi ducha, czem ja będę dla niego? czy to dziecinne serce otworzy się dla mnie? czy te usteczka poruszą się uśmiechem i słowem miłości? Nie wiem czy Anielka wyczytała te myśli z twarzy mojej, bo odezwała się jakby odpowiadając na nie:

— Staś pozna pana od razu; codzień przypatrywał się portretowi ojca, codzień rano i wieczór modlił się o szczęście i powrót jego.

Podniosłem głowę spoglądając na nią z serdecznością, i spotkałem jej ciemne łagodne oczy, utkwione we mnie z dziwnem współczuciem.

W tej chwili Staś poruszył się w łóżeczku i roztworzył powieki; twarzyczka jego zasępiła się najprzód na widok nieznajomego, ale po za mną ujrzał Anielkę i wyciągnął do niej drobne rączki, wpół rozpłakany, wpół uśmiechniony. Aniela pochyliła się szybko, wyjęła go z pościeli i kładąc w objęcia moje, szepnęła:

— Stasiu, patrzaj, tata przyjechał, uściskaj go.

— Tata! powtórzył chłopczyk wpatrując się we mnie, jakby rozpoznawał czy to prawda; tata! i nauczony snadź kochać oddalonego, objął szyję moją wdzięcznym ruchem.

Zapewne jednak w jego małej główce myśl przyjazdu mego wiązała się z wielu dziecinnemi nadziejami, bo wkrótce obejrzał się w około niespokojnie, pytając czy tata przywiózł mu konika i dużo cukierków. Zakłopotałem się tem żądaniem: wracając tak spiesznie, zapomniałem o wszystkiem, co nie było matką moją. Ale Anielka za to, myślała o wszystkiem; uczułem jak nieznacznie wsunęła mi

cukierki w rękę. Tym małym datkiem uspokoiłem Stasia, utrwaliłem pomiędzy nami przymierze; dziecię wkrótce zasnęło znów na mojem ramieniu, ja nie miałem sił się z niem rozstać, czułem rozkosz nieopisaną, trzymając je w objęciu, czując pod moją ręką jego serce bijące. Anielka wyszła przygotować mi herbatę, czy wydać jakieś rozkazy. Pozostawszy sam, rozglądać się zacząłem w tym cichym dziewiczym pokoiku, którego skromne sprzęty zdobił jakiś wdzięk i ład niewysłowiony. W atmosferze zdawała się unosić woń spokoju, pracy i wesela, których pragnąłem zawsze a nie znalazłem nigdy. Znękany tułaczem życiem, trwogą, niepokojem dni ostatnich, odpoczywałem z rozkoszą, oddychając pełną piersią powietrzem ciszy, zgody i miłości, jakie tu panowało. Takie było pierwsze niezatarte wrażenie powrotu mego pod strzechę rodzinną.

Nazajutrz dopiero mogłem widzieć matkę, gdy przygotowano ją do radości, jakiej tak dawno pozbawioną była. Ona znosiła mężnie rozłączenie, nigdy skargą żadną nie przyzywając mnie napowrót, nie krępując mi swobody życia; teraz dopiero spoglądając na nią, zobaczyłem ile przecierpiała w milczeniu, a ja niebaczny zatopiony w egoizmie własnego bólu, nie domyślałem się tego pierwej; trzeba było, by siły jej wyczerpane wypowiedziały posłuszeństwo woli, ażebym uczuł potrzebę powrotu i pocieszył jej dni ostatnie.

Matka moja siedziała na wielkiem poręczowem krześle, ubrana z pewną wytwornością, której powód pojąłem od razu: chciała o ile to być mogło pokryć ślady choroby i nie osmucać mego wzroku widokiem nędzy swojej. Ale na

próżno: pierwszem spojrzeniem objąłem straszne zniszczenie, jakie uczyniły na niej ubiegłe lata. Nie wiem czy matkę moją można było kiedy nazwać piękną, patrzałem na nią zawsze dziecinnemi oczyma zaślepionemi miłością; ale dzisiaj dziwny urok otaczał tę bladą, wywiędłą twarz pooraną zmarszczkami: wypisane na niej były wyraźne różne troski i bóle, ale ani jeden z tych co poniżają lub brudzą. Snadź cierpiała wiele, ale nie zaznała nigdy strasznych walk namiętności, ani tych pokus, które od razu dojrzałym czynią człowieka, ani tych myśli, co łamią lub podnoszą ducha. Nie, ona zachowała nieskalaną wiarę i ufność lat pierwszych, bo rysy jej nie straciły wyrazu dziecinnej niewinności; za lada wzruszeniem rumieniec oblewał jej sędziwe czoło, nad którem bieliły się rzadkie włosy, a blade usta składały się do uśmiechu nieporównanej słodyczy; tylko teraz oczy jej pozbawione blasku, powleczone jakby mgłą łzawą, przestały oświecać łagodnem wejrzeniem te rysy, ale nie odebrały im szlachetnego wdzięku.

Nie potrzebowałem przemawiać: matka poznała szelest moich kroków, i oblicze jej rozjaśniło się; wyciągnęła do mnie drżące ręce, jakby niecierpliwe, a usta jej poruszały się cichem łkaniem czy modlitwą.

Jak za dni dawnych ukląkłem przed nią, przyciskając do ust jej dłonie wychudłe, szepcąc zaledwie słyszalnym głosem słowa, które mi żal i skrucha przynosiły na usta.

— Daruj, przebacz.

Serce jej usłyszało mnie.

— I cóż ci mam przebaczyć, dziecię moje? wyrzekła,

jakby nie domyślała się uchybień, zapomniała sprawionych cierpień.

— Już teraz nie opuszczę cię nigdy, mówiłem; życie moje należeć będzie do ciebie jednej.

— Bóg widzi, pragnęłam tylko dobra twego, Kazimierzu; nie troszcz się o mnie, ja tego nie chcę, ja chcę byś był szczęśliwy.

— Dla mnie nie ma już, nie może być szczęścia bez ciebie! zawołałem; poznałem to, gdym się tułał daleki, poznałem lepiej jeszcze, gdym drżał o życie twoje. Matko, jakie ciężko musiałem zawinić, gdyś zwątpiła o sercu mojem.

— Nie, nie zwątpiłam nigdy, wyrzekła, przygarniając głowę moją do swej piersi; wiem, że kochałeś mnie zawsze w szczęściu czy w niedoli, blizki czy oddalony; ale wiem także, iż matki synom wystarczyć nie mogą; nie chcę krępować młodości twojej.

— Młodości mojej! powtórzyłem smutnie; młodość moja przeszła niepowrotnie, na czole mojem znajdziesz zmarszczki, włosy opadły mi z głowy jak próżne marzenia z serca, pragnę już tylko ciszy przy tobie, i zwyczajnego życia domowych trosk i uciech, któremi pogardzałem tak niebacznie. Matko, zostanę tutaj na zawsze, bo tutaj tylko jeszcze szczęście znaleźć mogę.

Ale z mowy mojej matkę uderzyło to najwięcej, że cierpienia życia zestarzyły mnie przed czasem, i skwapliwie przesunęła mi ręce po twarzy i głowie dla sprawdzenia słów moich, i westchnęła wlepiając we mnie oczy zagasłe, jakby szukała ostatniego promienia wzroku, ale znalazła w nich

łzy tylko, które ciche i ciężkie jak roztopione brylanty spłynęły zwolna.

— Mów mi o sobie Kazimierzu, wyrzekła w końcu: bo ja już nic nie wyczytam z czoła twojego; mów do mnie, niech słyszę przynajmniej kochany dźwięk twego głosu.

— I cóż ci powiem? odparłem cicho, bo łzy jej padały mi na serce niby ołów kipiący. Było mi źle na świecie, pragnąłem wiele a nic nie znalazłem, goniłem mary, próżno szukałem współ-myśli i współ-uczuć; jedno twoje serce ukochało mnie, oto powracam i tulę się do niego, jak za dni dawnych gdy byłem dzieckiem rozżalonem.

— A będzieszże szczęśliwy teraz między nami? spytała znów wlepiając we mnie oczy bez wzroku.

— Będę o ile człowiek nim być może, odparłem z mocą przekonania. Od wczoraj lekko mi i swobodnie; zdaje mi się, że zostawiłem po za progiem tego domu wszystko co udręczało ducha mego.

Miałem słuszność; zostawiłem wszystko prócz przeszłości; ona jak fatum miała zaciężyć nademną. Wówczas jeszcze nie wiedziałem o tem.

Z razu zdawało się, że obecność moja pokrzepiła wątłe siły matki; odetchnąłem swobodniej, Staś przylgnął do mnie zupełnie, i serce moje stęsknione, ściśnięte tak długo lodowatą atmosferą świata, rozradowało się wśród miłości rodzinnej. Ale matka moja spokojną nie była; coś dolegało jej, coś ciążyło, martwe jej źrenice chodziły za mną niespokojne, zwabione najlżejszym szelestem, jak gdyby rozpoznać mnie mogły.

Przypadkiem usłyszana rozmowa z Anielką zdradziła

tajemnicę matczynej czułości, dając mi nowy choć dziecinny dowód, jak niezmiernie i troskliwie kochany byłem.

— Anielko, mówiła matka, machinalnie oglądając się w około: gdzie mój syn?

— Nie wiem ciociu, odparła zagadniona; zdaje mi się, że wyszedł ze Stasiem; czy go mam poszukać?

— Nie, nie, przeciwnie, wyrzekła matka z pewną żywością; chciałam tylko pomówić o nim z tobą Anielko, ty jedna powiesz mi prawdę.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała; snadź była ona tak pewną wzbudzonej wiary iż czekała w milczeniu dalszych pytań.

— Opisz mi jak mój syn wygląda, ciągnęła dalej matka; zmienił się bardzo, wszak prawda? Ja nie mogę sobie stworzyć w myśli jego obrazu.

— Ach! ciociu, pan Kazimierz zestarzał się strasznie! zawołała niebacznie Anielka; przybyły mu nie lata, ale wieki.

— Może zmęczony podróżą, niewczasem? Wszak on jeszcze tak młody, nie ma lat trzydziestu.

— Ciociu, doprawdy on stary bardzo, mówiła dalej dziewczyna, na której musiałem zapewne smutne uczynić wrażenie; twarz jego wychudła, skronie zapadły, głowa prześwieca łysiną i zaledwie zachowała wieniec czarnych włosów. On musiał być bardzo biednym, bo wzrok jego tak smutny, tak poważny a taki łagodny, żeby się chciało pocieszyć go koniecznie; uśmiecha się rzadko i tak jakoś dziwnie, jakby dusza jego nie brała w tem udziału,

uśmiecha się tak ze zwyczaju, z dobrego serca, dla ludzi, ale nie dla siebie. Ciociu czyż na to, co go boli, nie ma żadnego lekarstwa?

W tych słowach była dziwna prostota; Anielka streściła doskonale tylko niemiłosiernie jak dziecko mój obraz fizyczny i moralny razem. Miała słuszność: cierpienie nielitościwie obeszło się ze mną, nie zostawiło mi świeżości, burza życia wypisała zbyt wyraźnie ślady swoje na mojej twarzy i napiętnowała mnie złowrogim znakiem nieszczęścia; może dla tego właśnie, żem nie rozpieszczał ducha próżnemi skargami, żem walczył wytrwale.

Cierpienie zazwyczaj to rzecz brzydka bardzo; ci tylko co nie znają go, poetyzować je mogą; ono jest sprzymierzeńcem najohydniejszych rzeczy na świecie, starości i choroby, niszczy zarówno siły ducha jak fizyczne siły, i z piedestału strąca człowieka.

Matka moja słuchała Anieli chciwie, ale ze łzą w oku; wyobraźnia jej dopełnić musiała to, czego brakło jeszcze. Dla mnie, rozmowa ta nie zawierała nic nowego; słuchałem jej obojętnie: od dawna rozstałem się z nadziejami młodości; zmiana twarzy mojej harmonizowała ze zmianą myśli i serca; więc naiwne przerażenie szczerodusznej Anielki wywołało mi tylko uśmiech na usta. Przez drzwi otwarte usłyszałem tę całą rozmowę, i ciekawość mnie wzięła zobaczyć dziewczynę w tej chwili; zbliżyłem się ostrożnie i zajrzałem do pokoju matki: Anielka stała przed nią spokojna, smukła i cicha jak zawsze. Teraz może po raz pierwszy przypatrzyłem jej się uważnie; na twarzy jej pociągłej mieszały się dziwnie dwa sprzecznie wyrazy:

dziecięcej niewinności i roztropności kobiecej. Rysy jej może nie były piękne, ale nadawał im urok wyraz słodyczy ciemnych myślących oczu i wdzięczny uśmiech ust świeżych. Włosy jej nie zbyt ciemne, harmonizowały ze śniadą barwą cery, z czołem gładkiem, spokojnem jak cicha tafla jeziora. Twarz jej blada zazwyczaj choć czerstwa, nie miała tego wyrazu przygnębienia zwykle cechującego sieroty. Aniela nie musiała doznać goryczy sieroctwa; przygarnięta do domu i serca matki mojej, nie przechodziła przez te moralne i materyalne nędze, jakiemi zazwyczaj okupywany bywa chleb udzielony z łaski. Z matką moją była zupełnie swobodna, a jeśli usta nazywały ją ciotką, to dźwięk głosu, to wyraz twarzy nadawał jej imię matki. Snadź też kochała ją jak matkę i była z nią zupełnie swobodną. Za odebrane dobrodziejstwa nie czuła się dłużną niczem, odpłacała je sercem, i z serdecznem przewidywaniem umiała stać się użyteczną, umiała roztoczyć w koło ład, dostatek i ciszę, jakie tylko kobieca ręka domowi nadaje. Snadź też musiała być szczęśliwa owem wewnętrznem zadowoleniem, jakie cechuje zdrowe inteligencye i niezepsute serca; starczyła jej atmosfera miłości i pracy, jaką stworzyła w koło siebie. Czy jakie marzenia przyszłości nie zakłócały spokoju jej czystej myśli? — nie wiem — ale one nie wkraczały w dziedzinę faktów; codzienne obowiązki spełniała ochoczo i wesoło, zbyt może zajęta drugiemi, by miała czas pomyśleć o sobie. Była to natura czynna i szlachetna, pełna prostoty i cichej odwagi. Z chorobą matki mojej, spadły na nią obowiązki nad wiek; jednak nie zastanawiając się chwili nad tym

ciężarem, podjęła go mężnie, wytrwale, z dobrą wolą, i podołała wszystkiemu, nie domyślając się może trudności swego położenia. W siedmnastym roku życia potrafiła zastąpić panią rozległego majątku; potrafiła stać się matką dla syna mego; potrafiła być razem dozorczynią i pocieszycielką opiekunki swojej i mimo to, czoło jej nie straciło pogody dziecięcej, usta srebrnego śmiechu pierwszej młodości, tylko obok tego nabrała powagi, myśl jej dojrzała wśród podjętych trudów, ludzie przywykli szanować ją i słuchać, bo czuli, że zasługiwała na to.

Te wszystkie myśli i uwagi przechodziły przez głowę moją, gdym patrzał na nią z za drzwi uchylonych rozmawiającą z matką moją, i ogarniało mnie rozrzewnienie dziwne, stałem w miejscu zapatrzony. W tej chwili matka zażądała czegoś; Anielka obróciła się szybko, by jej usłużyć, i zobaczyła oczy moje utkwione w siebie. Przypomniała sobie pewno wyrzeczone słowa, bo twarz jej oblała się płomieniem; jednak nie zdradziła pomieszania swego najlżejszym wykrzyknikiem, by nie ostrzedz chorej o obecności mojej. Zarumieniona wyszła z pokoju, dając mi znak milczenia.

— To brzydko podsłuchiwać cudzą rozmowę! zawołała, skoro głosy nasze dojść jej nie mogły; ciocia zmartwiłaby się, gdyby wiedziała, że ją pan usłyszał.

— Dla czego Anielko? odparłem rozśmieszony jej poważną minką; już dość za ciekawość ukarany jestem. Czy doprawdy znajdujesz mnie tak bardzo starym?

Pierwszy raz wówczas nazwałem ją po imieniu. Dla czegóż tego uczynić nie miałem? nie byłoż to dziecko w

obliczu starca prawie?

Anielka spojrzała na mnie zakłopotana, nie wiedząc czy ma śmiać się, czy płakać, choć w głębi jej łez nawet było szlachetne uczucie; lękała się czy mi nie sprawiła przykrości niebacznemi słowami, rozumiałem to i wyrzekłem:

— Bądź spokojna, nie powiedziałaś o mnie nic nowego, nic coby mnie ukłuć lub zaboleć mogło; odkryłaś mi tylko swe poczciwe serce.

— A dla czegóż patrzałeś pan tak smutno na mnie? spytała z niedowierzaniem.

— Patrzałem smutno, bo wzrok mój stał się takim, bo myślałem o wielu rzeczach, które czasem przychodzą mi do głowy. Myślałem o sobie i o tobie Anielko, porównywałem nas oboje. Ty stałaś się aniołem opiekuńczym tego domu, którego ja byłem złym duchem; tyś koiła cierpienia sprawione przezemnie, byłaś prawdziwą córką dla matki mojej w czasie gdym ja zapominał swych obowiązków, i byłem smutny, bom się wstydził przeszłości.

— Nie myśl pan o niej! zawołała dziewczyna; to nie zda się na nic. Dziś powróciłeś pan tutaj, kochasz tych, którzy cię kochają.

Miała słuszność: próżne żale nie naprawią niczego. Ze zwykłym sobie praktycznym zmysłem, nic nie wymawiając, dała mi to uczuć od razu. Zresztą nie zastanowiła się nawet nad tem, co mówiłem o niej; nie uznawała się za godną pochwał, nie traciła czasu na zbijanie ich próżne. Ciotka była dla niej matką prawdziwą; cóż dziwnego, że miała dla niej uczucie córki? wiedziała, że

ja byłem koniecznie potrzebnym do jej szczęścia, i kochała mnie o tyle, ile kochała mnie ona. Sam przez się istniałem dla niej tylko jako istota cierpiąca. Serdeczna i litościwa, chciałaby była ulżyć mi żalu, ale nie wiedziała jak to uczynić, nie miała doświadczenia życia; w zamian instynkt niewieści ostrzegał ją, że są rany,, których dotykać nie można, które goją się same lub niegoją nigdy.

Ale ja w tej chwili potrzebowałem niejako wyspowiadać się przed nią, uzyskać rozgrzeszenie i zachętę.

— I cóż ztąd, że powróciłem tutaj? wyrzekłem. Powróciłem za późno; miłość moja nie zatrze zła spełnionego.

— Zapewne, odparła; ale za to przyszłość jest w naszych rękach: szczęście pana powróci spokój tej, którą zasmuciłeś, bo ona tylko przez pana żyje.

— A czy jest w mocy mojej być szczęśliwym Anielko?

— Ja nie wiem, odpowiedziała dziewczyna z namysłem; ale w takim razie pan nic nie zawiniłeś. Dla czegóż pan ubolewasz nad przeszłością, jeśli ona nie była w mocy twojej?

Miała słuszność: w umyśle jej była prostota i logika niezbita żadnem fałszywem rozumowaniem. Teraz zakłopotana sama tym rezultatem naszej rozmowy, patrzała na mnie niespokojnie.

Przez doświadczenie i rozwój moralny stałem od niej wyżej daleko, a jednak na jej pytanie nie znalazłem odpowiedzi, i zawstydziłem się, żem zmącił pogodę jej ducha bezowocnie.

— Obyś nigdy nie poznała, wyrzekłem, jak nieraz prąd

życia unosi nas wbrew chęciom, jak nieraz mimowoli sami cierpiąc ranić musimy tych, których najbardziej kochamy!

Dziewczyna wstrząsnęła głową.

— Ja tego nie rozumiem, odparła nieśmiało; jeśli kochamy drugich, to myślimy o tem tylko, by nie sprawić im bólu.

I znów miała słuszność. Ja nie byłem nawet w stanie wytrącić jej myśli ze zwykłej kolei; jej czysta dusza zbrojna była puklerzem niesfałszowanych uczuć; słowo „kochać” miało dla nas odrębne znaczenie: dla niej było to zapomnieć o sobie; ja kochałem zawsze egoistycznie i dla siebie.

— Więc, wyrzekłem, ty potępiasz mnie bezpowrotnie?

— Ja pana! zawołała zdumiona następstwem własnych wyrazów; jakże ja pana mogłabym potępiać? ja nie znam ludzi, życia i świata; mówiłam to co myślę, i pewno mylić się muszę, skoro pan tak dobry, tak szlachetny, sprawiłeś tyle cierpień ukochanej matce.

— Nie, nie, Anielko! ty się nie mylisz, ktokolwiek sprawia boleść ukochanym, jest złym, albo też źle kocha; masz słuszność, czuję to dzisiaj.

Ale Anielka nie przyznawała sobie prawa sądu nademną; mówiła wprost szczerze co myślała, nie stosując tego do czyich bądź czynów. Wyczytałem w jej wyrazistych oczach, w jej twarzy, iż lękała się, czy nie obraziła mnie lub nie zasmuciła bezwiednie; więc rzekłem z uśmiechem:

— Jesteś wielkim mędrcem Anielko, to coś wyrzekła, zostanie mi w pamięci na zawsze.

— Pan żartujesz zemnie, zawołała ze łzami prawie; jestem biedna, niedoświadczona dziewczyna; moja wina, że

mówię tak śmiało; ciocia przyzwyczaiła mnie do tego.

— Mów tak zawsze do mnie, odparłem biorąc jej rękę; bo doprawdy chciałbym stać się do ciebie podobnym.

Odszedłem, zostawiając ją zdumioną, bo musiała uwierzyć w prawdę słów i wzruszenia mego, jednak nie przypisała sobie w tem zasługi żadnej, nie zdumniała moralnie: widziałem jak po chwili namysłu podniosła główkę schyloną i poszła do zwykłych zatrudnień. Jam rozważał długo proste zdania, zawierające całą mądrość serca, jeśli tak wyrazić się można, i wobec nich roztrząsałem przeszłość moją; a jednak czy one wytrzymałyby próbę życia? czy nie ma sprzecznych uczuć i sprzecznych obowiązków? Były to szczytne zasady, ale zasady dziecka nieznającego konieczności bytu. Czy ten wysoki zmysł moralny potrafiłby ją zawsze obronić w pośród burz namiętności? przyszłość pokazać to miała. Dzisiaj słowa jej wskazywały mi obowiązek prosty i jasny, który postanowiłem sumiennie dopełnić.

Dotąd życie moje było pasmem próżniaczych marzeń i cierpień; teraz zabrałem się do pracy. Potrzebowałem jej jako koniecznego regulatora rozpierzchłych myśli; i znalazłem wszędzie w koło siebie zajęć więcej niż im podołać mogłem. Powoli, życie nabrało dla mnie uroku: ukochałem naturę i martwe przedmioty podniesione ręką moją; zżyłem się z ludźmi co mnie otaczali, począłem cenić ich cnoty a pobłażać wadom, bom przestał czegokolwiek wymagać od świata. Syn stał mi się myślą ciągłą; rozwijałem umysł jego, kształciłem serce, i gdyby zdrowie matki mojej nie budziło ciągłych obaw, gdyby nie widok jej

kalectwa, byłbym mógł nazwać się wówczas szczęśliwym.

Zresztą świat mało mieszał się do nas; dom nawiedzony chorobą, kalectwem lub smutkiem, zwykle starannie bywa omijany przez ludzi. Oprócz młodego doktora, człowieka pełnego serca i wiedzy, którego los szczęśliwy rzucił w nasze sąsiedztwo, rzadko gość jaki przerywał czynne, lecz jednostajne życie, jakieśmy wiedli.

Zwolna, atmosfera spokoju i miłości, jaka owiewała mnie w koło, życie zgodne z usposobieniem i pragnieniami, wywierało na mnie wpływ dobroczynny; czułem, żem stawał się innym człowiekiem, a raczej żem wracał do normalnego stanu moralnie i fizycznie. Anielka nawet zauważyła na mnie tę zmianę.

— Doprawdy, mówiła po kilkomiesięcznym pobycie w domu: pan zmieniasz się do niepoznania.

— Jakto? zapytałem z uśmiechem, czy zestarzałem się bardziej jeszcze? Powiedz prawdę Anielko, a tak jak matka moja, ja wierzyć ci będę.

— Ale gdzież tam! zawołała dziewczyna wpatrując się we mnie zarumieniona tem przypomnieniem; ja nie wiem sama jak mogłam widzieć pana tak starym.

— Przyzwyczaiłaś się jak widzę do zmarszczek i łysiny.

— Nie, nie, wyrzekła wstrząsając główką z niedowierzaniem, jak gdyby czegoś sama sobie wytłómaczyć nie mogła; jesteś pan ten sam a wyglądasz inaczej, wzrok twój i wyraz się zmienił; doprawdy, pomimo łysiny, dodała z uśmiechem, nikt dzisiaj nie da panu więcej nad lat trzydzieści.

— A dawniej?

— Dawniej nie miałeś pan wieku, byłeś starym, zupełnie starym.

Więc duch mój rozbudzony i ukojony wybił mi na twarz; więc tą starością był wyraz znękania, którego pozbywałem się codzień. Dawniej obojętne mi były słowa Anielki, dziś cieszyłem się prawie, że je odwołała; to samo już było dowodem, żem wychodził z tego strasznego odrętwienia, w jakie wprawił mnie nadmiar nieszczęścia. Spojrzałem wesoło na Anielkę, i ona także i wydała mi się inną niż dawniej; teraz dopiero uderzyła mnie ta doskonała harmonia linij, koloru i wyrazu, jakim tchnęła jej postać; uderzył mnie ten wdzięk domowy, że tak powiem, który nie zdradza się niczem na pierwsze wejrzenie, a coraz bardziej potężnieje i czaruje. Koło Anielki można było przejść wiele razy i nie zatrzymać na niej wzroku, ale kto się raz wpatrzył, musiał wpatrywać się coraz częściej; ruchy jej były tak wdzięczne, tak swobodne, tak niewymuszone, czoło proporcyonalnie rozwinięte promieniało tak spokojnemi myślami, ciemne oczy przysłonione długą rzęsą miały spojrzenie tak pełne prostoty, usta zbyt może szerokie uśmiechały się z taką słodyczą, żem ją znalazł piękniejszą od najpiękniejszych, jakąś wyższą duchową pięknością, i dziwiłem się, czemu świat cały nie jest podbity tym spokojnym wdziękiem.

Stałem naprzeciw niej zapatrzony, ale dziewczyna nie domyśliła się z pewnością wrażeń moich; bo nie odbierając odpowiedzi na ostatnie słowa, spytała niespokojnie:

— Czy pan gniewasz się na mnie, za to co powiedziałam?

Zrazu nie znalazłem odpowiedzi, spojrzałem znów na nią i czułem jak rumieniec występował mi na twarz.

— Czyż można gniewać się na ciebie? wyrzekłem w końcu.

I nie wiem co było w głosie, oczach czy rumieńcu moim, bo Anielka spuściła wzrok i zapłoniła się z kolei, i było jej z tem prześlicznie; jej śniada twarz nabierała życia. Stała w miejscu zakłopotana, po raz pierwszy w życiu może nie wiedząc czy ma odejść, czy zostać, bo po raz pierwszy może pomyślała o sobie.

Szczęściem nadbiegł Staś i rzucając się jej na szyję, szczebiotaniem swojem przerwał ciszę panująca między nami.

Młodość i życie nie obudziły się we mnie bezkarnie; uczułem to i starałem się w niej i w sobie samym zatrzeć wrażenie tej chwili przelotnej. Z razu sądziłem, żem dokazał tego przynajmniej co do Anielki, bo wkrótce odzyskała swobodę dawną i nie zmieniła nic w obejściu swojem zemną. Dla mnie nowy żywioł wmieszał się do życia; patrzałem na dziewczynę z dziwnem rozrzewnieniem, oczy moje chodziły za nią. A jednak uczucie to było tak spokojne, tak czyste, żem mu się oddał bez trwogi. Nie wchodziło w nie żadne pragnienie, żadna nadzieja, serce moje nie uderzało silniej na jej widok, tylko radowała mnie jej obecność; byłem dumny z jej pochwały, uśmiech jej czynił mnie szczęśliwym, ale uczucie to było takie, jakie brat może mieć dla siostry; nazywałem ją zawsze Anielką, a ona mnie często Kazimierzem. Im więcej powracałem do siebie, im więcej istotna młodość,

przygnębiona tak długo żelazną ręką losu, wybijała znów na zewnątrz, tem bardziej stosunek nasz stawał się poufalszym. Ona przestała lękać się mej surowej twarzy, ja rozumiałem ją coraz lepiej; nawet czasem na śmiech jej perłowy odpowiadałem równie wesoło. Przy niej zapomniałem przeszłości, i znów czasem byłem dzieckiem jak kiedyś, aż przeszłość poczęła wydawać mi się snem jakimś strasznym, od którego odwracałem myśli.

Młody lekarz z poblizkiego miasteczka był prawie jedynem naszem towarzystwem. Był to jeden z tych ludzi, którzy wytrwałością i żelazną pracą dźwignęli się sami; chleb powszedni, stanowisko i naukę, wszystko winien był tylko samemu sobie; sierota ubogi, rzucony w świat za młodu, poznał go w prawdziwem świetle, ale mimo to nie pozbył się skarbów serdecznych; twarda codzienna praca była mu tarczą od pokus młodości, ale odsuniętemu od zwykłych słodyczy życia, rodziny i serca, otworzył się za to świat tajemniczy a pełen zachwytów, świat wiedzy, który roztacza zaklęte skarby swoje tylko dla wybranych inteligencyj; poznał surowe, najwyższe a niezmącone niczem rozkosze myśli; duch jego zamieszkał te wysokie sfery bez chmur i burz, gdzie wszystko staje się jasnem, pojętnem, i ztamtąd spoglądał na namiętnostki i podłości ziemskie ze smutkiem, ale i z pogodą zrozumienia. A kto rozumie, ten już na wpół przebaczył; wysoka wiedza szerokiem kołem obejmuje wszystko, i litować się musi nad tym co przewinia, zarówno jak nad tym co cierpi.

Zazwyczaj ludzie podobni bywają cisi i nie błyszczący, nie mają wstrętu ani pociągu do świata, przyjmują go jako

konieczność bytu, lecz wszędzie roznoszą z sobą pogodę wewnętrzną, która jest ich udziałem. Taki był doktór Władysław; ludzie mogli spotykać codzień tę skromną indywidualność, a nie domyślać się wysokiej jego wartości. Dla mnie był on sympatycznym od razu. Przeczułem go nim poznałem dokładnie; zresztą widziałem, żem mu był winien życie matki, i wdzięczność przyłączyła się do sympatyi i szacunku, jaki wzbudzał, i utworzyła pomiędzy nami związek ścisły. Poglądy nasze spotykały się często; życie i cierpienie nauczyło mnie wielu rzeczy, zresztą teraz i ja dochodziłem do tej pogody, którą on zdobył zaparciem siebie i pracą myśli, dochodziłem innemi drogami na krótko może, alem ją przynajmniej pojmował, i tak promienie naszych duchów tak odmiennej siły zbiegały się na chwilę, chociaż rozejść się miały tak daleko i na zawsze. On nie mógł pojąć nawet strasznych burz i przepaści, które mnie czekały, ale i jego szlachetne czoło nie na zawsze zachować miało olimpijski spokój myśliciela, którym świeciło teraz.

W domu naszym stawał się on coraz częstszym gościem, a dla mnie i dla matki mojej coraz milszym, tylko Anielka witała go i żegnała z zupełną obojętnością, dla niej on zdawał się nie istnieć. Ale Władysław za to spoglądał na nią często głębokim wzrokiem.

— Patrz pan, mówił do mnie kiedyś, wskazując mi ją siedzącą opodal ze Stasiem na ręku obok krzesła matki mojej: czy ta grupa nie zdaje się zdjętą z jakiego obrazu prarafaelitów? czyż ta twarz tak dziewicza, tak spokojna i czysta nie przypomina Madonn Perugina? Na czole powaga macierzyństwa a na ustach niewinność dziecka.

Rzeczywiście Anielka była śliczna w tej chwili, dla tych przynajmniej co podobną piękność dostrzedz i ocenić umieją, jednak nie wiem czemu zabolała mnie ta uwaga doktora. Spojrzałem na niego, i w jego wzroku dojrzałem jakiś płomień niezwykły. Anielka nie domyślając się pewno, że zważano na nią, odpowiadała coś z cicha Stasiowi nachylona nad nim; chłopiec słuchał wlepiając w nią swe wielkie ciekawe oczy. Władysław mówił dalej:

— Nie słyszę tego co mówi do dziecka, ale z pewnością słowa jej trafią do jego pojęcia, otworzą mu umysł i serce; ona tak do każdego przemówić potrafi, dla każdego ducha dobierze dźwięk właściwy.

Władysław mówił to cicho, może więcej sam do siebie niż do mnie, słowa te zdawały mu się z ust wyrywać niezależnie od woli.

— To prawda, zawołałem draśnięty niemi coraz bardziej: zkąd znasz ją pan tak dobrze?

Doktor uśmiechnął się.

— Alboż to trudno, odparł, poznać tę kryształową naturę? Zresztą znalibyśmy ludzi źle bardzo, gdybyśmy czekali, aż nam ich okoliczności odkryją; okoliczności są zawsze tylko wypadkiem, duch i serce człowieka zasadą, wypadek zależeć może od trafu, a zasada pozostaje niezmienną.

— Jakto? spytałem zadziwiony tym nowym sposobem sądzenia, chcąc może odwrócić kierunek rozmowy, która mi ciążyła.

Ale Władysław ciągnął dalej ideę swoją, nie odwracając oczu ani myśli od Anielki.

— Patrz pan, czy ta kobieta w zawiązku nie jest żywym ideałem domowego ogniska? Czynna, łagodna, kochająca z zapomnieniem siebie i szczęśliwa w tem zapomnieniu, to prawdziwa towarzyszka życia dla człowieka serca i myśli. A jednak niech zamiast niego stanie na jej drodze jakiegobądź rodzaju nikczemnik, niech zdobędzie to szlachetne serce, a cnoty, do których stworzona, nie rozwiną się wcale lub rozwiną w sposób fałszywy, obrócą się może przeciwko niej samej, bo koniecznym warunkiem jej istnienia jest zatopić się całkiem w istocie ukochanej. Czyż przez to wartość jej moralna byłaby mniejszą? czy mniej cenne wysokie przymioty, że na złe wyzyskiwane być mogą?

— Mówisz pan o mojej kuzynce z prawdziwym entuzyazmem, wyrzekłem z tajoną goryczą.

— Tak jest, odparł spokojnie; zdaje mi się, że zasługuje na to. Taką ją poznałem.

— I czy każdego, pytałem dalej, potrafisz wyciągnąć moralny horoskop?

— Usposobienie każdego człowieka jest pewną daną, z której przyszłość mniej więcej wywróżyć można, nie będąc czarnoksiężnikiem.

— I zgadujesz pan przyszłość Anielki?

— Przyszłość jej, odparł ze smutną powagą, zależeć będzie od tego tylko, kogo pokocha, bo kochać wiernie, mężnie, niezachwianie jest jej naturą a zatem przeznaczeniem. Wątpię jednak, by sąd jej był rozwinięty na równi z sercem, a jeśli się omyli, biada jej, albo raczej nie, dodał po chwili z zasępionem czołem, jeśli się omyli,

nie przeżyje zawodu, moralne cierpienie złamie ją i zabije od razu.

— Jakto! zawołałem: czy uważasz ją pan za tak wątłą? czy w organizmie jej dostrzegłeś zaród choroby? Żartujesz pan, chcesz nas przestraszyć. Spojrz na jej twarz czerstwą.

I wzrok trwogi pełen utopiłem w doktorze, aż uśmiechnął się i odparł:

— Uspokój się pan; mówię o tem, co zapewne nie nastąpi nigdy.

— Ale czemu pan to mówisz?

— Odpowiadam tylko na pytania postawione względem przyszłości, mówił dalej Władysław; studyowałem pannę Anielę w czasie choroby jej opiekunki, gdy nikt nie domyślał się tego i odkryłem dziwne fenomena w tej przedziwnej organizacyi.

Słuchałem go bez tchu prawie, łowiąc każde słowo spragnionem uchem.

— Jest w niej, ciągnął dalej doktor nie zważając na mnie: wielkie oddziaływanie i przewaga moralnej strony nad fizyczną. Panna Aniela zniesie bezsenność i trudy nad wiek swój bez najmniejszego uszczerbku zdrowia, ale niepokój każdy wybije się na jej twarzy rumieńcem gorączki, oczy nabierają wówczas złowrogiego blasku, a nierówny oddech zdradza ważne perturbacye w ustroju wewnętrznym. Zważ pan, coby z nią uczyniły stokroć sroższe niepokoje serca! Co do mnie, mam silne przekonanie, że zwątpienie, zawód lub walka z samą sobą przecięłaby od razu pasmo tego życia, które w normalnych warunkach może być czerstwe i długie. Jej koniecznie potrzeba szczęścia.

— Dla czego pan mi to mówisz? spytałem wręcz, tknięty temi słowy więcej niż to przed samym sobą przyznać chciałem.

Władysław podniósł oczy na mnie z dziwnym wyrazem i zawahał się chwilę z odpowiedzią, ale chwilę tylko.

— Dla tego, odparł głosem, który drżał mu na ustach: dla tego, że pragnąłbym strzedz ją i prowadzić przez życie; dla tego, że ją kocham, i gdyby chciała powierzyć mi swą przyszłość, byłaby szczęśliwą.

Była wielka prostota, szczerość i głębokość uczucia w tem nagłem oświadczeniu; mnie ono zdumiało. Jakże ta miłość spokojną była w objawach swoich! Nie było w niej nic gorączkowego, nic porywczego, nic z tego, co ja doświadczał kiedyś, a jednak on ją kochał, wątpić o tem nie mogłem ani chwilę — ale jakże czystą, wysoką miłością! Nie był to zwykły szał bezmyślny, absorbujący wszystkie rozumne władze człowieka, ale raczej najwyższy rozkwit rozwiniętego ducha.

Władysław czekał ciągle na odpowiedź moją; mnie krew zalewała piersi, zaledwie mogłem głos z nich wydobyć.

— Czy, spytałem, Anielka wie o tem?

— Nie, odparł; chciałem wprzódy uzyskać przyzwolenie jej rodziny.

— I nie domyśla się uczuć pana?

— Ja nie wiem, nie sądzę; bym jej dał powód do tego.

Miał słuszność, mnie samego ta miłość uderzyła jak gromem.

— Więc nie wiesz pan, czy odpowie uczuciom twoim?

— Nie, ale kocham ją tak, iż ufam, że wzajem kochać

mnie będzie.

W tych słowach dźwięczało tak silne postanowienie, żem zadrżał w głębi ducha; a jednak gdybym miał dla Anielki tylko uczucie brata, czym nie powinien był radować się z tego? w czyjeż ręce śmielej przyszłość siostry można było złożyć? Zresztą dla czego ona kochać go nie miała? Jeśli nie dosięgała wysokości tego silnego ducha, znała go dość, by wiedzieć, że był szlachetnym i dobrym, nie brakło mu nawet tych powierzchownych przymiotów, które tak często olśniewają młode dziewczyny; piękność oblicza odpowiadała w nim moralnej piękności. Wpatrywałem się w niego z rodzajem osłupienia, wyraziste jego rysy pociągały wzrok i serce; rozum, wola i łagodność jaśniały mu z oczu; ona powinna go była kochać, ona kochała go — w tej chwili nie wątpiłem o tem, i na tę myśl samą ogarniała mnie rozpacz niepojęta.

Ale Władysław nie mógł pojąć milczenia mego; dla niego także chwila ta była długą i ciężką; pochłonięty własnem wzruszeniem, nie zwrócił na mnie uwagi, inaczej byłby zobaczył bladość moją i pomieszanie; wreszcie nie mogąc doczekać się odpowiedzi, przemówił:

— Panie Kazimierzu, postawiłem pytanie otwarcie; czy matka pana lub pan macie co przeciw zamiarom moim?

— Nie powinieneś pan wątpić o całej sympatyi naszej, odparłem zdobywając się na te słowa wysileniem woli, ale w głosie moim był odcień chłodu, nad którym zapanować nie mogłem; postanowienie pana przynosi nam zaszczyt, ale kuzynka moja sama o losie swoim stanowić powinna.

Władysław spojrzał na mnie zdziwiony ceremonialnością

tych wyrazów odbijających dziwnie od prostoty słów jego, ale tak bardzo był wzruszony że to przelotne wrażenie przeszło szybko, myśl jego skierowała się znów do Anielki.

— Ja też, wyrzekł stłumionym głosem: chcę ja zawdzięczać tylko jej samej, jej własnemu sercu i wyborowi.

W tej chwili ten człowiek wydał mi się najszczęśliwszym z ludzi; niezmarnowana młodość kipiała w nim pierwszem uczuciem, wtedy gdy siła rozumu sprostać mu mogła. On nie pomylił się w wyborze swoim, nie roztrwonił przed fałszywym ołtarzem skarbów serdecznych, i dziś bogaty całym zasobem moralnym, mógł śmiało stanąć przed ukochaną, mógł podać jej dłoń silną i zbrojną doświadczeniem i wiedzą, przewieść ją bezpieczną po bezdrożach życia, szczęśliwy, kochający, kochany. Zatopiony w tych myślach, zapomniałem o zewnętrznym świecie.

Władysław zbliżył się do matki mojej, przemówił do Anielki — co? nie słyszałem, mroczyło mi się w oczach i sercu. Więc miałem ją utracić? Cóż dalej począć z życiem? jak patrzeć na jej miłość dla innego? bo nie przyszło mi na myśl, by inaczej być mogło, a nawet nie ważyłem się pragnąć. Jakiemże prawem ja wydziedziczony tego świata, śmiałem podnieść wzrok na nią i pokochać to niewinne dziecko, gdy przyszłość związana była przedemną, gdym mógł przynieść jej tylko w ofierze zwiędniałą młodość, zwichnięte życie i rękę związaną cudzym pierścionkiem?

Przerażony nawałem niespodzianych uczuć, które wybuchnęły we mnie w czasie tej krótkiej rozmowy,

nabrałem pogardy dla samego siebie, spoglądałem w głąb swego sumienia ze zgrozą prawie. Jednak jeśli cokolwiek mogło zmniejszyć winę moją, to owo straszne cierpienie, jakie przeczuwałem, jakie już paliło się we mnie. Na usprawiedliwienie własne to tylko przytoczyć mogłem, żem dotąd nie zdawał sobie jasnej sprawy z uczuć moich; ale czułem, że usprawiedliwienie to było słabe: jam powinien był znać samego siebie i stać lepiej na straży swego szalonego serca.

I nagle te domowe ściany, tak pełne dotąd słodyczy i ciszy, zdały mi się duszącemi; parła mnie jakaś żądza swobody w cierpieniu, której tu znaleźć nie mogłem, chciałbym był uciec na koniec świata i nie zobaczyć więcej nigdy ani szlachetnej twarzy Władysława, ani wdzięcznej skromnej postaci Anielki. Głowa moja pałała. Byłem szalony, byłem wściekły, bom był nadto nieszczęśliwy.

Nazajutrz wchodząc do pokoju matki, zastałem ją zamyśloną i niespokojną.

— Czy wiesz, spytała mnie od razu, o zamiarach doktora?

Więc to nie był sen, to była rzeczywistość, którą wszystko uwzięło mi się przypominać.

— Wiem, odparłem krótko; mówił mi o nich wczoraj.

— Boleśnie mi będzie rozstać się z Anielką, a jednak losu jej i szczęścia krępować nie mogę.

— Czyż Anielka dała już przyzwolenie? spytałem w pół martwy.

— Anielka nie wie o niczem jeszcze; Władysław prosił mnie, by ją wyrozumieć; ale dlaczegóżby go odrzucić

miała?

W tej chwili odezwał się w drugim pokoju śpiew dźwięczny, raźny, wesoły; jak ranna nuta skowronka, i Anielka ukazała się w progu.

— Więc spytaj jej zaraz matko, wyrzekłem.

Są chwile, w których serce rozszalałe bólem przestaje go się lękać, pragnie nawet nowej goryczy, by do dna wychylić jej kielich i upoić się nim śmiertelnie; ja miałem wtenczas tę rozpaczną odwagę.

Tymczasem dziewczyna zbliżyła się do matki mojej, niosąc jakieś lekarstwo przepisane wczoraj. Stałem z dala pożerając ją wzrokiem nieledwie, gdy swobodna, zwinna jak ptaszek krzątała się po pokoju. Zdawało mi się, że teraz wolno mi tak patrzeć na nią, gdy pomiędzy nami stanął obcy człowiek, gdy w myśli mojej ona już była narzeczoną jego.

— Anielko, wyrzekła matka po chwili, która zdawała mi się jak wiek cały długa.

— Jestem ciociu, odparła przybiegając i siadając jej u nóg.

Matka moja uśmiechnęła się do niej i położyła bladą rękę na jej głowie, głaszcząc jej ciemne pukle.

— Anielko, spytała: co sądzisz o naszym doktorze?

— Ja, ciociu? odparła wyraźnie zdziwiona zapytaniem, podnosząc na nią oczy spokojne: ja nic nie sądzę.

— Ale czy ci się on podoba?

— O! bardzo, kiedy cioci pomaga.

— I więcej nic nie myślisz o nim.

— Cóż mam myśleć? mówiła coraz bardziej zdziwiona i

ciekawa może.

— Co? Naprzykład, że on młody, przystojny, dobry i rozumny.

— To prawda, odparła z namysłem; ale ja dotąd nie pomyślałam o tem; dla czego ciocia mnie o to pyta?

— Dla tego, odrzekła matka moja z pewną powagą: że on myśli o tobie.

— On o mnie! zawołała z takim wyrazem, jak gdyby to wydało jej się rzeczą najniepodobniejszą w świecie. Jakto? co ciocia chce przez to powiedzieć ?

I oczy jej od matki mojej przeszły na mnie z nieopisanym wyrazem.

— Tak jest moje dziecko, wczoraj Władysław oświadczył się o ciebie.

— Ciociu to być nie może? to być nigdy nie może, wyrzekła blednąc.

— Dla czego to być nie może, pytała matka z kolei zdziwiona temi słowy. Wiesz Anielko, że cię kocham jak własne dziecko; więc czuję, że ci potrzebna będzie wkrótce inna i trwalsza opieka niż moja. Gdyby Władysław nie miał całego szacunku mego, nie wspomniałabym ci nawet o nim.

Matka mogła mówić długo, bo Anielka ukrywszy twarz na jej kolanach, płakała rzewnemi łzami.

— I czegóż płaczesz? spytała.

— Ciociu, ciociu! mówiła dziewczyna przerywanym głosem: czym ci już nie miła? czym ci się naprzykrzyła w domu, że mnie chcesz z niego oddać co prędzej? Ktoby ci jednak tak jak ja usłużył? ktoby cię tak jak ja kochał? Ciociu, jam taka szczęśliwa przy tobie! zostaw mnie jak

jestem, ja nie chcę opuścić cię nigdy, chyba mnie sama od siebie wypędzisz.

I tuliła się do matki mojej z żalem i pieszczotą, a mnie serce rozrywało piersi. Te łzy jej, te pierwsze łzy, które widziałem, były mi męką i rozkoszą razem.

— Dziecko moje, mówiła matka wzruszona: jesteś osłodą i pociechą ostatnich dni moich, ależ nie wolno mi poświęcać cię przy sobie; powinnam myśleć o przyszłości twojej; pomyśl, że gdy mnie zabraknie zostaniesz sama na świecie.

— Matko! przerwałem uniesiony wzruszeniem: zapominasz o mnie.

Anielka podniosła głowę i ukazała mi na spłakanej twarzy coś nakształt wdzięcznego uśmiechu.

— Nie wątpię o tem Kazimierzu, mówiła matka; ale twoja opieka starczyć jej nie może.

— Ja nie chcę myśleć o tem! zawołała dziewczyna. Ciociu, nie opuszczę cię nigdy, powiedz to panu Władysławowi.

— Pomyśl, że on cię kocha.

— I cóż ztąd? ja go nie kocham, nigdy kochać go nie będę.

Za te słowa byłbym padł przed nią na kolana. Anielka wymówiła je z rozognioną twarzą, z postanowieniem błyszczącem w oku. W tej chwili trwoga, jaką doktór wyraził mi wczoraj o nią, przeszła mi przez myśl jak błyskawica i w jednej chwili zmroziła grzeszną radość moją.

Matka nie nalegała więcej. W najszlachetniejszych nawet

istotach wiek i choroba wyrabia pewien egoizm. Anielka była rzeczywiście oczami i słońcem ociemniałej, aniołem opiekuńczym domu całego. Matka więc dopełniła sumiennie obowiązku, powiedziała za Władysławem wszystko co powiedzieć mogła, ale w głębi ducha była szczęśliwa z odmowy, w której powody nie wchodziła więcej, Anielka w jej przekonaniu była dzieckiem jeszcze, doktór był za poważnym, za uczonym dla niej, zresztą nie umiał podobać jej się, to starczyło matce mojej, ale nie wystarczało dla mnie. Z gorączkowym niepokojem szukałem rozwiązania tego pytania, które w głębi mego serca tkwiło uparcie: dla czego łzami i oburzeniem przyjęła to, co za zwyczaj tak pochlebia dziewczętom i zawraca im głowy jeśli nie serca?

Jednak w tej chwili byłem szczęśliwy całą siłą wczorajszej rozpaczy; świat uśmiechał mi się znowu, głosy wiośniane odzywały się w piersi mojej wzburzonej, ale pierwszy moment rozwagi rozwiał to uczucie. Cóż ztąd, że Anielka odrzuciła Władysława? czyż i tak ona dla mnie straconą nie była? Czyż świat w imię praw Boskich nie skazał mnie na wieczną samotność i sieroctwo serca? Napróżno miłość moja była czystą, głęboką, bez skazy; ona ukochanej kobiecie mogła przynieść tylko hańbę i nieszczęście, gdyby podzieloną była. Po raz pierwszy cała okropność tego położenia stanęła mi w oczach. Więc na to tylko ocknęły się we mnie siły i pragnienia młode, bym znowu cierpiał jak potępiony, który widzi raj zamknięty przed sobą na wieki.

Dla tego żem się omylił na Leonorze, nie wolno mi już

było mieć rodziny i domowego ogniska. A przecież co dzisiaj wiązało mnie jeszcze z tą kobietą? nic, ani nawet wspomnienie. W sercu i sumieniu byłem wolny zupełnie; pomiędzy nami stała tylko martwa litera prawa.

I dla tego, że gdzieś na świecie żyła kobieta dbająca o mnie równie mało jak ja o nią, miałem być pozbawiony tego do czego ma prawo każdy z nędzarzy.

Wolno mi było wprawdzie bawić się w miłostki i namiętności, mogłem roznosić w koło hańbę i nieszczęście, rozrywać węzły rodzinne, których sam byłem pozbawiony; ale właśnie to jedno uczucie godne mnie, miłość szlachetna i uświęcona obowiązkiem ta wzbroniona mi była. Rozważałem z piekielną goryczą tę jedną z tysiącznych niekonsekwencyj socyalnych. Niestety, znamy je wszyscy prawie w teoryi; ale dopiero gdy stajemy się ich ofiarą, pojąć możemy w całej rozciągłości złe jakie sprawić mogą.

Życie moje było stracone; uczułem to w chwili gdym się budził do życia, i zahartowany, silny, świadomy siebie byłem właśnie w stanie podołać wszystkim warunkom bytu. Szczęściem dotąd szło o mnie tylko; miłość i cierpienie moje nie wybiły dotąd na zewnątrz: postanowiłem zamknąć je w sobie jak w grobie, postanowiłem milczeć i nie zdradzić się nawet spojrzeniem, jak gdyby podobne uczucie nie miało tej promieniejącej magnetycznej siły, która wymyka się woli naszej.

Zwykły to sofizmat zakochanych, zwykły wybieg przed własnem sumieniem. W dobrej wierze uczyniłem to postanowieniem niepodobne do wykonania, i rozliczywszy się z przeszłością i obecnością, po tej strasznej burzy, jaką przechodziłem od wczoraj, spokojnie trochę spojrzałem w przyszłość.

Bo w końcu cóż zmieniło się w koło mnie? Czyż nie miałem pozostać razem z Anielką, pod jej słodkim wpływem? Czyż co rano nie patrzyłem w jej pogodne oblicze, nie słyszałem srebrnego głosu? Czyż życie nasze, to ciche spokojne życie nie miało pozostać tem czem było dotąd? Ale jakiś głos wewnętrzny szeptał mi, że jeśli pozory bytu nie zmieniły się, za to we mnie samym odmieniło się wszystko. Przyszedłem do samopoznania uczuć moich, jak pierwszy człowiek po spożyciu owocu z drzewa wiedzy, i jak jemu tak i mnie powrócić do wczorajszego stanu było niepodobieństwem.

Jednak oddalałem te myśli znękany cierpieniem, potrzebowałem wytchnienia, gdy nagle w ogrodzie naprzeciw mnie ukazała się Anielka. Ze spuszczoną głową szła zwolna zamyślona i smutna, nie widząc mnie wcale, a łzy jak perełki płynęły jeszcze po jej twarzy. W tej chwili zapominając postanowień i rozmyślań moich, jak szalony zbliżyłem się do niej.

— Czego płaczesz? spytałem, chwytając znienacka jej ręce.

Dziewczyna zadrżała i stanęła cała jak w ogniu pod

spojrzeniem mojem.

— Czegóż płaczesz? powtórzyłem gwałtownie; powiedz mi, powiedz.

— Panie Kazimierzu, szepnęła wracając zwolna do przytomności i cofając ręce: przestraszyłeś mnie.

— Ty przestraszyłaś mnie gorzej Anielko twojemi łzami; czyż nie chcesz powiedzieć mi ich powodu?

— Alboż ja wiem? odparła; smutno mi i płaczę, cóż to komu szkodzi?

Te słowa wymówiła z pewną goryczą ukrytą, tak niezwykłą, że mnie zastanowiła również jak ta dziecinna odpowiedź.

— Widzisz że mnie to szkodzi, odparłem łagodnie, więc powiedz mi co ci jest?

— Ach Boże! ja sama nie wiem doprawdy. Po tem wszystkiem co ciocia mówiła, łzy cisnęły mi się do oczu. Dla czego ludzie patrzą na mnie, kiedy ja o to nie dbam? dla czego myślą o mnie, kiedy ja nie myślę o nikim?

Były to słowa kapryśnego dziecka, nie podobne do jej zdrowego rozumu i dobrego serca, nie brałem ich więc na seryo. Dowodziły mi one tylko jej rozdrażnienia i wewnętrznego rozstroju; więc patrzyłem na nią ze smutnem zdziwieniem.

Ale w tej chwili znowu łzy strumieniem rzuciły się z jej oczu.

— Anielko! zawołałem: ty coś ukrywasz przedemną.

— Puść mnie pan, daj mi się wypłakać swobodnie; czy nie widzisz jak mi tego potrzeba?

I wyrywając się z rąk moich, pobiegła jak strzała szybko

ku dworowi.

Nie poszedłem za nią, pozostałem na miejscu, nie pojmując co się z nią działo, przerażony stanem gorączkowym tej cichej, rozsądnej istoty.

I nowe wątpliwości nasuwały mi się do myśli. Dla czego płakała Anielka? czy rzeczywiście nie kochała Władysława? może odrzuciła go przez poświęcenie tylko dla matki mojej — dla nas wszystkich, którym była tak potrzebna? może żałowała słów stanowczych wymówionych przed chwilą? Wszystko to mieszało się w głowie mojej chaosem. Nie mogąc prawie wytrzymać na miejscu, kazałem osiodłać sobie konia i puściłem się w cwał, nie bacząc gdzie jadę.

Ale snadź dnia tego nie miałem nigdzie znaleźć pokoju, bo wkrótce spotkałem jadącego naprzeciw mnie Władysława. W tej chwili byłbym dał wszystko, by go uniknąć, ale daremnie; zatopiony w myślach nadjechałem na niego prawie, nie podobna było mi się cofnąć, koń jego zrównał się z moim. Rzeczywiście nie pomyślałem o nim, nie spodziewałem go się widzieć tak prędko, bo zazwyczaj zajęty obowiązkami swemi, bywał rzadszym gościem u nas. Ale snadź i ta plastyczna natura zaznała burze uczucia, bo na mój widok, bladość niezwykła pokryła twarz jego.

— Czy jechałeś pan do mnie? zawołał.

W istocie była to droga wiodąca do miasta; nie uważałem na to gdym biegł na koniu uciekając przed niepokojem szarpiącym mi serce, i na to pytanie nie znajdowałem odpowiedzi. Wzrok tego człowieka mieszał mnie; czułem w głębi sumienia, żem popełnił względem

niego jedną z tych win nieokreślonych niczem a tem cięższych, że szlachetne zaufanie jego odpłacałem tajemną zdradą i nie śmiałem spojrzeć mu w oczy.

Szczęściem Władysław za nadto był daleki od podobnej myśli, zanadto zajęty własnem uczuciem, by zwrócił na mnie baczniejszą uwagę. Powtórzył tylko pytanie swoje, sądząc, żem go nie dosłyszał.

— Czy jechałeś pan do mnie?

— Nie, odparłem ochłonąwszy cokolwiek; wybrałem się na prostą przejażdżkę.

Doktor odetchnął, widziałem to wyraźnie, ale nie uspokoił się wcale, i po chwili milczenia wyrzekł znowu niepewnym głosem:

— Czy matka pana mówiła z panną Anielą?

I wzrok jego jasny, pytający, zawisł na mnie, jakby chciał odpowiedź wyczytać na ustach moich nim ją wymówiłem.

W tej chwili nienawidziłem go prawie; po co ten człowiek wmieszał się w życie nasze tak ciche, szczęśliwe, i zamącił spokój nas wszystkich? Po co wyznaniem swojem przywołał do samopoznania uczucie moje, które długo jeszcze mogło utajone pozostać? Dla czego był przyczyną łez Anielki? I nawzajem patrzyłem na niego szczęśliwy, że i on także przynajmniej zazna męki niepewności.

— Tak jest, wyrzekłem wreszcie, matka moja mówiła z Anielką.

Dostrzegłem lekkie drżenie w jego rękach.

— I cóż? zapytał ledwie słyszalnym głosem.

Nie sądziłem nigdy, by on oddany cały pracy i nauce, był w stanie doświadczać tak gwałtownych wzruszeń, ale

spoglądałem na to wzruszenie bez najmniejszego współczucia. Jakiem prawem on brał mnie za powiernika i zadawał mi tak srogie bóle każdem słowem wyrzeczonem lub wydobytem ze mnie?

Władysław bladł czekając odpowiedzi.

— Widzę to, szepnął w końcu: nie masz pan dla mnie pocieszającej wieści.

Przesunął ręką po czole i stał chwilę w miejscu zatrzymując konia, pasując się sam z sobą, piękny i szlachetny w boleści swojej, której nie dał wybić się na zewnątrz.

Nie pytał więcej o nic; snadź we własnem przekonaniu szanował cudzą wolność serca: nie dojrzałem w nim ani obrażonej dumy, ani draśniętej miłości własnej, ani zawiści przeciwko tej co nim wzgardziła, tylko cierpienie prawdziwego uczucia, którego nie mógł od razu zagasić w sercu.

Wtedy tknął mnie dziwny niepokój, dla czego ukrywałem przed nim to, co zaszło, i sam nieszczęśliwy stawałem na drodze dwojga ludzi, którzy kochali się może wzajemnie. Nie, cokolwiek kosztować mnie to miało, choćby ostatnią pociechę sierocego bytu, powinienem był umieć cierpieć i nie zostawić współzawodnikowi memu żadnej moralnej wyższości.

— Kuzynka moja, wyrzekłem po chwili: przyjęła wiadomość o uczuciach pana ze łzami, których powodu matka moja wybadać nie mogła; ale odrzuciła je stanowczo i oświadczyła, że pragnie pozostać wolną, nie chce opuścić opiekunki swojej.

To wszystko wypowiedziałem od razu, jednym tchem, jakbym się lękał, że przerwawszy mowę moją, skończyć jej już nie potrafię.

— Boże! zawołał Władysław podnosząc nagle rozjaśnione czoło: kto mógł pomyśleć o tem, by opuściła matkę pana? kto śmiał odezwać się z podobnem słowem? Ja chciałem tylko trochę nadziei, że serce jej może skłonić się do mnie; chciałem mieć prawo czuwania nad jej życiem i zdrowiem. Czekałbym na nią spokojny, szczęśliwy lata całe, lub przyjął wszystkie warunki, jakieby mi nałożyć chciała.

Więc on miał zawsze zwyciężyć mnie szlachetnością swoją! pomiędzy nami walka była nierówna.

— Powiedz jej to pan sam! zawołałem uniesiony dziwną dumą, i wyrozumiej jej serce.

— Tak! masz pan słuszność, wyrzekł; nie chcę, by sądziła, żem żądał od niej wdzięczności; muszę się usprawiedliwić.

I nie oglądając się na mnie, popędził ku dworowi. Ja pojechałem za nim, czemu? czyż obecność moja mogła zmienić jej uczucia? Nie rozumowałem w tej chwili; jechałem za nim jak gdyby on unosił z sobą szczęście moje, a ja byłem w stanie mu je odebrać. Jednak on wyprzedził mnie; wstyd mi było dać mu poznać czemkolwiek niespokojność moją, i wstrzymywałem konia, który zagrzany biegiem rwał się do domu. Nie straciłem go z oczu; przyjechałem wprost przed stajnię, zsiadłem powoli i skierowałem się ku domowi.

W salonie na wielkim fotelu przy oknie, przez które

świeciło blade jeszcze wiosenne słońce, zastałem matkę samą jedną. Doktór zaledwie powitawszy ją, chciał widzieć Anielkę i poszedł jej szukać. Matka blade czoło wspierała na poduszkach, i obróciła twarz na świat Boży rozwijający się tak rozkosznie, którego nigdy już zobaczyć nie miała. Ten widok ścisnął boleśnie serce moje przepełnione i znękane. Także to dotrzymywałem obietnic moich? czyż inne myśli, inne uczucia nie odrywały mnie od niej tak długo? czyż to cierpiące oblicze już nie miało być światem moim?

— To ty Kazimierzu? spytała zwracając na mnie twarz ożywioną uśmiechem.

— Ja matko, odparłem, zbliżając się do niej; czy pragnęłaś czego?

— Pragnęłam ciebie, mój synu.

Usiadłem przy niej i wziąłem jej wychudłą rękę.

— Ach! jak dłonie twoje pałają! zawołała z tym ruchem sobie właściwym a tak bolesnym, podnosząc głowę i wlepiając we mnie zagasłe oczy.

— Jeździłem konno, odrzekłem, starając się zapanować nad wzruszeniem głosu; koń był twardy i zmęczył mnie trochę.

Nastała chwila milczenia, wśród której ciążyły na mnie jej martwe źrenice, a raczej jej duch starał się odgadnąć głąb myśli moich. Wreszcie odwróciła smutnie głowę i westchnęła; nie mogłem znieść tego milczenia, wśród którego zdawało mi się, że usłyszy bicie mego serca; nie wiedziałem jak go przerwać, słowa plątały mi się na ustach.

— Może ci co przeczytać? spytałem w końcu widząc

książkę rozłożoną na stole.

— Dobrze, ja tak lubię słyszeć dźwięk twego głosu!

Zacząłem czytać ale co? nie wiem doprawdy. Oczy moje chodziły po kartach, machinalnie wymawiałem wyrazy, myśli były pomiędzy Anielką a Władysławem i szalały mi w mózgu. Co on jej mówił? co ona mu odpowiadała? Sekundy zdawały mi się wiekami, drżałem na każdy szelest, tętna wszystkie uderzały tak gwałtownie, że gdyby ich nie głuszył głos mój, matka musiałaby je usłyszeć.

Zwolna głos mój podziałał na zmęczone zmysły chorej, zamknęła oczy i usnęła; ja niezdolny na co bądź zwrócić uwagi, czytałem ciągle jak automat w ruch wprawiony.

Jak to długo trwało, nie wiem. Drzwi skrzypnęły lekko i ukazał się w nich Władysław; spojrzałem na niego i zrozumiałem od razu, że ta godzina równie ciężką była dla nas obydwóch. Twarz jego marmurowo-blada! nosiła wyraz cierpienia; jasne czoło pochmurniało nieznacznie, zmarszczki pokrajały je pierwszym stygmatem bólu, a oczy były zmącone jakieś, głębokie i błyszczące, nie poznawałem jego wzroku.

W milczeniu wskazał mi uśpioną matkę i skinął na mnie, bym się do niego zbliżył. Byłem mu posłuszny; ostrożnie położyłem książkę i wysunąłem się z pokoju. Władysław wywiódł mnie z sobą miotany sprzecznemi uczuciami; nie byłem w stanie mu się opierać, nie wiedziałem czego żądać odemnie może.

On nie stracił panowania nad sobą; poważny i spokojny zatrzymał się gdy matka słyszeć nas już nie mogła, i wyrzekł zwracając się do umie:

— Panna Aniela cierpiała wiele od wczoraj.

Nie zrozumiałem tych słów i wlepiłem w niego wzrok pytający, osłupiały, ale w głosie jego nie było wyrzutu. Anielka cierpiała, wiedziałem o tem, lecz dla czego? tego pytania uczynić mu nie mogłem.

Władysław mówił dalej:

— Panna Aniela cierpieć nie powinna; organizm jej tego nie znosi. Czy nie zauważyłeś pan nagłej zmiany w jej rysach?

Miał słuszność: przypomniałem sobie jej oczy błyszczące, podkrążone, gorączkowy rumieniec na twarzy i oddech nierówny, który uderzył mnie dziś z rana.

— Więc znajdujesz ją pan źle? zawołałem, zapominając prawie, że mówię do człowieka, który ją kochał, widząc w nim tylko lekarza.

— Zauważyłem w niej symptomata, które znikły od dawna, a które trwożą mnie tem więcej, że przyczyny ich odgadnąć nie mogę. Jeśli ją kocham, dodał ciszej, nie pojmuję, jak miłość moja obrażać ją lub niepokoić może; ja żądam tylko jej szczęścia, nie mam prawa gwałtem zdobywać tego serca, na którego ufność nawet zasłużyć nie umiałem. Dla czegóż ciąży jej obecność moja? czyż nie powinna przeczuć, że choć nie chce nazwać mnie narzeczonym, przyjaciela nie straci nigdy?

Był wielki cichy smutek w tych słowach, snadź serce jego zakrwawione było do głębi, a jednak ja słuchałem go z rodzajem okrutnego szczęścia. Nie mogłem darować mu wyższości, jaką posiadał nademną, mąk, które przecierpiałem od wczoraj; paliła mnie zazdrość, że on

śmiał patrzeć na nią okiem kochanka, że pierwszy odezwał się do niej słowami, których mnie nie wolno było wymówić. I spoglądałem chciwie w twarz jego zmienioną tak bardzo, słuchałem z pewną rozkoszą słów świadczących o straconych nadziejach.

Więc moralnie upadałem coraz niżej; ja, co dotąd przynajmniej przechodziłem przez nieszczęścia życia, jeśli nie bez grzechu, to przynajmniej dumny i szlachetny, teraz traciłem nawet szacunek dla samego siebie. W fałszywem położeniu, w jakiem się znajdowałem, wolny sercem i wolny według praw moralnych, a skrępowany niby jarzmem niewidzialnem z Leonorą; wydziedziczony prawnie ze wszystkich ludzkich uczuć, które mimo to nie zamarły we mnie, byłem na równi pochyłej wiodącej do przepaści, a przymioty nawet, jakie posiadałem, popychały mnie w nią nieprzepartym prądem. Potrzeba mi było serdecznego związku jak powietrza do oddechu; bez niego życie stawało mi się ciężarem. Stworzony byłem na dobrego męża i ojca rodziny; zbiegiem okoliczności postawiony obok kobiety dobrej, młodej, łagodnej, musiałem ją pokochać, a teraz znajdowałem się w położeniu bez wyjścia; tę miłość zmuszony byłem kryć i tłumić jak zbrodnię, nie wolno mi było pożądać nawet wzajemności. I cóż dziwnego, że w człowieku postawionym w tak fałszywych warunkach budziły się pod niesprawiedliwym uciskiem wszystkie brudne żądze, które inaczej nigdyby nie powstały w piersi mojej? Cóż dziwnego, żem nienawidził i zazdrościł człowiekowi, co te same uczucia mógł wypowiedzieć głośno z podniesionem

czołem, że czując jak niesłusznie cierpiałem, cieszyłem się, żem nie cierpiał sam jeden?

Jest tajemnicza Nemesis rządząca moralnym światem; ona to sprawia, że złe każde w ustroju społecznym wyradza koniecznie złe następstwa, które stanowić powinny jego moc uleczającą. Nemesis ta jest straszną, dopóki nie poznana przemawia daremnie, upadkiem, zbrodnią i szaleństwem pokoleń wskazując napróżno, że złe owoce ze złych korzeni pochodzić muszą, że indywidua są więcej ofiarami niż sprawcami złego. A biada społeczeństwu, dopóki nie zrozumie i nie usłucha tego groźnego głosu!

Ale Władysław nie mógł odgadnąć myśli moich, i musiało go dziwić uparte milczenie, z jakiem przyjmowałem serdeczne słowa jego, bo dawniejszy nasz stosunek upoważniał do nich zupełnie. Nie odgadł, że coś zmieniło się pomiędzy nami, i mówił dalej jak człowiek, który koniecznie wywnętrzyć się potrzebuje.

— Powiedz jej pan, że nie obraziła mnie odmową swoją, że przyjacielem jej pozostanę, że zawsze rachować na mnie może; chociaż usunę się z jej oczu bo nie chcę sprawiać jej przykrości widokiem tej miłości, której nie podziela, a którą wyrwać z serca nie jest w mocy mojej.

I po tych słowach, nie czekając odpowiedzi, na którą zdobyć się nie byłem w stanie, ścisnął mi rękę, skoczył na konia i oddalił się śpiesznie. Ja stałem na ganku śledząc go wzrokiem, dopóki nie zniknął na zakręcie drogi; wówczas odetchnąłem swobodniej, przynajmniej pozostawałem sam wobec miłości i nieszczęścia mego, i nie czułem się zdolnym nic przedsięwziąć, nic rozwikłać w chaosie

przyszłości; jak człowiek znudzony próżną walką, dałem się unosić prądowi losu, bom nie widział przed sobą drogi żadnej, bo choćby nawet Anielka kochała mnie, niemniej cierpieć musiałem.

Siedziałem na ganku znękany, gdy głos srebrny dał się słyszeć w pobliżu i drobne rączki Stasia objęły szyję moją. Ucałowałem go namiętnie, i czoło zmęczone oparłem na bijącej piersi dziecka; potrzebowałem coś przycisnąć do serca, ale uczucia tego ono zrozumieć nie mogło. Dziecię potrzebuje być kochanem czynnie dla samego siebie, miłość otaczających jest dla niego warunkiem bytu i potrzebą serca, ale rozrzewnienia i wylania jego są i powinny pozostać dla niego niepojęte. Staś więc znudzony nieruchomością moją, począł wyrywać się z rąk, które go więziły; motyl przeleciał mu koło oczu, chciał go pogonić i złapać. Puściłem go z rodzajem niesprawiedliwego żalu; dziecię nie może zrozumieć cierpienia, inaczej przestałoby być dzieckiem, straciłoby świętą niewiadomość swojego wieku, i dla tego nie może zranionemu sercu stać się pociechą w powszedniem tego słowa znaczeniu. Może tylko zabsorbować czynność umysłu, odwrócić myśl od trosk gryzących, ale nie jest w mocy jego podzielić żalu, bo żal i ból odstrasza je jako rzecz przykra, odrażająca i niepojęta. Istota niezbędnie potrzebująca drugich, jest samolubną bez grzechu. Jam był nadto smutny by to zrozumieć, i patrzałem na syna mego z prawdziwym bólem, a on tymczasem biegał za motylem, ale nie mogąc go złapać, po chwili zmęczony powrócił do mnie. Nie zwróciłem na niego uwagi, odbiegł znów i znów przyleciał,

wabiąc mnie uśmiechem do zabawy z sobą. Zaczepianie jego niecierpliwiło mnie tylko; nie mogłem mu przebaczyć wesołego śmiechu wobec cierpienia mego. Jednak rozpieszczony dzieciak przywykł, by spełniano zawsze wolę jego; dla tego niezrażony przybliżył się znowu, przytulił się, oparł główkę o moje kolana, i spoglądając mi w oczy, rzekł żałośnie półgłosem:

— I cóż ja będę robił?

— Idź do Anielki, odparłem mu z mimowolnym uśmiechem.

— O tak! babcia śpi, Anielka siedzi w swoim pokoju i płacze, a tata nie chce bawić się zemną.

— Anielka płacze! zawołałem; zkąd to wiesz?

— Stukałem do jej okna, nie chciała mi odpowiedzieć, więc wlazłem na ławeczkę, co pod niem stoi, i zajrzałem przez szparę od firanek; Anielka siedziała na kanapie naprzeciw okna i płakała bardzo. Tato, czy ona była niegrzeczną?

To co Staś mówił, przedstawiło się oczom moim jak obraz; widziałem jej twarz zalaną łzami, i znowu to pytanie „dla czego?” nasunęło mi się palące. Dziecko powtórzyło jak echo myśl moją.

— Tato, dla czego płacze Anielka?

Spojrzałem na syna i wziąłem go na ręce.

— Chodźmy jej się zapytać, odparłem.

— O nie! zawołał Staś, Anielka gniewa się kiedy ją o to pytać; ja nie chcę, by ona gniewała się na mnie.

Ale zaledwie domawiał tych słów, jej łagodna postać ukazała się w progu. Obmyła snadź twarz i oczy, bo ślady

łez dojrzeć można było tylko po bladości lica, po lekko nabrzmiałych powiekach, zresztą odzyskała już zupełnie panowanie nad sobą, i szukała Stasia, jakby wymawiając sobie, że tak długo zapominała o nim. Dziecko pobiegło do niej, a ja patrzałem z zachwytem na to słodkie oblicze, tak pełne cichego wdzięku w smutku równie jak i w uśmiechu. Jaka była tajemnica tego dziewiczego serca? jakie uczucie cisnęło jej łzy do oczu? tego nie mogłem wyczytać na jej jasnem czole.

— Stasiu, wyrzekła nieco stłumionym głosem: chciałeś się przejść, nieprawdaż? Chodź zemną, nazbieramy kwiatów dla babci.

I wzięła dziecko za rękę, i nie zwracając na mnie baczniejszej uwagi, skierowała się do ogrodu; poszedłem za nią.

Powiew wiosenny ożywił obumarłą naturę, pierwsze kwiaty pod jej tchnieniem rozwijały się szybko, napełniając powietrze przejmującą wonią. Śnieg kwiatowy obsypywał drzewa sadu, białe narcyzy zaścielały murawę, pszczoły brzęczały rojami około rozkwitłych kasztanów, bzów, czeremchy. Dziewczyna była zamyślona, tylko czasami oddech ciężki przyspieszony wyrywał się z jej piersi, coś dolegało jej, coś ciężyło, czego wypowiedzieć nie chciała, a ukryć nie umiała jeszcze. Była to pewno pierwsza tajemnica jej życia. Wreszcie zmęczona usiadła na ławce pomiędzy kwiatami, które Staś zbierał w około i znosił na jej kolana, ale była milcząca i smutna. Jam patrzał na nią z cichą boleścią, z trwogą, która przeszywała mi serce; po raz pierwszy jakby padł na nas jaki cień złowrogi, nie

znajdowaliśmy oboje słowa do powiedzenia sobie nawzajem. Ciszę przerywał tylko nieustannie dźwięczny głos Stasia; dziecię szczebiotało niemiłosiernie, ale Anielka spoglądała na nie z zachęcającym uśmiechem, zdawała się słuchać z rozkoszą wesołych okrzyków, któremi wybuchało co chwila, a tymczasem czynne jej ręce wiązały w bukiety kwiaty leżące przy niej.

Wreszcie Stasiowi znudziło się biegać, przybliżył się do nas zmęczony i zaczął przypatrywać się robocie Anielki.

— To dla babci ten bukiet? zapytał.

— Tak kochanie, zaniesiesz go jej jak się obudzi.

— Marynia codzień nosi kwiaty swojej mamie, powiedział Staś z namysłem.

Marynia była to mała dziewczynka z sąsiedztwa, wielka przyjaciołka Stasia.

Anielka nic nie odpowiedziała; chłopczyk mówił dalej:

— Gdzie moja mama, Anielko?

Ręce, w których dziewczyna trzymała kwiaty, zadrżały, a ja odpowiedziałem za nią:

— Mama twoja Stasiu daleko bardzo, nie znasz jej.

— Ja wiem o tem, odparł mały; ale dla czego wszystkie dzieci mają mamę i tatę, a ja mam tatę tylko?

Cóż odpowiedzieć mogłem na to pytanie dziecka? Spojrzałem w oczy jego uważne, myślące, spojrzałem na Anielkę, która chciała mu niebaczne słowa zatrzymać na ustach, i milczałem przerażony temi prostemi wyrazami, których dawno spodziewać się mogłem.

— Ty Stasiu, wyrzekłem niepewnym głosem, masz za to babcię, masz Anielkę.

— To niech Anielka będzie moją mamą! zawołało dziecię, przez które zdało mi się, że w tej chwili jakiś duch dobry lub zły przemawiał. Tato, ja chcę, by Anielka była moją mamą.

I ręce zarzucił jej na szyję, a ona pochylona ukryła twarz w jego włosach, jednak nie ukryła jej tak szybko, bym nie spostrzegł szkarłatnego rumieńca, który oblał ją w jednej chwili aż po samo czoło i wybiegł aż na jej szyję pochyloną.

Rumieniec ten dokonał pomieszania mego, jak błyskawica on odkrył mi wszystko, rozwidnił serce i pojęcia moje, był wyznaniem jej dziewiczego serca, tłómaczem łez i niepokojów, zdrajcą jej tajemnych uczuć.

Usta dziecka wymówiły to, czegobym się nigdy wyrzec nie ośmielił, odebrały mi rozwagę, wolę i sumienie. Ja co dziś rano jeszcze przysiągłem samemu sobie, że wiecznie milczeć będę, teraz drżący, rozszalały, szczęśliwy, zapominając o świecie całym, klęczałem przed Anielką i przyciskałem do ust jej ręce, szepcąc zaledwie słyszalnym głosem.

— Ty mnie kochasz?

Anielka nie odpowiedziała nic, ale ręce jej drżały mi na ustach i nie cofały się od pocałunków moich, a na twarzy jej z po za łez i rumieńców przeświecał mi uśmiech nieporównanej słodyczy, uśmiech kochającej kobiety.

Ach! miłość to była tak święta, tak ogarniała najczystsze pierwiastki naszych duchów, najszlachetniejsze uderzenia serca, że nie lękała się najniewinniejszego ze świadków, oczu dziecka. Wyznawaliśmy ją sobie bez trwogi i wstydu,

bo w tej chwili oboje zapomnieliśmy o zewnętrznym świecie, i patrzyliśmy tylko wzajem w serca nasze. I gdyby wówczas wolno mi było wziąć ją za rękę i powieść przed matkę moją jako narzeczoną, czyż matka nie pobłogosławiłaby jej z rozkoszą, nie przyjęła za córkę duszą całą? Syn mój pragnął ją mieć za matkę, jam uznawał w niej wybraną towarzyszkę życia na złą i dobrą dolę, wierną, wytrwałą, słodką i miłości pełną. Czy do uczucia tego mieszały się jakiebądź względy inne? czy zmysły moje kochały jej piękność? czy próżność lub duma dorzuciła do niego choć odrobinę jadu swojego? Nie, miłość to była nieskalana i ożywcza, odświeżała mi serce jak rosa niebieska, otwierała je na wszystko co wysokie i czyste, a przecież była mi wzbroniona, świat mógł nazwać ją zbrodniczą. Wyznając ją, zamiast wsparcia, przynosiłem zgubę, łamałem życie istoty, której pragnąłem być przewodnikiem, tarczą i osłoną, spełniałem zły uczynek. A zawsze dla tego, że gdzieś na świecie żyła kobieta, która zaparła się uczuć i obowiązków swoich, która nie chciała być ani żoną, ani matką, zapomniała syna, wzgardziła mężem, i dla której może i ja w tej chwili byłem zawadą w życiu, jak ona dla mnie.

Ale Anielka nie pomyślała o tem wszystkiem; ze świętem zapomnieniem siebie oddawała mi serce, ducha i życie całe, nie pytała co powie świat, co powiedzą ludzie, gdzie ją ta miłość zawieść może, nie spojrzała w przyszłość; nie, ona była szczęśliwą, bo widziała uśmiech szczęścia na mojej twarzy, bo czytała wzajemność i zachwyt w moich oczach, bo wreszcie chwila taka czystym

sercom starczy sama w sobie.

I w duchu moim stało się nagle weselnie i święto. Okoliczności zewnętrzne mogły mnie potępiać, ale w głębi serca jam był na równi tej miłości, byłem jej godny. Pomiędzy jej ufnem pierwszem uczuciem a uczuciem, które panowało w piersi mojej, nie istniało żadnego rozdźwięku; rozdźwięk szedł od świata i praw jego, dla tego w tej chwili nie byliśmy w stanie go dosłyszeć.

Wieczorem dnia tego chodziłem sam w ogrodzie. Dzień ten był dla mnie dniem upojenia i bezmyślnej rozkoszy; pierwszy raz w życiu byłem prawdziwie szczęśliwy, pierwszy raz w życiu drugie serce odpowiadało sercu memu jednakiem tętnem. Całą potęgą ducha kochałem i byłem zarówno kochany, bez trwogi, zwątpienia i burzy, uczuciem które miało łagodną pogodę południowego nieba, uczuciem tak pełnem, tak gorącem a tak poważnie spokojnem, że nie potrzebowało słów ani przysiąg. Jedno spojrzenie, jeden rumieniec starczył mi zupełnie do szczęścia. Daremnie szukałem w przeszłości: nie było w niej jednej chwili, którąbym mógł porównać z dniem tym; ale za to zaglądając w przeszłość, spotkałem się ze wspomnieniem Leonory i widmo jej wywołane z mgły pamiątek, stanęło groźne w oczach moich.

Teraz zapytywałem samego siebie: czy to była miłość ten szał gorączkowy, ta niepohamowana żądza niedoświadczonej młodości, jaką czułem dla niej? czyż ja sam wiedziałem wówczas co to kochać? czy rozumiałem samego siebie? czy dała mi ona choć jedną chwilę tak wysokiego i czystego upojenia, jaką miałem teraz? Szał

zmysłów, rozmarzenie serca, chęć wyjścia z powszednich kolei; wszystko to złożyło się na omyłkę moją, a teraz pomiędzy mną a szczęściem stawała postać żony i zapierała mi przyszłość. Cóż uczynić miałem? Teraz po raz pierwszy pewny wzajemności, mając przed oczyma nie mrzonkę jakąś, ale cel jasny i wyraźny, zadałem sobie to pytanie, i wówczas pomyślałem o rozwodzie. Była to dla mnie wprawdzie długa, przykra, nużąca, ale jedyna droga wyjścia; tylko trzeba mi było na to oderwać się na czas jakiś od wszystkiego com kochał, wejść w stosunki znowu z nienawistnym światem, a nadewszystko spotkać się z tą kobietą, której wspomnienie samo przejmowało mnie zimnym dreszczem, przywodząc na myśl wszystkie cierpienia, wszystkie zawody i bóle palące mego nieszczęsnego małżeństwa.

Ale z miłością, jaka świeciła mi w sercu, przed czemże się cofnąć mogłem? Skoro raz jasno określiłem sobie zamiary moje, środki, na jakie rachować mogłem, spokojniej spojrzałem przed siebie; nadzieja jest tak koniecznie potrzebna człowiekowi, że uwierzyłem od razu w skutek pomyślny.

Mógłżem wątpić o czemkolwiek teraz, kiedy to czyste serce otworzyło się dla mnie, ogarnęło mnie miłością swoją? A zresztą czyż zawsze pozostać miałem jednym z wydziedziczonych tego świata? Czyż nie dość przecierpiałem? W tym rachunku zapominałem tylko jednej rzeczy: że to ja sam byłem sprawcą cierpień moich, nie miałem więc prawa na nie się użalać: sam zgotowałem sobie zawody, które teraz stały mi na drodze życia, a ból i

trud, które mnie ich zniesienie kosztować miało, były strasznem zadośćuczynieniem za omyłki, których bezkarnie popełniać nie wolno.

Teraz jednak nie czas było zastanawiać się nad tem, ale trzeba było zebrać energię i siłę do nowych walk, teraz już nie z losem, ale z ludźmi i światem. Nie chciałem powierzać nikomu zamiarów i nadziei moich; może jakiś głos wewnętrzny ostrzegał mnie, jak one niepewne były. Nie chciałem nowych wzruszeń nabawiać matki, ani kłócić pokoju ducha Anielki. Jednak trzeba mi było wyjechać choć na krótko i nieobecnością moją zadać cios tym dwom sercom.

— Anielko! rzekłem do niej w parę dni później: czy wiesz, że na czas jakiś oddalić się ztąd muszę?

Od dnia owego wyznania, obejście dziewczyny prawie wcale nie zmieniło się zemną; nabrało tylko tego serdecznego odcienia, niedojrzanego dla obcego oka, ale który ja czułem i widziałem. Przelotne spojrzenie, uśmiech, rumieniec, napełniały pierś moją niewysłowionem szczęściem. Moja miłość była tak czystą, a ona tak niewinną, że swoboda nie znikła ze stosunków naszych; nie potrzebowaliśmy lękać się samotności tak samo jak unikać ludzkiego oku. Nie przeszło mi nawet przez myśl uścisnąć tę wątłą kibić, tak często zbliżającą się do mnie, ani złożyć pocałunku na tem jasnem czole, tak często pochylonem nademną.

Ale na słowo wyjazdu, twarz jej pobladła i oczy trwożne, pytające zawisły na mnie. Patrzałem za nią z rozkoszą i smutkiem; żal rozstania słodziło mi uczucie wzbudzonej

miłości, miłości, której dotąd pragnienie było treścią i marzeniem mego życia.

— O Boże! dla czego pan jedziesz? spytała ze łzami w głosie.

— Dla czego nazywasz mnie panem, Anielko, a nie Kazimierzem jak zawsze?

Spuściła głowę.

— Bo pan nas już nie kochasz, skoro chcesz porzucić, szepnęła.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

— Więc, spytałem, tak bardzo żałować mnie będziesz?

— Ach! zawołała, ten dom wyda mi się pustką i grobem.

— A jakże było dawniej, przed przyjazdem moim?

— Ja nie wiem już, odparła Anielka z namysłem; zapomniałam już, to tak dawno!

— Żyłaś w tym pustym domu Anielko, kwitłaś w tym grobie, byłaś jego słońcem i radością, poznałem cię uśmiechnioną, swobodną, szczęśliwą.

— Tak jest, odparła: byłam szczęśliwą, teraz nią być nie potrafię bez ciebie.

Zachwycony tem prostem wyznaniem, topiłem wzrok w jej oczach, i miałem ochotę klęknąć przed nią i dziękować za rozkosz, jaką darzyła mnie każdem słowem, i pragnąłem słuchać jeszcze.

— A zkądże ci myśl przyszła, pytałem, pokochać mnie starego, pomimo łysiny, siwiejących włosów i zapadłych skroni?

— Czyż ja wiem? odrzekła patrząc na mnie niepewna, czy ma frasować się czy uśmiechnąć. To prawda że takim

wydałeś mi się na pierwsze wejrzenie. A jednak twarz twoja poważna, od razu wpiła się w pamięć moją, widziałam ją zamknąwszy oczy, bo miała dla mnie dwa największe uroki: smutku i dobroci. Nie wiedziałam czemu, ale byłabym dała życie, by wywołać uśmiech na twoje usta, wypogodzić twoje czoło, oczom wrócić wesele i zobaczyć cię ot takim jak teraz jesteś.

— Więc teraz jestem inny, Anielko? mówiłem nienasycony jej wyrazami miłości.

— Teraz już nie wiem, czyś się ty zmienił, czy zmienił się mój wzrok i sąd, bo powoli wszystko co było do ciebie podobne, zdało mi się pięknem; brzydkiem to co nie przypominało mi ciebie, i świat cały zamknął się w tobie.

Któżby się mógł oprzeć podobnej miłości? Jam był szczęśliwy, upojony, słowa jej były dla mnie najwyższą pieszczotą ducha; one same przetworzyć mnie musiały, bo gdzież były w tej chwili wszystkie złe wspomnienia życia? przestałem nawet pamiętać cierpienia i wyciągałem ręce do tej nowej przyszłości, która zjawiała się w jej spojrzeniu.

— A teraz ty odjeżdżasz, dodała smutnie dziewczyna, przeczuwając, że w owej chwili była samowładną panią postanowień i myśli moich nawet.

— Uczynię co zechcesz, co rozkażesz, zawołałem zapominając o wszystkiem co nią nie było; ale szczęście nas wszystkich zależy od tego, bym mógł działać swobodnie.

— Więc nie zważaj na smutek mój, wyrzekła; jedź i wracaj, ja chcę tylko szczęścia twojego.

I nie spytała mnie o nic, otarła łzy, które toczyły się po

jej licach, uśmiechnęła się do mnie z po za nich wzruszona, ale pełna odwagi na próby życia, ufna we mnie jak w siebie samą.

Przed matką moją zmyśliłem interesa, ale gdy tylko posłyszała o wyjeździe moim, wstrząsnęła smutnie głową.

— Wiedziałam, że ci tu ciasno będzie, Kazimierzu, powiedziała z pewnym wyrzutem.

Nie mogłem wytłomaczyć się przed nią, nie mogłem wprowadzać w jej gasnące życie burz i niepokojów, które mną miotały, a które pewno odczułaby podwójnie; musiałem znieść tę skargę.

— Pamiętaj tylko, dodała, że za powrotem możesz nie zastać mnie więcej.

Jednak jechać musiałem; trzeba mi było porzucić ten raj serdeczny, to ciche domowe ustronie, chorą niewidomą matkę, dziecię rozwijające się z dniem każdym i kobietę, którą kochałem nad wszystko. Anielka do ostatniej chwili okazała się mężną. Nie wiem czy ona pomyślała kiedy o przyszłości, o możebności związku naszego, o przeszkodach, które nas rozdzielały, ale zdaje mi się, że dopóki jam był szczęśliwy, starczyła jej zupełnie obecność, a jutro wzbudzało w niej pewną instynktową trwogę. Mówiliśmy o sobie, o uczuciach naszych, o dniach minionych — o tem co być miało nie wspomnieliśmy nigdy. Rozum i wola tylko kazały mi być przewidującym, bo serce moje zupełnie zadowolone było, marzeniom moim nawet wystarczało to com posiadał. Życie napawając mnie goryczą, dając mi poznać znikomość namiętności, zgasiło zbytnie żary i uczyniło mnie właśnie zdolnym czuć i

używać czystej rozkoszy tej miłości rozwijającej się tak silnie a tak spokojnie.

Wyjechałem; Anielka stała na ganku trzymając Stasia za rękę, i patrzała za mną dopóki dojrzeć mogła. Czyż za powrotem miałem zastać wszystko, com pozostawiał? czy we mnie i w koło mnie nic zmienić się nie mogło?

Władysława nie widziałem od tego pamiętnego dnia, który zmienił zupełnie kierunek mego istnienia. Matka nie zapotrzebowała go, a on sam nie zajrzał do domu, gdzie go spotkała tak ciężka boleść. Z Anielką nie wspomnieliśmy nawet o nim; czyż świat cały nie zamykał się dla nas w nas samych?

Miałem się tedy łamać ze światem, miałem wywalczać sobie wolność nie wstępnym bojem, nie z otwartem czołem — ale przebiegiem i fałszem. Miałem stać się nie żebrakiem sprawiedliwości, ale żebrakiem wykrętu, coby obszedł nieubłaganą literę prawa, żebrakiem ludzi, od których fantazyi, złego lub dobrego usposobienia miał zależeć los mój, przyszłość, szczęście całe. Tak to ja szukać miałem sposobu zerwania związku mego z Leonorą; związku, który de facto nie istniał już od dawna, który zostawiając nam obojgu wszelką możność złego, krępował nas tylko w razie, gdybyśmy chcieli należeć do ogólnych praw ludzkich, utworzyć rodzinę i stać się pożytecznymi członkami społeczeństwa.

Związek ten w oczach każdego myślącego człowieka był anomalią i złem zarówno indywidualnem jak społecznem; a jednak w imię krzywdy jednostki i krzywdy społeczeństwa nie można go było rozerwać. Nie mogłem powiedzieć

wprost: „Ta kobieta nie jest mi żoną, nie jest matką dla swego własnego dziecka, nie odpowiada potrzebom serca i ducha mego, oto zamiast utworzyć rodzinę, rozbiegliśmy się po świecie, bo pomiędzy nami nie ma miłości, nie ma wspólnego celu, nie ma wspólnej myśli nawet, drogi nasze rozeszły się od dawna. Niech mi wolno będzie poślubić inną”. Nie, to nie wystarczało, trzeba było szukać przyczyn nieistniejących nigdy, grzebać w ohydnych brudach, oprzeć się na fałszywych przysięgach, by uzyskać to, co logiką faktów powinno było uzyskane być z góry. Zresztą zapytywałem samego siebie, kogo ta haniebna komedya oszukać miała? Ci co jej wymagają, nie wierzą jej zarówno jak ci co ją odgrywają. W podobnych wypadkach kto jest krzywoprzysięzcą? czy ten co żąda fałszywej przysięgi, znając zawczasu jej wartość, czy ten co ją wykonywa pod przymusem moralnym?

O tem wszystkiem wiedziałem od dawna, jak mniej więcej wiemy wszyscy o tem co nas tylko pośrednio dotycze. Ale gdy zmierzyłem przepaści kału i brudu, w jakie wstąpić miałem, gdy przyjrzałem się z blizka tej całej kuchni społecznej i tym ludziom co w niej grzebali swobodnie, zadrżałem i cofnąć się chciałem; uczułem, że tutaj nie było miejsce moje, że są rzeczy, do których zniżyć się nie potrafię nigdy. Ale wspomniałem Anielkę i nabrałem odwagi.

Przedewszystkiem trzeba mi było porozumieć się z Leonorą i uzyskać jej przyzwolenie; w takim dopiero razie robiono mi nadzieję — tylko nadzieję pomyślnego skutku. Więc szczęście moje miało znów zależeć od tej zimnej,

dumnej, nieubłaganej kobiety, więc potrzebowałem jej łaski! To było pierwsze upokorzenie, jakie mnie czekało; i znów postać Anielki stanęła mi w pamięci, cicha, łagodna, ufna i przezwyciężyła wahania moje.

Szczęściem żony nie potrzebowałem szukać daleko, była w Warszawie. Zaledwie zasięgnąwszy tej wiadomości, udałem się do niej.

Leonora snadź nie zmieniła dawnego trybu życia; w jednym z najbardziej eleganckich domów miasta, zajmowała wykwintne mieszkanie. Kazałem się zameldować; przyjęła mnie natychmiast.

Przepych i zbytek otaczał ją jak dawniej. Czekając na nią, rozglądałem się po wytwornym salonie; aż zaszeleściały jedwabie, uchyliła się portyera, i po tylu latach ujrzałem znów tę kobietę, która kiedyś budziła we mnie tak namiętną, niepohamowaną miłość. Leonora nie zmieniła się wcale na pozór: poznałem tę samą kibić posągową, tę twarz wykutą w marmurze paryskim. Czas nie dotknął jeszcze w niczem jej piękności; tylko zdało mi się, że jej jasne oczy patrzały przed siebie z pewnem znużeniem, że usta były bardziej szydercze, a duma postaci i wyrazu spotęgowała się jeszcze.

I wobec niej zapytałem serca mego, czy nie przyspieszy swego tętna choć o jedno uderzenie? czy nic wcale nie pozostało z dawnych szalonych uczuć? Serce moje i myśli pozostały spokojne; ona nie sprawiła mi nawet tego przelotnego wzruszenia, jakie była w prawie obudzić wspomnieniem. Miłość do Anielki odurzyła mi serce i pamięć, ona jedna panowała we mnie.

Musiałem jednak być mało podobnym do człowieka, który był jej mężem, bo ujrzawszy mnie, cofnęła się o krok jeden.

— Nie poznałaś mnie, Leonoro? spytałem z gorzkim uśmiechem.

— Ach! to ty Kazimierzu, wyrzekła przyglądając mi się bacznie; w istocie zmieniłeś się bardzo.

I wymówiła to tak naturalnie, tak spokojnie, jak gdybyśmy rozeszli się przed godziną do zwykłych zatrudnień, a teraz spotkali się znowu. Każde jej słowo drażniło już nie namiętność moją jak dawniej, ale wszystkie ludzkie uczucia. Po co mieszała się między żyjących ta lodowa kobieta?

Leonora usiadła, wskazała mi miejsce automatycznym królewskim ruchem, i czekała nieporuszona, bym jej wytłómaczył po co przybywam do niej. Rozmowa trudna była do zaczęcia, bo znałem ją dość, by wiedzieć, że próżnobym się kusił poruszyć jakąbądź strunę sercowa, a ona milczała obojętnie poprawiając koronkę mankietu.

— Leonoro! wyrzekłem w końcu: zapewne ciekawa jesteś co mnie dzisiaj do ciebie sprowadza?

Skinęła ręka niedbale, jakby powiedzieć chciała, że ją to mało obchodzi, ale odparła spokojnie jednotonnym głosem:

— Zapewne interes jaki materyalny, sercowy lub rodzinny; interes zbliżyć musi najdalszych sobie.

Miała słuszność; a jednak każde jej słowo, każdy ruch był dla mnie przykry: odwykłem od tych sztywnych form i mierzonych wyrazów, wśród serdecznego świata w jakim żyłem.

Zresztą ta kobieta zmieniła się także od tylu lat naszego rozstania, ochłodła i zobojętniała bardziej jeszcze, nabrała pewnej hypokryzyi w spojrzeniu i głosie. Życie, jakie wiodła, wywarło na nią swój wpływ konieczny. Dawniej jeśli nie odpowiadała miłości mojej, miała przecież jakieś chwile wzruszenia, chociażby dumy i gniewu; teraz wszystko to wygasło i znikło; prócz cudnie pięknych kształtów ciała, nie pozostało w niej nic kobiecego.

— Masz słuszność, odparłem, nie chcąc dać poznać po sobie doznanego wrażenia; wspólny interes zbliżyć nas powinien.

— A! wyrzekła z pewnem lekceważeniem, bawiąc się brylantowym medalionem zawieszonym na szyi. I jakiż to interes?

— Czy nie zapragnęłaś nigdy być wolną, Leonoro?

— Wolną? żartujesz ze mnie; alboż wolną nie jestem?

W tych słowach był nieudany akcent prawdy: względnie do pojęć i pragnień swoich, ona była wolną zupełnie. Przygryzłem wargi, widząc, żem wszedł na niewłaściwą drogę, ale rzeczywiście położenie moje było trudne: potrzebowałem jej, a ona mnie wcale nie, cała wyższość była po jej stronie.

— Więc ja mówić będę otwarcie, wyrzekłem, widząc, że omyliła mnie nadzieja współpragnienia i współdziałania ze strony żony: potrzebuję wolności zupełnej, potrzebuję zerwać małżeństwo nasze.

Leonora zmierzyła mnie od stop do głowy wzrokiem, który tak nawykł do szyderstwa, że już innym być nie mógł.

— Rozumiem, powiedziała w końcu z uśmiechem:

chcesz się ożenić; widzę że zmiana w tobie jest pozorną tylko, w gruncie rzeczy pozostałeś zawsze jednakim.

— Sądzę, że mało cię to obchodzi, odparłem, hamując gniew wznoszący się we mnie jak fala, choć w istocie nie wiem co wzbudziło go w tej chwili, ta kobieta czy położenie, które czyniło mnie zależnem od niej.

Zamiast odpowiedzi, Leonora wzruszyła tylko ramionami, wyraźnie dając mi poznać, że nie myliłem się w tym względzie, i znów czekała co powiem dalej.

— Potrzeba mi rozwiązać małżeństwo nasze, mówiłem zdobywając się na głos spokojny; w tym celu przybyłem do Warszawy, w tym celu udaję się do ciebie, bo mi potrzebne przyzwolenie i współdziałanie twoje.

Na ten raz słowa moje wyraźnie domagały się odpowiedzi; Leonora jednak milczała chwilę, namyślając się nad nią.

— Rzeczywiście, odparła w końcu: postanowienia twoje od dawna stały mi się zupełnie obojętne; ja sama dla siebie nie pragnę wcale rozwiązania więzów małżeńskich, które mi ciążyć przestały; dla czegóż więc miałabym brać udział w sprawie rozwodowej, która może mi tylko przynieść krzywdę w opinii świata?

Miała słuszność i postawiła mi ciężką kwestyę: w imię czego współdziałania jej żądać mogłem? Zbyt dobrze znałem świat, by wiedzieć, że człowiek czyni już wiele dla bliźniego, skoro nie wpycha go w przepaść otwartą, że bezinteresowną pomoc zdolni są tylko dać drugim rozmarzeni szaleńcy; Leonora z pewnością do tej ostatniej kategoryi liczyć się nie mogła. Cóż przeciwstawić mogłem

jej odpowiedzi jasnej i logicznej jak cyfra?

Spotkałem się więc z pierwszą trudnością, z pierwszem upokorzeniem. A ja kiedyś tej kobiecie rzuciłem pod nogi serce moje, przyszłość i życie całe, wydźwignąłem ją z nędzy i poniżenia. Nie pamiętała o tem, ja przypomnieć nie mogłem. Zresztą nie byłaż to moja własna nieprzymuszona wola? czyż nie wiedziałem, że w pewnym świecie niewdzięczność jest pierwszą cnotą na porządku dziennym? Jednak tak z niczem odejść nie mogłem; hamując więc oburzenie i dumę, próbowałem jeszcze raz przemówić do niej.

— Nie będę ci ukrywał, że na rozwodzie naszym zależy mi bardzo wiele; pomyśl więc, czy w zamian za pomoc, jakiej od ciebie potrzebuję, nie mogę czegokolwiek uczynić dla ciebie? W takim razie zawsze i wszędzie rachuj na mnie.

Oczy jej zabłysły dziwnym wyrazem. Więc nademną także, który wyłamałem się z pod jej prawa który kiedyś śmiałem litować się nad jej obłąkanem sercem, panować mogła? więc posiadała wszystkie materyalne potęgi, bogactwo, piękność, młodość i bezczucie, które jej ludzi oddały w poddaństwo? Tak jest, Leonora mogła rzeczywiście królować nad światem, bo nie miała w sobie żadnej z tych dwóch sił, które stają na wspak powodzeniu — szlachetności i serca. Skoro raz miłość wygasła w piersi mojej, antagonizm z tą kobietą zrodzić się musiał za pierwszem spotkaniem; położenie i charaktery nasze wywołały go koniecznie.

Jednak ona nie odrzuciła wręcz propozycyi mojej, bo ta

jej pochlebiała; odparła wiec na wpół szyderczo, na wpół przyjaźnie:

— Widzę, że nie żartem zakochany jesteś.

Cóż odpowiedzieć mogłem? zniosłem i to jeszcze.

— A gdyby tak było w istocie, Leonoro? odparłem w końcu; czy miałabyś prawo wziąść mi to za złe?

— Ja? bynajmniej, wyrzekła kobieta, po której czole przesunęła się chmura zrozumiała dla mnie.

Przestać ją kochać, pokochać inną, były to zbrodnie niedarowane w obec jej dumy.

— Bynajmniej, powtórzyła: są natury, dla których miłość jest koniecznym warunkiem bytu.

Czułem, że w ten sposób postawiona rozmowa nie mogła doprowadzić do niczego.

— Więc, spytałem powstając, jaka jest ostateczna odpowiedź twoja?

Ale Leonorze nie pilno było zakończyć to widzenie się nasze; snadź zbyt odrębnym byłem od ludzi co ją otaczali, bawiłem może jej znudzenie, bo odparła wskazując mi znów miejsce obok siebie:

— Żądasz odemnie rzeczy trudnej Kazimierzu; a jednak chciałabym ją dla ciebie uczynić. Namyśl się wprzód, czy rzeczywiście szczęście twoje zależeć ma od tej nowej miłości?

— Zdaje się, odparłem z pewną dumą, żem się musiał namyślić, nim tu przyszedłem.

— Ach! Boże mój, wy ludzie namiętni łudzicie samych siebie; a przecież miłość mija tak szybko, któż lepiej od ciebie wiedzieć o tem powinien?

Słuchając jej, zdziwienie moje graniczyło z osłupieniem prawie. Więc ona czuła się jeszcze w prawie dawać mi napomnienia i morały? ona, ta bezduszna istota? Ale rzeczywiście ona była w prawie swojem wedle świata, ona z drogi tak zwanej cnoty nie zboczyła nigdy. W oczach ludzkich była nieskazitelną, i cóż ztąd, że sprowadziła nieszczęście na tych wszystkich, co ją otaczali? że o mało nie zabiła mnie moralnie? w takie rzeczy nikt przecie wchodzić nie może. Młoda, piękna, wolna i osamotniona, nie dala nawet pozoru obmowie i plotkom towarzyskim. Cóż ztąd, że cnota jej była tylko brakiem serca i dumą? rezultat nie byłże jeden i ten sam? Dziś więc z wysokości piedestału, na który dźwignęła się w oczach ludzkich samemi ujemnemi warunkami i niedoborami swej natury, panowała nademną, rządziła tą straszną a ślepą potęgą zwaną opinią świata, i raczyła udzielać mi rad, uwag i napomnień swoich.

— Zważ Kazimierzu, mówiła ośmielona milczeniem mojem: że rozwód jest potępiony ogólnie, że wychodzi on zupełnie z powszednich kolei życia, a wszystko takie naganiane bywa, nie wchodzę w to słusznie czy niesłusznie, bo słuszność jest tutaj zupełnie poboczną kwestyą. Świat jest nieubłagany dla indywiduów, które wbrew sądowi jego ważą się postępować; a chociaż są ludzie co lekceważyć go śmieją, jednak śmiałość ta okropnie karaną bywa. Jednostka jakkolwiek silna, zawsze jest zgniecioną w walce ze społeczeństwem.

Słuchałem jej zdumiony, gdy tak dobrotliwie oświecała niewiadomość i niedoświadczenie moje. Widocznie ta

kobieta brała swoją rolę na seryo, nawet względem mnie, i wypowiadała te uświęcone formuły bez znaczenia z namaszczeniem, jako kapłanka tej potęgi społecznej, o której wspominała z poszanowaniem zwykłem u małych serc i nikczemnych duchów.

Gdyby ta chwila mniej ważną, mniej bolesną była dla mnie, byłbym jej parsknął śmiechem w oczy.

— W istocie, rzekłem tylko z tłumionem szyderstwem: masz słuszność, nie wątpię o tem; ale powinnabyś znać mnie dość, by wiedzieć, że słuszność ta nigdy nie istniała dla mnie.

Wzniosła nieznacznie oczy w sufit, niby wzywając niebo na świadka nad godnem litości zaślepieniem mojem.

W tej chwili budziła we mnie więcej wstrętu niż oburzenia. Zwykłą koleją światowej pychy chęć panowania popchnęła ją do hypokryzyi, bo chęć panowania nie przebiera w środkach. Błyszczała więc i panowała w pewnych sferach jako brylant najczystszej wody, jako gwiazda pierwszej wielkości.

— Więc doświadczenie życia, spytała po chwili z litośną intonacyą w głosie, próżne było dla ciebie?

— Są różne doświadczenia, odparłem, i w różnych czynione kierunkach. Naprzykład ja Leonoro, zawiedziony przez ciebie, doświadczyłem, że są jeszcze na świecie czyste gorące serca i bezinteresowne uczucia. Ale nie o to chodzi: nie przyszedłem tu ciebie nawracać lub czynić wyznania wiary. Pytam ciebie raz jeszcze, czy zechcesz wspierać mnie w zerwaniu więzów naszych, czy też staniesz w poprzek drogi mojej?

Kobieta znów uśmiechnęła się litośnie.

— Doprawdy Kazimierzu, boli mnie to, że zrozumieć mnie nie chcesz. Są rzeczy, w których brać współudział zabrania mi sumienie, i nawet dobrze zrozumiany twój własny interes. Zaślepienie twoje, jak wszystko ziemskie, przejdzie wkrótce, i poznasz sam, że na miłości nie można gruntować życia. Ja nie chcę popychać cię w przepaść namiętności. A zresztą, choćbym nawet pominęła to wszystko, nie mogę zadość uczynić żądaniom twoim przez wzgląd na nasze biedne dziecię, o którem zdajesz się zapominać zupełnie.

— Na dziecię nasze! zawołałem, nie mogąc pohamować się dłużej: odkądże przypomniałaś sobie, że jesteś matką? odkąd obchodzi cię dobro syna?

— Nie unoś się, przerwała mi znów z namaszczeniem Leonora; dotąd mogłam uczynić ofiarę z obecnej chwili, ale nigdy z przyszłości jego.

— Jakto? wyrzekłem, przerażony prawie spokojną bezczelnością tej kobiety: ty uczyniłaś ofiarę? jaką? Syn twój nie zna cię i nie znał nigdy, nawet gdy pozostawał w rękach twoich. Ale ja nie przyszedłem robić ci wyrzutów; zostawmy przeszłość w pokoju. Teraz syn twój znalazł matkę w innej kobiecie, czy chcesz mu ją odebrać?

Mimowolnie prawie w uniesieniu mojem odwołałem się do jej serca, jak gdyby ona je miała.

— Darujesz, odparła ściągając pogardliwie wargi, że niemogę mieć wysokiego wyobrażenia o kobiecie, która pragnie zostać żoną już żonatego człowieka i matką jego dziecka.

Gdybym był mógł zetrzeć w proch tę istotę, spiorunować ją wzrokiem, byłbym uczynił to z rozkoszą; temi słowy przepełniła miarę cierpliwości mojej. Daremnie hamowaliśmy się oboje z początku tej rozmowy i chcieli pozostać na przyjacielskiej stopie. Różnica charakterów, pojęć, położenie samo, czyniło z nas nieubłaganych wrogów. Wolność wzajemna jedna może przejednać nas mogła lub zobojętnić. Szczęśliwy byłbym jej przebaczył, lub zapomniał, że żyła na świecie. Ale właśnie by odzyskanie tej wolności stało się możliwe, trzeba było zjednoczyć się nam i pomagać sobie wzajemnie. Było to więc fałszywe koło bez wyjścia.

Nie mogłem odpowiedzieć nawet za obelgę rzuconą przez te usta, na istotę taką jak Anielka; to odjęło mi prawie przytomność. Rzuciłem jej tylko w oczy wyrazem pogardy i wyszedłem bez słowa pożegnania. W tej chwili, jakby niedość było jeszcze trudności nagromadzonych w około, jej i sobie kupiłem w Leonorze nieubłaganego a potężnego wroga.

Więc sprawiedliwe marzenia życia mego miały rozwijać się jak cień znikomy; więc nie pozostawało mi nic więcej, jak powrócić do rodzinnego domu odartym z nadziei i dźwigać dalej do grobowej deski więzy, które z życia czyniły mi męczarnie. Nie mogłem od razu zrezygnować się na to; postanowiłem uczynić krok rozpaczny, pokusić się choćby o niepodobieństwo, by zużyć i omylić gorączkową czynność, jaka mnie pożerała. Udałem się więc do prawnika, który był doradcą i przewodnikiem moim w tym zagmatwanym labiryncie ustaw i podstępów.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu może, z twarzą przenikliwą, lecz sympatyczną, przynajmniej dla ludzi, co znieść mogli badawcze spojrzenie jego piwnych oczu zwykle ukrytych po za szkła okularów. Czoło jego było szlachetne, myślące; i zdradzało tę szybkość objęcia i sądu, jaką nabywa się w ciągłem starciu z zawiłemi kwestyami i podstępnymi ludźmi.

Ale ja nie lękałem się przenikliwości jego; przeciwnie, ona była mi rękojmią, że dobrze zrozumiany będę. Wysokim rozumem i prawością swoją wzbudził we mnie ufność zupełną; czułem, że przyszłość moja nie może być złożona w lepsze i zdolniejsze ręce. Zastałem go przy wielkiem biurze, założonem papierami. Odsunął je skoro mnie zobaczył, zdjął okulary, jak to zwykł czynić przy każdej poważnej rozmowie.

— I cóż? zapytał mnie, wręcz przystępując do rzeczy zwyczajem ludzi, dla których czas jest drogi; i cóż, widziałeś żonę?

W kilku słowach zdałem mu sprawę z niepowodzenia mego, a gdym mówił, patrzałem bacznie w twarz jego, chcąc wyczytać na niej, czy pozostaje mi nadzieja jaka? Twarz jego pozostała nieporuszona, tylko słuchał mnie z uwagą. Czekałem chwilę na odpowiedź jego jak na wyrok życia lub śmierci, ale milczał czas jakiś zamyślony.

— Więc, spytałem w końcu: wszystko już niepowrotnie stracone?

I gdym to mówił, głos mi drżał mimowolnie; prawnik spojrzał mi w oczy i wyczytał tam pewno śmiertelną boleść, bo wyrzekł z poważnem współczuciem:

— Nie będę próżno ukrywał przed panem, że szanse powodzenia, zawsze niepewne w podobnych sprawach, zmniejszyły się bardzo. Czy przynajmniej żona pana nie stanie jako strona przeciwna? czy też zachowa się zupełnie biernie?

Nie umiałem odpowiedzieli dokładnie, ale z tego com słyszał i mógł sądzić, zdawało mi się, że wcale do rozwodu mieszać się nie chciała.

— Ta kwestya jest nader ważną, mówił prawnik; bo w ostatnim razie możnaby jeszcze próbować, choć powtarzam panu i powtarzać nie przestanę, szansa powodzenia jest bardzo mała.

— Jakkolwiekbądź ja próbować będę, odparłem; nie odrzucę ostatniej deski zbawienia, póki ta nie rozłamie mi się w ręku; przynajmniej jeśli zły los zapadnie i wyrok nieszczęścia ciążyć nademną nie przestanie, nie będę sobie miał nic do wyrzucenia, walczyć będę do ostatka.

Uderzyła snadź prawnika stanowczość i determinacya moja, wyczytałem sympatyę w jego oczach.

— Panie! dodałem, jestem bogaty, połowę majątku oddałbym za wolność.

Ale on wstrząsnął głową.

— Nie zawadzi to nigdy, ale i nie zawsze pomoże, odrzekł; klucz złoty nawet nie wszędzie trafi, silniejsze od niego są kajdany przesądu. Chodzi tu głównie o moralne przekonanie ludzi, co sprawę tę sądzić będą, a z tego wszystkiego co słyszę i wnosić mogę, przekonanie to będzie przeciw panu.

— Dla czego? zapytałem zdziwiony.

Prawnik uśmiechnął się z naiwności tego pytania.

— Bo żona pana nie stara się o rozwód, więc opinia stanie po jej stronie.

Milczałem, przywiedziony do rozpaczy tą logiką, bo czułem jej całą słuszność.

— Chcesz pan koniecznie rozpocząć tę sprawę, mówił mój obrońca; nie dziwię się temu, na miejscu pana uczyniłbym tak samo; wolność sumienia i serca jest najdroższym skarbem myślącego człowieka, słusznie dobijać się jej ma prawo. Zresztą, są położenia, w których się niema nic do stracenia, w których musimy ważyć się na wszystko; ale wiedz pan przynajmniej na co się narażasz. Obojętni i niechętni wejdą w tajniki twego domowego życia; każdy twój czyn, słowo niebaczne, sądzone i przeinaczone będzie.

— Wiem o tem, odparłem, ale ja nie mam nic do ukrycia.

— Mylisz się pan; pozory i fakta staną przeciwko tobie, tem bardziej, że postępowałeś mniej oględnie, że czyny twoje wychodziły z powszednich kolei, a uczucia przenosiły miarę ogólną. I tak zaślubiłeś pannę X. szybko, bez namysłu, i porzuciłeś bez żadnego widocznego pozoru, bo niestosowność charakterów i usposobień nie wchodzi w dziedzinę faktów i z pewnością uwzględniona nie będzie. Wydarłeś jej pan ukochane i jedyne dziecko (taki jest frazes uświęcony tradycyjnie) bez żadnej przyczyny, a teraz powodowany nową namiętnością, szukasz sposobów zawarcia nowego związku. Żona stanie się więc ofiarą lekkomyślności i miłostek męża, a pan będziesz tylko jednym z tych rozpustników, których szkodliwym żądzom

trzeba koniecznie postawić tamę i ukrócenie. Oto w takiem świetle przedstawią pana powierzchownie brane fakta w oczach sądu, od którego los twój zależeć będzie. Nie trzeba łudzić się daremnie.

Prawnik mówił to z szyderczym zapałem; twarz jego promieniała oburzeniem, usta ściągały się sarkazmem.

— Więc cóż mam uczynić? zawołałem.

— Opuścić ręce lub walczyć do ostatka; obowiązkiem moim jest wypowiedzieć otwarcie zarówno moje przekonanie, jak przekonanie sędziów, które przewiduję z długoletniego doświadczenia — wszakże mylić się mogę.

Czułem, że on się nie mylił, i spuściłem głowę w milczeniu.

— Nic straszniejszego, mówił dalej prawnik, dla pewnych, wysoko uorganizowanych indywidualności, jak prawa nieodpowiadające już potrzebom wieku, gdy wykonawcami ich są ślepo sumienni ludzie; bo wówczas z obowiązku bronią oni sztucznych zasad społeczeństwa fanatycznie jak arki zbawienia ludów. Fałszywie zrozumiane dobro ogółu czyni ich głuchymi na cierpienia jednostek, na sprawiedliwość, na ludzkość, na wszystkie poboczne względy.

I prawnik uniesiony zapałem, jakby przed kratkami zaczął rozwijać świetnie teoryę swoją. Nie byłem w stanie go słuchać: ogarnęło mnie uczucie okropności mego położenia. Na te słowa „cierpienia jednostek” blada twarz Anielki stanęła mi w oczach; w tej chwili nie myślałem nawet o samym sobie, ale za cóż ona cierpieć miała? i załamałem ręce rozpacznie.

Ten ruch wymowny zwrócił uwagę [[korekta|udwokata|adwokata}} mego, budząc go do rzeczywistości.

— O czem pan pomyślałeś? zapytał, sądząc może, iż trafiłem na pomysł jaki, lub przypomniałem sobie fakt, mogący być przydatnym w tej nieszczęsnej sprawie.

Wstrząsnąłem tylko głową.

— Myślałem, odparłem, o istocie droższej mi nad wszystko, której oszczędzić boleści chciałbym kosztem własnego życia.

Prawnik ścisnął mi rękę.

— Bądź pan spokojny, wyrzekł; zrobimy wszystko co możliwe, i więcej jeszcze jeśli to podobna; ja sam jutro będę u żony pana, i w braku współdziałania, zapewnić sobie muszę przynajmniej neutralność.

Tak rozstaliśmy się z człowiekiem, w którego ręce złożyłem wszystkie nadzieje moje; wychodząc z jego mieszkania, uczułem się bardziej jeszcze samotny i zrozpaczony niż wprzódy, Teraz rozpoczynał się dla mnie czas najokropniejszej próby, jaka istnieje dla czynnych natur: czas wyczekiwania i niepewności. Nie wiedziałem co uczynić z sobą, jak zapełnić te nieskończone godziny dnia i nocy, w których myśl o położeniu mojem nie zostawiała mi chwili spokoju. Tutaj na nic przydatnym być nie mogłem, a jednak nie miałem odwagi wracać na wieś, bo z czemże powracałem? jakiem słowem miałem powitać Anielkę?

Codzień prawie widywałem się z prawnikiem moim, jak gdybym chciał zaczerpnąć u niego odwagi i nadziei. Leonora z pogardliwem lekceważeniem obiecała nie

mieszać się wcale do spraw i czynów moich; ale w zawikłaniach podobnego rodzaju, gdzie więcej znaczyły pokątne plotki niż jawne działanie, przy stosunkach i położeniu towarzyskiem tej kobiety, obietnica ta uczyniona nieszczerze znaczyła bardzo mało.

W takim stanie gorączkowego rozstroju zastał mnie list od matki, która coraz słabsza i niespokojna o mnie, wzywała mnie z powrotem. Poleciwszy więc raz jeszcze najdroższe sprawy moje człowiekowi, który pojmował ich całą ważność, wróciłem do domu.

Smutny był mój powrót. Nadzieje, w które wyjeżdżałem bogaty, zdawały się oczekiwać na mnie w tym ganku, gdziem żegnał Anielkę, i urągać memu niepowodzeniu; a jednak serce moje biło szybko, i spoglądałem z daleka, czy nie dojrzę gdzie wśród klombów dziedzińca jej postaci spokojnej. Zastałem ją dopiero przy matce mojej, ale nie samą jak pragnąłem, jak marzyłem: Władysław był z niemi. W usposobieniu w jakiem się znajdowałem, obecność doktora jakkolwiek naturalna, zrobiła mi przykrość nie do opisania: nie byłem w stanie prawie go powitać; pierwsze spojrzenie moje nie było dla matki, ale zazdrosnem okiem śledziłem wzrok jego, ruchy, obejście się z Anielką. Władysław był poważny jak zwykle; ale twarz dziewczyny nosiła ślady zmęczenia, łez czy choroby: ciemne jej oczy podkrążone wydawały się większe niż były, świeciły niespokojnym blaskiem w jej twarzy wychudłej i bledszej niż zwykle. Matka moja także przez te kilka tygodni nieobecności mojej, posunęła się w starość o lata całe, potrzebowała mnie wciąż koło siebie. Spojrzawszy na nią,

zrozumiałem, że miejsce moje było tutaj, i cokolwiek cierpieć miałem, nie powinienem był oddalać się więcej jak żołnierz ze stanowiska.

Powitano mnie radośnie; blade lica Anielki rozgorzały. Staś przybiegł rzucić mi się na szyję, jam uczuł się prawie szczęśliwym. Dla czego wobec wszystkich nie wolno mi było pochwycić tej kobiety w objęcia i przycisnąć do piersi przepełnionej tak czystą, tak wielką miłością? Czy chwila ta kiedyś choć w dalekiej przyszłości nadejść miała?

— Kazimierzu! mówiła matka wyciągając do mnie ramiona: nie opuszczaj nas, przesądziłam siły moje, ja już nie mogę obejść się bez ciebie, starość jest samolubną, zostań przy mnie.

— Tato! zawołał Staś: nie odjeżdżaj nas; tak tu smutno bez ciebie, tak tęskno!

Anielka nie powiedziała nic, ale spojrzenie jej wymowniejsze było niż wszystkie słowa.

Owiała mnie atmosfera miłości; szczęście, jakie sprawiałem, oddziałało na mnie. Jakże różny był świat, z którego wracałem, od tego serdecznego kółka szlachetnych serc i uczuć gorących! Władysław nawet harmonizował z niem zacną miłością i postępowaniem swojem. Zresztą za cóż mogłem mieć żal do niego, ja, co kochany byłem?

Powoli odzyskiwałem swobodę, zapominałem trosk i niepokojów o przyszłość, czułem się otoczony prawdziwie rodzinnem gronem? I czegóż mi brakło, by być najszczęśliwszym? Jednego słowa z ust ludzi, którzy nie znali mnie, nie pojmowali potrzeb, uczuć i myśli moich, od których zależałem w tej chwili. Słowo to mogło otworzyć

mi niebo, lub wtrącić w otchłań rozpaczy, i musiałem oczekiwać go w śmiertelnym niepokoju miesiące i lata całe może.

Wieczorem pożegnał nas Władysław, matka usnęła, zostałem sam z Anielką, pochwyciłem w moje dłonie jej ręce i spoglądałem długą chwilę w jej jasne czoło, w jej przezroczyste oczy, jak gdybym chciał pić z nich spokój i pogodę ducha; a ona zarumieniona, z bijącą piersią stała przy mnie w pół mroku letniego wieczoru nie cofając rąk, nie odwracając oczu i patrząc na mnie wzajem wzrokiem miłości pełnym.

Nie zapytała mnie o nic, nie pomyślała nawet pewno o celu podróży mojej; była szczęśliwą, że widziała mnie znowu, że znowu byłem przy niej, to starczyło jej zupełnie.

— Anielko, szepnąłem w końcu, bo mi głos zamierał w piersi: czy wiesz ile przecierpiałem bez ciebie?

— A ja, odparła, czy sądzisz, żem nie liczyła chwil, minut i godzin? Ach! jak każda ciężka mi była.

Miała słuszność; twarz jej wychudła, zapadłe oczy aż nadto świadczyły o tem.

— Ty byłaś chorą Anielko! zawołałem czując w moich rękach jej puls gorączkowy.

— To nic, odparła; zapomniałam o wszystkiem w chwili gdym cię ujrzała.

— Aleś była chorą? powiedz mi prawdę! wołałem coraz bardziej przerażony.

— Trochę, odrzekła niedbale; doktór przywiózł mi nawet jakieś lekarstwo i kazał brać koniecznie, ale to minęło już, przeszło. Ale ty nie pojedziesz już więcej? dodała patrząc

mi w oczy błagalnie.

Cóż odpowiedzieć mogłem? Przycisnąłem do ust jej ręce, jej włosy, i pytałem samego siebie, czy ta nieporównana dziewicza miłość dana mi była na mękę, czy na rozkosz życia? Pytałem siebie, czem zasłużyć na nią mogłem i stać się jej godnym?

— Anielko, Anielko! wyrzekłem tylko: nie przywodź mnie do szaleństwa; zanadto szczęścia dla mnie być tak kochanym.

— Czyż nie dość cierpiałeś jeszcze, Kazimierzu? odparła. Ja chciałabym cię kochać za wszystkich, co cię ukochać nie umieli, za świat cały, co ci dokuczył, za tych, co ci tyle złego uczynili; zdaje mi się, żem na to tylko stworzona, by cię kochać i kochać jeszcze.

Słuchałem jej upojony; zdawała mi się przetworzoną przez te kilka tygodni nieobecności mojej; tęsknota i miłość wyrobiły ją na kobietę, nadały nawet jej twarzy piętno dojrzałości, uczyniły ją piękną jakąś duchową, promienną pięknością, którą kobiecie każdej daje miłość. Nie było to już owo swobodne, wesołe, roztropne dziecko, ale myśląca istota, zdolna wszystko odczuć i zrozumieć. Patrzałem na nią zachwycony tym nowym urokiem rozwijającym się pod wpływem moim. Ta przedziwna natura dojrzewała pod ciepłem uczucia, nic nie tracąc z pierwotnej czystości, a codzień zyskując powab nowy, i na przekor wszystkim troskom przyszłości, byłem szczęśliwy przez chwilę niemarzonem nawet szczęściem. Nagle Anielka zakaszlała gwałtownie. Kaszel ten odbił się w głębi mego serca, i jak straszny głos złowróżbny rozwiał wesele, które w niem

gościło.

— Anielko, zawołałem strwożony, tyś słaba! ty coś ukrywasz przedemną! Dawno tak kaszlesz?

Ale dziewczyna nie pojmowała przerażenia mego, i uśmiechnęła się z niego nawet.

— Już parę tygodni, odparła, jak kaszlę trochę, musiałam się przeziębić, nie zważałam na to.

— Powinnaś zważać, pochwyciłem: czyż nie wiesz, że twoje zdrowie jest mojem zdrowiem i życiem?

Uśmiechnęła się znowu, ale innym wdzięcznym, miłosnym uśmiechem.

— Będę uważną, skoro tak chcesz, Kazimierzu; ależ to przecie nie choroba.

Lękałem się troskliwością moją obudzić jej niepokój, przerazić tem czego się sam lękałem, i uśmiechnąłem się także z boleścią w sercu.

— A czy spełniasz przepisy doktora? spytałem pół żartobliwie, pół seryo.

— Ach! zapomniałam wziąść dzisiaj tego szkaradnego lekarstwa, wyrzekła; ale od jutra obiecuję poprawę.

— Ja nie chcę, mówiłem dalej, byś mizerniała, chudła, kaszlała, i powinienbym gniewać się na ciebie.

— W takim razie gniewaj się na samego siebie: cóżem winna, że mi było tak smutno i tęskno?

— Wszak nie mogłaś wątpić o mnie Anielko; wiedziałaś, że cię kocham i że tęsknię także.

— I cóż ztąd? to byłaby przyczyna, by cierpieć podwójnie za siebie i za ciebie? Żal mi każdej chwili, w której nie jesteśmy razem, bo każda zdaje mi się straconą.

Bez ciebie słońce nie ma dla mnie blasku, kwiat woni i życie uroku.

Serce jej nieskalane, kochające, wylewało się w tych słowach. Niedoświadczona, nie wiedziała jak niebaczne były podobne wyznania. Mężczyźni zazwyczaj kochają tem mniej, im sami więcej są kochani; ileż kobiet traci szczęście w ten sposób! Ale zemną to niebezpieczeństwo nie istniało; nie byłem zepsuty powodzeniem, nie bawiłem się w miłostki, nie podbijałem serc na zimno. Dla mnie słowa jej były całem szczęściem, piłem ich słodycz spragnionym duchem, i kochałem coraz więcej za te czyste niewymowne rozkosze, jakiemi mnie darzyła.

Rzeczywiście oboje byliśmy wzajem dla siebie stworzeni; miłość nie potrzebowała nas zaślepiać, jak to częstokroć bywa, i równać przepaści pomiędzy sprzecznemi sobie istotami: zalety nasze, wady, usposobienia i pojęcia wszystko było w doskonałej harmonii. Rozumieliśmy bez pracy myśli, bez wysileń woli najtajniejsze zakątki serc naszych, odgadywali najprzelotniejsze myśli, bo one znajdowały echo w nas samych.

Noc całą przepędziłem bezsennie, wśród marzeń i wspomnień tej rozmowy, wśród trwogi o nią, która na teraz zagłuszała wszystkie inne. Nazajutrz rano, nie mogąc uspokoić się niczem, byłem u Władysława. Zastałem doktora schylonego nad książkami, widząc mnie powstał, ale powitanie jego miało odcień chłodu, czoło zalegał wyraz surowy, jaki spostrzegłem u niego po raz pierwszy. Czy widział we mnie wroga szczęścia, człowieka, który stanął na drodze jego miłości? czy też potępiał

postępowanie moje? Co wiedział o mnie i o niej? co mi mógł zarzucać? Czy złośliwe oko świata przejrzało tajemnicę serc naszych i zbrudziło ją już po swojemu? czy wieść o zaczętym rozwodzie doszła do niego? czy też Anielka w prostocie i czystości swojej zdradziła się sama? Bo i cóż ona miała do ukrycia? czy mogła pojąć nawet obmowy i potwarze, jakiemi zwykle obrzucają ludzie to wszystko, co nad nimi góruje siłą uczucia lub siłą myśli?

Bądź jak bądź, odcień ten zaledwie spostrzegalny w obejściu Władysława, uderzył mnie tem przykrzej, że nateraz nie podobna mi było dojść przyczyny jego.

— Przyjechałem, wyrzekłem zaledwie dając sobie czas zabrać miejsce: przyjechałem do pana dla otrzymania szczerej odpowiedzi na zapytanie o zdrowie istot, które mnie najmocniej obchodzą.

Doktór popatrzał mi w oczy przenikliwym wzrokiem.

— Czy chcesz pan mówić o matce swojej? spytał badawczo.

— Tak jest, najprzód o nią zapytać chciałem, odparłem mimowoli spuszczając oczy, bom się czuł zmuszonym do kłamstwa.

Jakiś pół-uśmiech szyderczy a smutny przemknął po ustach Władysława; widać słowa moje nie oszukały go wcale, ale nie dał tego poznać po sobie i odparł poważnie:

— Stan choroby nie zmienił się, bo wątpię, by się mógł zmienić na dobre, ale też i nie pogorszył się nazbyt. Jest to lampa gasnąca, zupełne wyczerpanie sił żywotnych, na które nauka nasza nie posiada radykalnego środka. Zdanie moje objawiłem panu oddawna i nie zmieniłem go dotąd.

Uderzyła mnie dziwna oschłość tej odpowiedzi, i milczałem przez chwilę, czekając od czegoby zacząć dalszą rozmowę.

Ale Władysław nie nadużywał swego położenia i po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Inaczej rzecz się ma z panną Anielą.

Czułem jak na te słowa dreszcz mnie przeszedł od stóp do głowy, ale czułem także jego badawcze oko na sobie. Głos jego był niepewny gdy wymawiał jej imię; jednakże mówił nie zważając na moje ani swoje własne wzruszenie:

— Przed kilku tygodniami nie taiłem przed panem tego, jakie obawy jej usposobienie wzbudzało we mnie; dziś obawy te wzrosły, bo fakta je potwierdziły.

Zamilkł na chwilę; widocznie mówiąc do mnie w ten sposób, spełniał ciężki obowiązek sumienia, bo czoło jego sposępniało, a twarz zbladła.

— Więc, zawołałem przerażony, pan znajdujesz, że ten kaszel jest niebezpieczny?

— Tak źle jeszcze nie jest, pochwycił; dotąd nie ma nic niepowrotnego, ale natura to wrażliwa, cała zależna od wpływów moralnych. Nie wiem co pogorszyło jej stan; nie wiem, co go polepszyć może.

W tych ostatnich słowach pełnych prostoty a surowych, czułem skrytą naganę, sąd o mnie, potępienie; ale nie znajdowałem na nie odpowiedzi w tej chwili, nawet nie byłem w stanie myśleć o sobie.

— Ja nie mam prawa, począł znowu doktór, któremu z coraz większą trudnością przychodziły słowa na usta, czuwać nad jej zdrowiem, szczęściem i życiem. Odrzuciła

opiekę moją; ona nie mnie kocha. Mogę tylko jako zwyczajny lekarz działać na symptomata, a w tym razie, jak i w wielu innych, to nie dość.

Tutaj Władysław odkrył się zupełnie temi wyrazami: „ona nie mnie kocha”, ale ja zrozumieć go nie chciałem.

— Więc czegóż jej potrzeba? spytałem, kładąc nacisk tylko na ostatnie słowa jego.

— Czy ja wiem? odparł smutnie; może szczęścia, może spokoju.

Ta odpowiedź zawierała gorzką wymówkę; zrozumiałem ją i spuściłem głowę. Jam nie mógł dać jej ani szczęścia, ani spokoju; miłość moja bezsilną być musiała wobec jej cierpienia. Potępienie, które wisiało nademną, spływało i na jej głowę, żem ją kochał, żem drżał o nią, żem ją mógł utracić.

Władysław spoglądał na cichą rozpacz moją smutno, lecz surowo.

— Panie, zawołałem przychodząc trochę do siebie: powiedz co trzeba uczynić? Czyż zabrakło ci już materyalnego środka na objawy choroby w zawiązku? Walcz z nią, nie opuszczaj nas.

Doktór podniósł czoło z pewną dumą.

— Zawsze starałem się, odparł, spełniać obowiązki moje; spełniać je będę tutaj do końca, jak spełniam je w tej chwili, wyznając przed panem słabość środków, jakie mam w ręku.

— A na teraz nie masz pan nic do przepisania?

— Nic nowego, niech tylko panna Aniela wypełnia ściśle polecenia moje; dopilnuj pan tego, nie budząc obaw, które

dzięki Bogu dotąd nie postały w jej myśli.

— Jeszcze słowo, rzekłem powstając: daj mi pan słowo, że gdyby choroba się wzmogła, gdybyś dostrzegł jaki bądź niebezpieczny symptomat, powiesz mi to natychmiast.

Może ból wyraźny w słowach i twarzy mojej rozbroił go trochę, bo podał mi rękę, przyrzekając zadość uczynić żądaniu memu. I gdy to mówił, zrozumiałem, że on sam nie miał wątpliwości, iż chwila ta nadejdzie prędzej lub później.

Opuściłem go zrozpaczony. We własnych oczach byłem prawie zbrodniarzem; zabijałem to com ukochał nadewszystko. Jedyna i wątła nadzieja, jaka pozostawać mi mogła, była w szybko ukończonym rozwodzie. Wróciwszy do siebie, napisałem długi list do obrońcy mego. Nie wiedziałem jeszcze, że w sprawach podobnego rodzaju, najpilniejszych, bo dotykających palących kwestyj życia, jak na szyderstwo i wyzwanie stawiana bywa systematyczna zwłoka. Jest to pierwsza moralna tortura, zadawana indywiduom, które miały nieszczęście i odwagę wystąpić do walki z prawami społeczeństwa.

Prawnik był jednym z ludzi najmocniej oburzonych niesprawiedliwością i niekonsekwencyą średniowiecznych ustaw rządzących pewnemi położeniami socyalnemi; zawodowi swemu poświęcał się więcej z zamiłowania niż z potrzeby. List jego był wymowny, pełen uczucia i sympatyi, ale nie zawierał żadnej doraźnej nadziei, nie wskazywał mi wyjścia z położenia, które z dniem każdym stawało się trudniejsze.

Wieść o zaczętym rozwodzie rozeszła się błyskawicą, jak

wszystkie wieści, które najmniej ludzi obchodzićby powinny, i zwróciła znów uwagę powszechną na cichą istotę moją. Może na uwagę tę wpłynęło nakierowanie jej z góry, nie wchodziłem w to. Czułem się tylko obwiany jakąś nieprzyjazną atmosferą, której objawy widoczne były dla mnie codzień, co chwila, przy każdej sposobności i zetknięciu z towarzystwem. Jednak byłem tak szczęśliwy w szczupłem kole, które zamykało całą miłość moją, żem długo na nią nie zwracał uwagi, a zresztą zbyt hardy byłem także, by walczyć z niesłusznem potępieniem świata, którego praw nie uznawałem nad sobą. Ale opinia świata, to potęga olbrzymia, nikczemna a chwiejna jak chorągiewka na dachu, co żyje tylko głupotą i podłością ludzi, opinia potrafiła znowu znaleźć w sercu mojem miejsce dotkliwe na pociski.

Poczęto szukać przyczyn nowego skandalu, jaki sprawiała spokojnemu, doskonale urządzonemu społeczeństwu krnąbrna i niepodległa natura moja i przyczynę tę znaleziono przy mnie w Anielce.

Gdybym zachowując światowe pozory mieszkał z żoną, gdybym pokochał i uwiódł ubogą kuzynkę żyjącą w domu moim, świat nie miałby mi nie do zarzucenia; uśmiechnąłby się może na zbrodnię moją jak na niewinną swawolę rozpieszczonego dziecka fortuny i szczęścia, któremu wszystko ujść może bezkarnie. Ale żem odrzucił pozory związku z kobietą, która budziła we mnie tylko wstręt i pogardę, żem pokochał szczerze, uczciwie i uszanował niewinność sieroty zostającej pod moralną opieką moją, ona zarówno jak ja wskazaniśmy zostali za cel szyderstwa i

potwarzy ludzkiej, ona zarówno jak ja odcierpieć musieliśmy za czystość uczuć naszych. Tylko ona miała lat siedmnaście, nie przechodziła dotąd w życiu próby żadnej, nie zahartowała się w zapasach z losem, nie wyrobiła sobie tego puklerza obojętności, który mnie osłaniał, i na pociski świata była zupełnie bezbronną. Długo też bardzo nie rozumiała tej próżni otaczającej dom nasz coraz szerszem kołem jak dom zapowietrzony; nie wiedziała dla czego towarzyszki i rówiennice jej wieku odsuwały się od niej przy każdej sposobności. Nie pojmowała co to jest potępienie świata, nie mogła odgadnąć czem zasłużyła na nie. Tembardziej że próżnia ta otaczała nas powoli; coraz rzadziej zaturkotało na dziedzińcu, coraz rzadziej gość pojawił się w progach naszych.

Czasem tylko Anielka zwracała uwagę, że ci lub owi dawno już nie odwiedzali nas, ale czyniła to bez ukrytej myśli, owszem nawet z pewnym niepokojem, by ktoś obcy nie przerwał nam tych błogich chwil ciszy i zachwytu, jakich używaliśmy razem. Bo jeśli ludzie byli przeciwko nam i obrzucali nas błotem domysłów swoich, za to natura i wszechświat cały rozbrzmiewały nam hymnem szczęścia, niebo zdawało się spoglądać na nas łaskawie srebrnemi gwiazd oczyma i zlewać przez nie błogosławieństwo w czyste serca i czyste myśli nasze. Kwiat każdy uśmiechał się do nas, ptak na gałęzi zdawał się witać przyjaznym głosem, a my rozumieliśmy te rozpierzchłe dźwięki przyrody, bośmy zharmonizowali się z nią duchem, one miały odbicie w piersiach naszych uderzających jednozgodnie, a miłość otworzyła nam oczy i serca.

Tak mijały znów dni i miesiące; pogoda wróciła do myśli mojej, bo zniknęły zastraszające symptomata choroby i Anielka była znowu swobodną, czerstwą i piękniejszą niż dawniej. Mógłżem pamiętać o troskach moich, gdy z uśmiechem na twarzy; z wejrzeniem promieniejącem miłością, darzyła mnie słowami nieporównanej słodyczy, gdy czułem się tak bardzo, tak szlachetnie kochanym?

Nieraz o ściany naszego domu rozlegały się głosy wesołe; nieraz śmiech jej srebrny przerwał ciszę wieczorną, a wówczas i blade rysy matki ożywiały się, i ona była szczęśliwą weselem naszem, choć nie pojmowała go dokładnie, nie wiedziała, że pomiędzy nami było coś więcej, niż braterskie uczucie. Przynajmniej ta troska oszczędzona jej została; ach! ona nie byłaby nas potępiała, tylko myśl jej nie rozerwana namiętnością, byłaby łatwo odgadła smutne koleje, które przechodzić nam przyjdzie. Jednak nigdyby nie odgadła wszystkiego: są otchłanie, których nie dosięgnie nawet wzrok umierających, są rzeczy, których żadna matka dla syna przewidzieć nie zdoła.

Tak minęło lato, nie przynosząc zmiany żadnej w położeniu naszem, zbliżał się październik i dzień imienin Anielki, dzień zwykle obchodzony z pewną uroczystością, bo matka nie chcąc jej w niczem dać uczuć sieroctwa, przywykła w dzień ten od lat kilku zbierać u siebie sąsiadów i rodzinę. Ja długo naprzód myślałem o nim i o tem, coby jej przyjemność sprawić mogło, każdy upominek zdawał mi się zbyt mały i jej niegodny, a przytem pragnienia jej były tak ograniczone, strój skromny ubierał ją najwdzięczniej.

W końcu zdecydowałem się na zegarek i sprowadziłem go z zagranicy ozdobiony jej cyfrą, z całym przyborem łańcuszków i broszek. W dzień jej imienin, zebrawszy sam bukiet z jesiennych kwiatów, czekałem rano aż swoim zwyczajem wybiegnie do ogrodu. Nie czekałem długo; z nutą skowronka na ustach a pogodą na czole, ukazała mi się we drzwiach szklanych wiodących z salonu do ogrodu, naprzeciw których siedziałem po za klombem krzewów.

Rosa jesienna perliła trawniki, słońce przebijało mgły ranne i wzbijało się jasne na czyste niebo, paląc jeszcze skośnemi promieniami. Anielka stanęła na progu rozglądając się po ślicznych cieniach i barwach, któremi jesień umalowała liście drzew; potem zwinna i szybka jak młoda sarenka, poskoczyła ku miejscu gdzie byłem ukryty, nie widząc mnie wcale, nie domyślając się obecności mojej, bo zwykle nie byłem tak rannym gościem w ogrodzie.

Wówczas stanąłem przed nią niespodzianie; Anielka widząc mnie aż krzyknęła z radości, wzrok jej rozpromienił się najpiękniejszym wyrazem kobiety: miłością.

— To ty! zawołała. Jakimże cudem spotykam cię o tej godzinie?

— Chciałem ci powinszować najpierwszy, zobaczyć najpierwszy; ale powiedz, czego ci mam życzyć?

— Czego? powtórzyła niby z wyrzutem; tego, byś kochał mnie zawsze, byśmy nie rozstawali się nigdy.

— Anielko, tego ci życzyć nie potrzebuję.

— Więc niechaj nic nigdy nie zmieni się pomiędzy nami, wyrzekła patrząc na mnie okiem zwilżonem.

Wstrząsnąłem głową.

— Ty wiesz, że to się zmienić nie może, mówiłem ogarniony jej wzruszeniem.

I podając jej zegarek, dodałem:

— Oby znaczył ci tylko godziny szczęścia!

Pomimo wzruszenia, Anielka spojrzała na niego z zachwytem.

— Jakież to śliczne! zawołała ucieszona jak dziecko, oglądając go na wszystkie strony. Jakiś ty dobry, Kazimierzu!

Mimowolnie przypomniałem sobie, z jaką obojętnością Leonora przyjmowała stokroć kosztowniejsze dary, jaką mi to przykrość sprawiało, i rozradowałem się szczerze radością Anielki.

— To być nie może dla mnie, mówiła zakłopotana; to nazbyt piękne.

— Czy sądzisz, wyrzekłem, że w oczach moich jest cośkolwiek zbyt pięknego dla ciebie? Patrz na to niebo ozłocone słońcem, owiane lekkiemi mgłami; patrz na świat ten iskrzący się od pereł rosy i od barw jesieni; patrz, to wszystko wydaje mi się zaledwie godnem tłem dla ciebie, coś pogodziła mnie z życiem, coś stała mi się nadzieją i weselem jego.

Anielka pochyliła głowę na ramię moje, wlepiając we mnie swe głębokie rozkochane oczy, w których drżały ciche łzy szczęścia, i pomiędzy nami nastała cisza pełna rozkoszy, wśród której przemawiały tylko serca nasze.

Niestety, dzień ten zaczęty tak błogo, miał skończyć się strasznie. Życzenia moje nie ziściły się w niczem; los jakby na szyderstwo w chwili prawie gdym je wymawiał, na

wspak je obrócił, i kazał mi gorzko opłacić godziny i dni ukradzione nieszczęściu.

Nad wieczorem wszystko w domu przybrało strój świąteczny. Anielka w białej sukni krzątała się po pokojach, wydając ostatnie rozkazy. Matka zasiadła miejsce swoje w salonie na wygodnym fotelu. Mijały godziny, a nikt nie nadjeżdżał.

— To dziwna! wyrzekła w końcu matka; czyby mieli zapomnieć o zaprosinach moich?

Nie odpowiedziałem nic, ale trwoga ścisnęła mi serce. Czy naprawdę świat chciał w ten sposób pomścić się nietylko na mnie, com mu urągał, ale nad tą cichą, skromną dziewczyną, nad szanowną starością matki mojej?

Znów upłynął czas jakiś, znów zegar wygłosił godzinę; milczeliśmy wszyscy troje ogarnięci niepokojem, którym żadne z nas podzielić się nie chciało; cisza i pustka poczęła dolegać nam, ciążyć coraz bardziej. Staś tylko biegał od drzwi do okien i niecierpliwił się widocznie. Dzieci bywają okropne w podobnych razach.

— Anielko, zapytał w końcu, dla czego to nie ma gości?

— Nie wiem, odparła dziewczyna, widocznie zmuszając się do uśmiechu; zapewne przyjadą później.

— I Maryni nie ma, mówił chłopczyk, którego to widać zajmowało najwięcej. Schowałem dla niej cukierków; ona tu już bardzo dawno nie była.

Nie wiem co odpowiedziała Anielka, bo w tej chwili słuch mój wytężony schwycił turkot daleki. Śledziłem go; turkot zbliżył się i zatrzymał przed domem. Wybiegłem na ganek; ktokolwiek przyjechał, byłem mu wdzięczny

zawczasu.

Był to Władysław; on jeden, który miał prawo żalu do Anielki, zapomniał o nim w tym dniu, i w wieczornym stroju, trochę blady, poważny jak zawsze, zbliżył się do niej i złożył życzenie swoje. Po chwili powiódł okiem po salonie ustrojonym kwiatami, oświeconym balowo, spojrzał na strój Anielki, na nasze twarze mimowolnie zafrasowane i zachmurzone, a nadewszystko na oblicze matki mojej, wyrażające przykre zdziwienie. Odrazu zrozumiał wszystko; może i wiedział coś więcej niż my, ale nie dając tego poznać po sobie, wyrzekł swobodnie:

— Rok temu bawiliśmy się wesoło, nieprawdaż pani? ale dziś wątpię, by dopisali goście, wszakże mamy ślub w sąsiedztwie.

Rzeczywiście ślub miał się odbyć w parafii, ale nie dnia tego, ja i Anielka dobrze wiedzieliśmy o tem, ale nawzajem zrozumieliśmy szlachetną myśl Władysława. Szło mu o matkę moją: ona nie powinna była się domyślić niechęci świata, nie widziała wyrazu oczu naszych, ją trzeba było uspokoić koniecznie.

Doktór usiadł i zaczął z nią rozmowę o ślubie tym, na który niby był proszony, o tysiącu potocznych rzeczy; ale choć słowa jego były wesołe, surowe czoło spuszczało się ku ziemi, raz wraz spoglądał z boku to na mnie, który łamałem się sam z sobą w bezsilnej wściekłości, to na twarz Anielki smutną i zamyśloną, to na Stasia wreszcie, który nieustannem szczebiotaniem drażnić ją musiał. Bądź jak bądź, winienem mu był wdzięczność za pomoc, jaką nam przyniósł, za dobrą wolę szczególniej; ale to samo już

dowodziło, że głęboko wniknął w położenie, że wiedział lub domyślał się wszystkiego, co mówiono przeciwko nam. A ja postawiłem sobie pytanie: czy mógł w to uwierzyć? czy był tutaj jako przyjaciel, czy też jako badacz?

W tej chwili wszedł służący i oddał list Anielce.

— Od kogo to? zapytałem, tknięty dziwnem przeczuciem.

— Nie wiem, odparł lokaj.

— Kto go przyniósł?

— Nie wiem, jakiś człowiek nieznany, i odszedł zaraz nie czekając odpowiedzi.

Spojrzałem na Anielkę? obracała list w ręku nie otwierając go.

— Nie znam pisma, wyrzekła zmieszana.

Gdyby nie obecność doktora, byłbym wydarł jej list z ręki, ale przy nim nie mogłem tego uczynić; patrzałem tylko na nią, bo w tej chwili trwożyło mnie wszystko, i wzrok mój zbiegł się na niej z bacznem okiem Władysława.

Anielka rozpieczętowała list, zaczęła czytać, i oczy jej rozwarły się szeroko, krew oblała czoło, ale to trwało chwilę tylko; opuściła list na kolana, potoczyła błędnym wzrokiem w około, twarz jej przybrała trupią bladość. Chciała przemówić, ale nagle zakaszlała gwałtownie, przyłożyła rękę do piersi, jakby ją tam nagła boleść przeszyła, pochyliła się, i strumień krwi wytrysnął z jej ust, brocząc jej białą suknię, jej ręce i papier przeklęty leżący u nóg.

W jednej chwili ja i Władysław byliśmy przy niej; pochwyciliśmy ją chwiejącą się i ramiona nasze się splotły

w koło kobiety, którą kochaliśmy obadwaj. Nie była już w stanie nas widzieć, głowa jej zwisła bezwładna. Omdlałą wynieśliśmy na rękach aż do jej pokoju, nie przemówiwszy jednego słowa do siebie, jak dwaj grabarze niosący trupa; stąpaliśmy w milczeniu z ciężarem naszym.

Położyliśmy ją we krwi całą na dziewiczem łóżku. Jam nie miał już głosu, słów ani myśli; patrzałem na jej postać wpół martwą, ustrojoną jeszcze w białą suknię, róże i wstążki a tak pogodną w martwocie swojej, że można ją było sądzić uśpioną, gdyby nie śmiertelna bladość lica, gdyby nie krew brocząca jej usta.

Stałem patrząc na nią osłupiały prawie, gdy Władysław, który nie stracił przytomności, dotknął ramienia mego.

— I czegóż pan czekasz? wyrzekł gwałtownie, patrząc mi w oczy z wyrazem nieubłaganej surowości. Zadzwoń pan; zawołaj kobiet, trzeba ją najprzód rozebrać, położyć.

Nie byłem w stanie dobrze zrozumieć czego chciał odemnie.

— Na miłość Boga! pomocy! wody! mówił doktór rozrywając nożem jej stanik, którego rozpiąć nie mógł i oglądając się na wszystkie strony. Czy nie widzisz pan, że skonać może w rękach naszych.

Te ostatnie słowa zbudziły mnie jak ze snu.

— Anielka kona! krzyknąłem jak wściekły.

I chwytając jej zimne ręce cisnąłem do ust rozszalały.

Ale ten jęk rozpaczy nie rozbroił wcale Władysława.

— Pan zadałeś jej śmierć, zawołał, nie mogąc pohamować się dłużej; ja byłbym jej dał życie; twoja to miłość ją zabiła.

— Jam ją zabił, jam zabił! powtarzałem wpół obłąkany.

Jakkolwiek wyrazy te były okrutne, czułem ich sprawiedliwość: gdyby nie ja, ona byłaby swobodną, szczęśliwą; kochana przez Władysława, ukochałaby go wzajem, miłością, którąby przyznać mogła, którąby Bóg i ludzie uświęcili. To ja przeklęty stanąłem na jej drodze, i ten kwiat rozkwitający tak pełnem życiem, uwiądł pod tchnieniem mojem. W szalonej rozpaczy tuliłem w rękach jej martwe dłonie, nie zdolny dać jakąbądź pomoc.

Szczęściem doktór przywykły do choroby i cierpienia, nie dał się opanować wzruszeniu i dalej trzeźwił omdlałą. W końcu Anielka odetchnęła ciężko.

— Czy chcesz pan, wyrzekł wówczas, zabić ją naprawdę nowem wzruszeniem, gdy odzyska przytomność? Wstań pan, uspokój się, choćby przez litość, przez sumienie.

I gdy to mówił, ręka jego silna jak żelazo, pochwyciła mnie i postawiła na nogi; wzrok jego ciążył na mnie i powoli zapanował nad szaleństwem. Jak dziecię pokonane spuściłem głowę.

— Więc cóż mam uczynić? spytałem.

— Zawołaj pan służące, trzeba ją rozebrać, położyć, a nadewszystko nie trzeba pokazywać jej tak strwożonej twarzy; nie pokazuj się pan, aż potrafisz zapanować nad sobą.

Spełniłem rozkaz jego jak automat i wyszedłem, rzucając ostatnie spojrzenie na miłość moją. Świeży powiew wieczoru owionął mnie w sieni, wówczas zatrzymałem się, przyłożyłem ręce do skroni pulsujących gwałtownie, i na raz przypomniałem sobie wszystko, objąłem i zrozumiałem

całą okropność obecnej chwili. Więc wszystkie trwogi i domysły moje prawdziwe były: świat potępił nas niemiłosiernie i niesprawiedliwie jak zwykle. Anielka zrozumiała to także, to spowodowało nagły napad choroby grożącej jej od dawna. Ale co zawierał ten list, który ją spiorunował? Rzuciłem się do salonu, znalazłem go w miejscu, gdzie upuściła go nie mogąc skończyć, ale matka usłyszała kroki moje.

— Co się to stało Kazimierzu? spytała niespokojnie.

— Nic matko, odparłem, siląc się na spokojność. Anielka zasłabła nieco, doktór kazał jej się położyć, a sam przyrządza jakiś napój.

Matka z namysłem potoczyła w około oczyma.

— W tem wszystkiem jest coś, czego nie pojmuję, wyrzekła; wy coś ukrywacie przedemną. Dla czego dzisiaj wszyscy zapomnieli o nas i uroczystości obchodzonej corocznie?

Już nie wiem co odpowiedziałem, uspokoiłem ją z trudnością, aż w końcu potrafiłem wysunąć się z listem, który palił mi rękę.

Mamże powtarzać treść jego? Był to jeden z tych nikczemnych paszkwilów bez podpisu, wyraźnie kreślonych fałszowanym charakterem, na które wysila się zwykle zawiść, złość i głupota. Nie przemilczano w nim o żadnej potwarzy, które uważano za pewniki; oskarżano Anielkę o to wszystko, czego nawet jej czyste myśli pojąć nie były w stanie.

Szarpałem list w ręku miotany bezsilnym gniewem, bo nic nie wskazywało mi autora jego, gdy wszedł Władysław.

— Patrz pan, zawołałem nie posiadając się prawie: patrz co tu śmieli napisać!

Doktór przebiegł oczyma list i rzucił go z pogardą.

— Domyślałem się tego, odparł tylko.

— I nie wiedzieć kto to napisał! mówiłem, i nie wiedzieć u kogo się upomnieć o krzywdę jej wyrządzoną!

Władysław wzruszył ramionami.

— Upominaj się pan o to u każdego człowieka, co spotkasz, u każdej kobiety, którą zobaczysz, bo tego co tu stoi nie wymyśliło jedno indywiduum. Złożyło się na nie tysiące uśmiechów, półsłówek, żartów niebacznych; tu stoi wyrok i sąd społeczeństwa całego, przeciwko którego zasadom i formom przekroczyłeś pan i panna Aniela.

— Ona! zawołałem; w czem przekroczyła ona? Czy świat ma nad nią prawo potępienia dla tego, że powróciła mi wiarę i odwagę do życia, że jak Anioł pocieszyciel stanęła w domu moim nawiedzonym gromami nieszczęść, że powróciła wiarę zwątpiałemu, nadzieję zrozpaczonemu? że stała się żywem błogosławieństwem Bożem dla wszystkich co ją otaczają?

— Alboż świat w to wchodzi? odparł Władysław. On widzi tu tylko miłość dwojga ludzi, którym się kochać nie wolno.

— Alboż ja przybyłem tutaj z myślą pokochania jej? wyrzekłem. Zespoliła nas wspólna troska około chorej matki. Widziała, żem był smutny, nieszczęśliwy, żem potrzebował serca, i ukochała mnie. Nie kusiłem się o to, nie marzyłem nawet. Ta miłość, którą świat śmie brudzić i potępiać, jest przecie czystą bez skazy, prawie bez nadziei, i

byłaby może wiecznie pozostała niewyznaną, nieświadomą siebie samej, gdybyś ty nie wmieszał się pomiędzy nas Władysławie. Gdyś zażądał jej ręki, zrozumiałem dopiero, że siostrę oddałbym ci za żonę ze szczęściem, a jej nie mogłem. Ona także pojęła wówczas, że miała dla mnie więcej niż braterskie uczucie. A jednak w dniu twoich oświadczyn przemawiałem za tobą, choć cierpiałem jak potępiony.

Wzruszenie moje było tak silne, że stopić musiało chłód, jaki panował między nami. Władysław ścisnął mi rękę w milczeniu i nie potrzebował mówić; zrozumiałem w tym uścisku, że słowa te trafiły do serca jego, znalazły wiarę i usprawiedliwiły postępki moje.

A jednak nie znajdował dla mnie wyrazu pociechy; czuł równie jak ja, że położenie było bez wyjścia, że na to, co się stało, nie było lekarstwa.

We mnie paliła się krew, czułem jakąś dziką potrzebę wypicia do dna kielicha goryczy, i dla tego wyrzekłem znowu:

— Przed kilku miesiącami prosiłem cię, byś mnie ostrzegł, gdy chwila niebezpieczeństwa nadejdzie; ta chwila przyszła teraz, nieprawdaż?

— Przyszła, odparł z wysileniem: i groźniejsza niżeli spodziewać się mogłem.

— Czy stan jej nie pozostawia żadnej nadziei? pytałem dalej zamarłym głosem.

— Nadziei? powtórzył Władysław. Odbiera mi ją nie stan jej, ale położenie wasze, które co chwila pogorszać go będzie.

Uderzyłem się ręką po czole; czułem, że opanowywało mnie szaleństwo, że rodziła się we mnie jakaś wściekła żądza krwi i zemsty — zemsty nad kim? Władysław miał słuszność: o krzywdę mi wyrządzoną mogłem upominać się u wszystkich lub u nikogo. Winna była atmosfera, co nas otaczała winien człowiek każdy, co na nas spojrzał, winno społeczeństwo całe, a nadewszystko winnemi były serca nasze. W tej chwili nienawidziłem samego siebie; byłbym dał życie, by ta miłość, całe szczęście, moje, nie zrodziła się nigdy w piersi Anielki; przeklinałem chwilę wyznania i chwilę każdą doznanej słodyczy.

Władysław słuchał dzikich urywanych słów moich z pewnem przerażeniem człowieka, który ze ścisłej drogi obowiązków nie zboczył nigdy, którego nigdy nie uniosły namiętności z utartych szlaków, co nie zaznał ani palących walk, ani strasznych rozdroży życia. On nie mógł mnie potępić stanowczo, a jednak nie był w stanie pojąć dokładnie wszystkich odcieni mego położenia, on co zostawał w zgodzie sam z sobą i społeczeństwem. Przecież on cierpiał także, tylko inaczej, spokojniej, do jego cierpienia nie mieszały się przynajmniej wyrzuty sumienia. On kochał ją zawsze jednako, choć bez wzajemności i nadziei; serce jego szlachetne tem silniej przywiązywało się do niej, że życie uciekało z jej wątłej piersi pod naciskiem bólu, że była opuszczoną, spotwarzoną i konającą.

W tej chwili odstąpić mnie nie mógł, bo ja więcej jeszcze niż Anielka potrzebowałem go: byłem w stanie rozpaczy i szału, jakiego żadne słowo oddać nie jest w stanie; dzikie myśli poczęły snuć mi się po mózgu, jak krwiste plamy w

oku. Tak przebyłem tę noc; nie śmiałem wejść do pokoju Anielki: ona cierpiała, konała może przezemnie, a ja nie miałem nawet prawa czuwać nad nią, musiałem zostawić ją w obcych rękach, obcym staraniom. Doktór w tych strasznych chwilach był opatrznością naszą. Śpieszna pomoc, jaką przyniósł Anielce, usunęła przynajmniej natychmiastowe niebezpieczeństwo, przyniosła ulgę. Koło północy usnęła spokojnie, on przyszedł uwiadomić mnie o tem. Siedziałem sam pogrążony w tak ponurych myślach, że nawet na te pocieszające wieści nie miałem odpowiedzi; w tej chwili zrodziło się w głowie mojej to, czego długo przed samym sobą przyznać nie śmiałem. Noc to była nieskończona, a jednak gdy pierwsze promienie świtu wdarły się do pokoju, w którym siedziałem samotny, zatrwożyło mnie światło dzienne, jak gdyby ranek ten nigdy zejść nie miał, a słońce nie rozproszyło ciemności, które zalegały ducha mego.

Koło południa Anielka naparła się wstać koniecznie i przyszła do salonu, ale wyczerpawszy siły spocząć musiała na kanapie. Jedna noc zmieniła ją bardzo; ta blada, drżąca istota o wielkich zapadłych oczach, byłaż to ta sama dziewczyna, wczoraj jeszcze tak czerstwa, tak wesoło śpiewająca ranną piosnkę w ogrodzie? Zbliżyłem się do niej, a twarz moja musiała nosić ślady strasznych wzruszeń pomimo wysileń woli, bo spojrzawszy na mnie, chora zakryła oczy rękoma. Ale po chwili zapanowała nad sobą, i składając białe usta do uśmiechu, spytała:

— Czyś chory także Kazimierzu?

Nie mogłem odpowiedzieć, widok jej rozdzierał mi

serce; wziąłem jej zimne ręce i przycisnąłem do ust rozpalonych. W jej oczach był wyraz tak głęboki i serdeczny, źrenice zapadłe zwracały się na mnie z taką siłą miłości, jakby przebłagać mnie chciała, za to, że mi sprawiła ból swojem cierpieniem, że ogarniony niepojętem uczuciem rozkoszy i rozpaczy, nie znajdowałem słów, nie znajdowałem głosu, i klękając przy niej, schyliłem głowę jak przed męczennicą, jak przed świętą.

Anielka zrozumiała co działo się we mnie.

— Nie troszcz się o mnie Kazimierzu, wyrzekła; byłam dziecinną wczoraj, ale to już przeszło; teraz już mi zupełnie dobrze; nie martw się, bo ja twego smutku znieść nie mogę.

W tej chwili przypomniałem sobie słowa Władysława, i z nadludzkiem prawie wysileniem powstając, okazałem jej twarz spokojną. Nie powinienem był budzić jej trwogi, jej niepokoju. Trwogę, rozpacz, szaleństwo, wszystko trzeba mi było zamknąć w sobie, i przy łożu boleści najukochańszej istoty pozostać z uśmiechem na ustach i pogodą w oku. A jednak uczucie jej niebezpieczeństwa było tak silne, że potrafiłem dokazać tego, i reszta dnia minęła jak gdyby nie zaszło nic, jak gdyby pomiędzy nami nie stanęło widmo śmierci. Zresztą na teraz Anielce było lepiej, znikły natychmiastowe obawy, tylko wiedziałem, że choroba rozpoczęła w niej straszne dzieło zniszczenia, że lada wzruszenie mogło sprowadzić drugi napad coraz groźniejszy, coraz bardziej niebezpieczny, i drżałem na każdy szelest, na każde otwarcie drzwi, na widok każdej zbliżającej się osoby, bo każda mogła przynieść złą wieść, wymówić słowo niebaczne.

Od dnia tego rozpoczęło się dla mnie życie męczarni; lękałem się odstąpić jej na chwilę chociaż, lękałem się co rano zapytać o zdrowie, lękałem się wszystkiego i wszystkich, a nie było w mocy mojej dać jej tego szczęścia, tego spokoju, którego potrzebowała, lub unieść przynajmniej daleko od tych miejsc gdzie cierpiała, od ludzi co ją śmieli spotwarzać, w dalekie, ciepłe i wonne kraje. Tutaj ja i ona byliśmy przykuci nieubłaganym obowiązkiem jak Prometeusz do męczeńskiej skały. Matka moja coraz słabsza, coraz bardziej potrzebowała nas obojga, i trzeba było ukrywać przed nią jeszcze wszystko, co działo się w sercach naszych, by nie skracać jej dni ostatnich i nie zamącać ich smutnej pogody.

Tak mijał czas ponuro; jesienne chłody coraz bardziej czuć się dawały, zima zbliżała się szybkim krokiem, zima tak nieubłagana w naszym klimacie dla chorób piersiowych. Anielka nie zapadła wprawdzie powtórnie jak tego lękał się doktór, ale nieraz tłumiła suchy, urywany kaszel, nieraz krwisty rumieniec występował na jej twarz, a oczy świeciły gorączką, jednak nie skarżyła się wcale, owszem powoli powracała do dawnego czynnego życia. Tylko ile razy brała książkę, by głośno czytać mojej matce, odbierałem ją z jej rąk i wyręczałem w tem zajęciu; ile razy nieuważnie z pokoju wybiedz chciała, stawałem na jej drodze i zmuszałem, by myślała o sobie.

Przywykłem być bacznym na wszystko, zmysły moje wytężyły się w tem ciągłem czuwaniu, życie mierzyłem teraz nie na lata, ale chwile. Otoczony wszystkimi, których kochałem, i czując, że skazany jestem na ich utratę,

starałem się każdy moment zamknąć sam w sobie, oderwać od przyszłości ciążącej nad nami jak całun grobowy. Pogrążyłem się w uczucia znikomości życia, przestałem snuć marzenia, starałem się zapomnieć o strasznem jutrze wiszącem nad głową moją, pomnąc na słowa: „że dniowi każdemu starczy jego nędza”.

Jednak powierzchowność Anielki nie zdradzała niczem nurtującej ją choroby, cicha, uśmiechniona, łagodna więcej jeszcze niż zwykle zapominała o sobie. Nieraz wskazywałem ją Władysławowi, ale on bardziej wtajemniczony w bieg złego, wstrząsał głową i milczał.

— Więc już nie ma nadziei? pytałem go z rozpaczą.

— Żyć może, odpowiadał mi smutnie, gdyby nic nie wstrząsnęło na nowo jej organizmem; ale nie trzeba się łudzić tym pozornym spokojem: pierwiastek choroby tkwi w niej nie usunięty, i za lada sposobnością rozwinąć się może szybko, gwałtownie.

List po liście pisałem do adwokata mego, chcąc przynaglić rozwodową sprawę; nadaremnie: nikt nie wchodził w położenie moje, nikt się nie troszczył o to, że tutaj było na szali już nie szczęście, ale życie niewinnej istoty. Napróżno używano wszelkich sprężyn i wpływów; prawo, a raczej ludzie, co je wykonywali, pozostali nieubłagani. Systematyczne zwłoki szły swoim trybem. Wymowne listy prawnika były to wrzące filipiki na zło socyalne; ale cóż ztąd? jego współczucie ani na jeden krok nie posuwało sprawy.

Parę razy wezwany przez niego byłem do Warszawy na dni kilka, i oderwać się musiałem od najdroższych moich.

Stawiałem się, dopełniałem formalności i odjeżdżałem z nową zwłoką, z nowym terminem; który jak inne miał spełznąć na niczem.

Nieraz patrząc na tych ludzi, co mieli w rękach swoich przyszłość moją, zbawienie i życie Anielki, porywały mnie dziwne uczucia. Śledziłem na tych sędziwych, obumarłych twarzach śladu jakiego bądź człowieczego uczucia, i gotów byłem ukorzyć się przed nimi, i błagać miłosierdzia dla niej, co była młodą i czystą, i myślałem, że jedno słowo, jedno maleńkie słowo z ich ust mogło uczynić mnie najszczęśliwszym z ludzi, a oni go wymówić nie chcieli. I zapytywałem sam siebie: co to jest prawo? co to jest sprawiedliwość? co są ci ludzie postawieni niby na jej straży? czy to słowo z ich ust zmieni istotę rzeczy, oczyści brudną miłość lub świętą i czystą skaże na potępienie?

Za każdą podróżą, powracałem zrozpaczony.

— Cierpliwości, cierpliwości! mówił mi mój obrońca; znam ich, nic straconego nie jest, sprawa nie pogorszyła się w niczem, nie zaczęła się jeszcze.

Niech potrafi być cierpliwym człowiek zawieszony nad przepaścią, gdy mu się ziemia z pod stóp usuwa! A jednak być nim musiałem; wypadki szydziły ze mnie, panowały nademną, — ale piekło buntu wrzało w piersi mojej, myśli szalone rozsadzały czaszkę. Świat cały wydawał mi się areną dzikich zwierząt, w której szlachetniejszy na pastwę rzucany bywa. W człowieku każdym widziałem nieprzyjaciela; począłem nienawidzieć wszystkich i wszystko.

Jedyną oazą dla uczuć moich były ciche ściany

rodzinnego domu — i ta najdroższa wybrana moja, której moją nazwać nie wolno mi było, która moją nigdy być nie miała!

I za każdym powrotem znajdowałem ją może bledszą, wątlejszą, ale spokojną, ufną, szczęśliwą nawet, przynajmniej taką umiała wydać się oczom moim. Nie mówiła nigdy o przyszłości; miłość nasza poczęła się, wzrosła i zolbrzymiała bez promyka nadziei, a przynajmniej nadzieja nie sformułowała się nigdy pomiędzy nami słówkiem żadnem. Mógłżem jej mówić o niepewnym rozwodzie? mogłaż ona o niego zapytać? Oboje milczeliśmy o tem co być mogło, staraliśmy się poprzestać na tem co było; ale głąb myśli tej cierpliwej, przeczystej istoty pozostawał dla mnie nawet nieznany.

Tak przeszła zima. Gdy śniegi obwiały nas białym całunem, myślałem, czemu pomiędzy nami a resztą świata nie postawią na wieki nieprzebytej lodowej granicy? Długie wieczory spędzone przy kominkowym ogniu, były tak słoneczne, tak błogie! Sucha jedlina płonęła radośnie strzelając około zarzewiem; matka blada, ale pogodna jak duch opiekuńczy, leżała na wpół w wielkiem krześle zwróconem ku nam. Staś ustawiał ołowianych żołnierzy do walki, a Anielka z robotą w ręku siedziała pod światłem lampy, jak cichy ideał domowego szczęścia, jak czysta strażniczka rodzinnego ogniska; wzrok jej szedł od syna mego do mnie, a gdy spostrzegła chmurę na mojem czole, szyderczy lub bolesny wyraz twarzy, rozpraszała go pogodą swego wejrzenia, słówkiem przyjaznem, pocałunkiem złożonym na głowie Stasia. Patrzałem na nią, a minuty i

godziny mijały szybko niepostrzeżone, i byłbym patrzał tak na nią przez wieczność całą, zapominając o reszcie świata, bo tutaj był cały mój świat serdeczny. A przecież byłaż większa Tantalowa męka nad moją? Spoglądać ciągle na raj otwarty przedemną w sercu ukochanej kobiety, i myśleć, że nie posiądę go nigdy — nigdy może, że miłość ta gotuje nam tylko rozpacz! Czyż to nie dość, by przyprowadzić najtrzeźwiejszy umysł do szaleństwa, a najczystsze serce do zbrodniczych myśli?

Bóg jeden widział, com przecierpiał i przewalczył. A jeszcze wówczas sądzić mogłem przynajmniej, że ona jest szczęśliwszą odemnie, że nie zna swego niebezpiecznego stanu. Czas odebrał mi to ostatnie złudzenie.

Nadeszła wiosna, tak niebezpieczna dla suchotników; zdradliwe promienie słońca poczęły rozpraszać mgły zimowe, orzeźwiać obumarłą naturę i podburzać pierwiastki choroby złożone w piersiach ludzkich.

Uprzedzony przez Władysława, z podwójną pieczą strzegłem Anielki; ale ustrzedz jej nie mogłem przed zgubnym wpływem atmosfery, zwłaszcza gdy do niego przyłączała się tajemnicza przyczyna: cierpienie ukrywane przedemną. Anielka zapadła znowu nie tak gwałtownie i niebezpiecznie jak po raz pierwszy, ale było to już owo straszne *memento mori*, powtórzone przez nieubłaganą chorobę, w chwili gdy nadzieja wkradała się do serca mego.

Jak szalony błądziłem po ogrodzie, a wonie wiosenne, a kwiaty rozwierające swe kielichy promieniom słońca, zdawały mi się urągowiskiem, na przekór uśmiechom natury, dzikie myśli coraz gwałtowniej opanowały ducha

mego znękanego tyloletnią boleścią. I jak w legendach średniowiecznych, gotów byłem zaprzedać go na wieczne zatracenie niewidzialnym szatanom, byle żyła ona.

Komuż w podobnych chwilach nie odpowie zawsze ukryty w głębi istoty naszej szatan zemsty i zbrodni?

Nad wieczorem znękany duchem i ciałem, powracałem do domu. W salonie Anielka leżała na sofie, doktór był przy niej — rozmawiali z sobą, a dźwięk jej głosu był tak miękki i łzawy, żem zatrzymał się progu niewidziany, słuchając co mówić mogła.

Z razu kaszlała i skarżyła się cicho. Władysław podał jej jakiś napój; posłuszna wypiła, i opadając znów na poduszki, szepnęła:

— O Boże! jak pan dobry jesteś dla mnie.

— Dla ciebie, panno Anielo! zawołał doktór z przejęciem; i któżby mógł nie być dobrym dla ciebie?

— To prawda, szepnęła dziewczyna: wszyscy są tak troskliwi, czemże zasłużyć na to mogłam?

Jej serce pełne niewinności i przebaczenia, zapominało o wyrządzonych krzywdach. Przycisnąłem rękoma rozpalone skronie; w tej chwili nie byłem jej godnym, nie śmiałem nawet jednem odetchnąć powietrzem, by nie skalać go obecnością moją.

Doktór wpatrywał się w nią z litośnem zdumieniem.

— Wszak lepiej pani teraz? zapytał biorąc jej rękę i rachując uderzenia pulsu.

— Tak, lepiej mi teraz, odparła; ale cóż to znaczy!

— Jakto! zawołał z przerażeniem Władysław: co chcesz pani powiedzieć?

— Nic, odparła onieśmielona wrażeniem, jakie sprawiły jej słowa; chciałam o coś zapytać, o coś prosić.

I rączki jej złożyły się błagalnie.

— Mów pani, rozkazuj, wyrzekł.

Nastała chwila milczenia; serce moje biło tak, że głuszyło wszystko. Anielka snadź zbierała myśli lub szukała słów.

— Czy ja długo jeszcze żyć mogę? szepnęła w końcu podnosząc na niego głębokie pytające oczy.

Władysław wstrząsnął się cały.

— Zkąd pani podobne myśli? zapytał gwałtownie.

Ona uśmiechnęła się smutnie.

— Widziałam nieraz chorobę z blizka, wyrzekła, nieraz towarzyszyłam cioci, gdy roznosiła po chatach lekarstwa i pociechy konającym. Wiem jak wyglądają ci co mają umrzeć. A zresztą czuję, że ze mną jest źle bardzo. Czy nie zechcesz mi pan powiedzieć, jak długo jeszcze żyć mogę? Ja wiem, że na podobne pytania doktór nie odpowiada zwykle; ja też pytam jak przyjaciela — jak brata.

I wyciągnęła do niego bladą rękę, którą on ucałował ze czcią prawie.

— Odpowiem ci więc jak brat, panno Anielo, wyrzekł po chwili: stan twój nie jest zrozpaczony wcale, jeśli go sama pogorszać nie będziesz tłumionym niepokojem i zgryzotą.

Wstrząsnęła smutnie główką.

— I to cała prawdziwa prawda? spytała. Może pan sądzisz, że lękam się śmierci? O nie! ja mam odwagę.

— Wiem, że pani masz odwagę; że w żadnej chwili nie zabraknie ci męztwa, odparł ze wzrastającem wzruszeniem;

ale przysięgam ci, powiedziałem prawdę całą. Ani na jedną chwilę nie straciłem nadziei.

Była moc przekonywająca w tych słowach.

— Będziesz pani żyła, mówił dalej po chwili milczenia: dla szczęścia tych wszystkich, co cię znają; ale dopomódz nam musisz spokojem ducha.

— Alboż ja cierpię? spytała z uśmiechem.

— Zwiedziesz pani niejedno oko, ale nie moje, wyrzekł doktór; ja widzę jak zabijasz się sama.

Nastała chwilka milczenia, Anielka rękami zasłoniła twarz jakby przed jego przenikliwym wzrokiem, ale z za jej palców zaciśniętych wymykały się łzy gwałtowne, palące.

On spoglądał na nią czas jakiś z cichem współczuciem, wreszcie rzekł nieśmiało:

— Nie ukrywaj pani przynajmniej przedemną łez i cierpień, wszystko lepsze niż ta zewnętrzna cisza, pod którą nurtują zgryzoty.

Przez chwil kilka słyszałem tylko jej łkania coraz gwałtowniejsze.

Więc ja oszukać się dałem uśmiechem, a on przejrzał do głębi jej ducha; on przeczuł te łzy nim spłynęły, a ja głuchy i ślepy, pogrążony we własnym bólu, zawierzyłem pogodzie jej czoła, uzyskanej za pomocą nadludzkich wysileń kosztem życia może.

Płacz Anielki nie ustawał, snadź żal tłumiony długo potrzebował wybuchnąć. Spazmatyczne łkanie rozdzierało jej wątłe piersi. Władysław podawał jej uspakające krople.

— Panno Anielo, zawołał przerażony; sama chcesz się zabić. Nie pozwalam ci tak płakać.

— Czy potrafisz pan, odparła z za łez urywanym głosem: czy potrafisz zabronić mi cierpieć?

Doktór spuścił głowę.

— Bóg widzi, odparł; kosztem życia radbym oszczędzić go pani; powiedz co uczynić mogę?

— Nic, nic, zawołała: nie mów pan Kazimierzowi, że ja cierpię, nie mów, że na to cierpienie umieram, on dość już ma własnego ciężaru, niech ja do końca będę mu pogodą i uśmiechem. Ja dla niego żyć pragnę, żyć muszę. Będę posłuszną, nie chcę myśleć, nie chcę pamiętać, nie chcę przewidywać, jeśli to ma wrócić mi zdrowie. Ratuj mnie pan! kłamałam, ja lękam się śmierci, onby się został samotny, ja go nie mogę opuścić. A jednak źle mi tutaj, źle bardzo, straszno, okropnie, w pośród złych ludzi potwarzy i pogardy ludzkiej! Panie Władysławie, jam nie zasłużyła na nią niczem, niczem. Ale gdy patrzę w przyszłość, to przyszłość wydaje mi się tak bez nadziei, tak ponura, żebym do grobu uciec przed nią chciała.

Te słowa bezładne płynęły z jej ust zwykle milczących z gorączkową szybkością, a każde zdradzało miłość ku mnie i przeszywało rozkoszą i boleścią niewysłowioną. Nie wiedziałem co czynić z sobą; parła mnie żądza otarcia tych łez, chciałem błagać jej, by nie myślała o mnie, ale o sobie tylko, a lękałem jej się ukazać znienacka i powiększyć jej wzruszenie.

Doktór słuchał jej zwierzeń ze smętnie pochylonem czołem. Ona mówiąc w ten sposób, zapominała, że on kochał ją także lub wierzyła, że miłość ta minęła nie mając wzajemności ani nadziei. Nie znała ludzi, nie znała praw

namiętności. Zresztą on nie zdradził się niczem. Po chwili usłyszałem znów głos jego poważny choć stłumiony:

— Panno Anielo, pozwól mi mówić z sobą otwarcie, pozwól być surowym nawet. I cóż ci znaczy świat ten, sądy i potwarze jego, jeżeli sumienie twoje jest spokojne?

Ona podniosła na niego oczy zdziwione; powszednia prawda tych słów po raz pierwszy obiła się o jej siedmnastoletnie myśli.

— Czyż nie wiesz o tem, mówił dalej Władysław, że człowiek zbiorowy jest zły, niesprawiedliwy i potępia wszystko czego rozumieć nie może?

Jednak słowa jego nie trafiły w rdzeń jej bólu, bo odparła szybko:

— Dla czego Kazimierz cierpi? Gdy widzę wzrok jego chmurny, gdy pytam o przyczynę, a nieodbieram odpowiedzi, serce moje pęka się, kruszy.

— On cierpi, bo się lęka o ciebie, panno Anielo.

Wstrząsnęła smutnie głową. Zrozumiałem, iż pomimo słów Władysława przeczuwała, że życie jej podcięte było w zawiązku, że na tę boleść moją innego nad udany spokój nie miała lekarstwa.

Byliśmy więc oboje postawieni wzajemnie w fałszywem położeniu, oboje kłamać musieliśmy sobie pogodę i wesele z sercem rozdartem. Nie wolno nam było nawet zjednoczyć cierpień naszych; a położenie to z dniem każdym stawało się trudniejszem, bardziej wytężonem.

Wtedy właśnie odebrałem list od adwokata mego, wzywający mnie śpiesznie do Warszawy. W tej chwili był on dla mnie prawdziwą ulgą: cierpiałem tak bardzo, żem

potrzebował oddalić się na dni kilka; choć wiedziałem, że ból trop w trop gonić mnie będzie, jakakolwiek zmiana zdawała mi się pożądaną. A potem wmawiałem w siebie nadzieję, której na prawdę nie miałem. Dotąd wszystko szło mi tak na opak w życiu, żem przestał się czegokolwiek spodziewać. Pomyślny obrót sprawy mojej byłby mi przyniósł przynajmniej tyle zdziwienia co szczęścia.

Przybyłem w stanie trudnym do opisania. W końcu sprawa moja rozstrzygnąć się miała. Straszne *tak* lub *nie* miało rozwiązać zagadkę mego losu; czepiałem się ostatniej nadziei jak tonący najwątlejszej nici; potrzebowałem jej dla Anielki: bądź jak bądź nie mogłem uwierzyć, by ona tak niemiłosiernie na nieszczęście i śmierć skazana była.

Nadszedł w końcu dzień i godzina. Wraz z obrońcą moim przybyłem do tych sal brudnych, zimnych, formalnych, napełnionych obojętnymi, w których same ściany mają coś mrożącego. Tutaj rozbiło się tyle serc, tyle skonało nadziei, tyle zrodziło się szalonych błędów, może zbrodni.

Ci co tworzą dla indywiduów położenia niepodobne, sprzeczne ze wszelkiemi dążnościami i prawami ludzkiemi, stają się współwinnymi moralnych kalectw, które ztąd wyniknąć muszą.

Widziałem jak ludzie, co o losie mym stanowić mieli, wchodzili jeden po drugim do sąsiedniej sali, gdzie zasiadali miejsca swoje; czekałem potrącany przez tłum obojętnych snujących się tutaj, dla których miejsce to było zwyczajnem miejscem spotkania; słuchałem słów potocznych zamienianych w około. Chwila ta była dla mnie

tak stanowczą, żem nie rozumiał, jak oni tak mówić śmieli spokojnie wobec niepokoju i męczarni moich. Zadzwoniono. Adwokat zbliżył się do mnie; musiałem być bladym śmiertelnie, bo ścisnął mi rękę i szepnął to jedno:

— Odwagi!

Obejrzałem się w około, miałem jeszcze słabą nadzieję, że w tej ostatniej chwili ujrzę tu Leonorę. Nie było jej. Mój obrońca zrozumiał to spojrzenie.

— Zaczynamy sami, na przebój, wyrzekł; spodziewałem się tego.

— Czy jest nadzieja? spytałem tylko.

Ale nie wyczytałem jej w oku jego.

— Uczyniono wszystko, co było w mocy ludzkiej.

Te słowa uspokoić mnie nie mogły. Weszliśmy do sądowej sali. Są chwile, w których człowiek żyje tylko na poły; władze czucia i myślenia zatrzymują się wyczerpane, a natomiast zmysły nabierają dziwnej siły. Przedmioty zaledwie dojrzane, ledwo dosłyszane słowa wbijają się w pamięć machinalnie nie budząc myśli żadnych, a często na opak jak obrazy latarni czarnoksięzkiej.

Nie straciłem ani jednego słowa z długiej, zawiłej przemowy, którą miał wprowadzający sprawę. Wypowiedział on ją jednotonnie rytmicznym głosem, ale ta kaskada suchych wyrazów wpadała w ucho moje równym szumem, próżno siliłem się ją zrozumieć. Wsparty o sądową kratę, wpatrywałem się osłupiałym wzrokiem nie w twarze sędziów, ale w przeciwległe okna. Za tą salą, której atmosfera ciężka, urzędowa, przesiąkła formułami, dusiła piersi, był ogród zielony, słońce igrało tam na liściach

drzew, kwiaty otwierały wonne kielichy, a w chwilach ciszy dochodził nawet świergot ptaków. Był to obraz swobody i szczęścia, a od niego oddzielała mnie tylko krata, stół z krucyfiksem zasłany zielonem suknem i te twarze ludzkie nieporuszone żadnym ludzkim wyrazem, martwe, obojętne, nieporuszone jak litera prawa.

Skończył się wywód sprawy; głos zabrał mój obrońca; mówił zapewne bardzo pięknie, wymownie, dokazywał może cudów krasomówstwa, nie byłem w stanie ocenić tego. Za oknem był ptak tak wesoły, co tak swobodnie przeskakiwał z gałęzi na gałąź, i przelatując koło szyb zdawał się mądremi oczami rzucać w nie pogardliwe spojrzenie, on co był wolny i co miał skrzydła.

Napróżno zadając sobie gwałt moralny, usiłowałem zwrócić uwagę na to, co działo się w koło mnie; okresy, artykuły prawne, zwroty mowy, któremi naszpikowana bywa wymowa sądowa, stanowiły tak rażącą sprzeczność z uczuciami wrzącemi w piersi mojej, że przymus ten był próżnym. Myśli wymykały się woli, szły koniecznie do słońca, do kwiatów, do ptaka, do wszystkiego co było swobodne.

Los mój rozstrzygał się wprawdzie, ale ja mogłem być tylko tutaj widzem nie działaczem; to powiększało okropność chwili i odejmowało mi jej samowiedzę. Co dalej działo się — nie wiem. Zadzwoniono; adwokat mój wyprowadził mnie z sali, bo chwiałem się jak człowiek pijany; pamiętam, że zadzwoniono znowu, że wróciliśmy na dawne miejsca, a wówczas zrozumiałem jedno tylko: nadzieja niepowrotnie stracona była. Z razu zdrętwiały

prawie, nie uczułem całego ciężaru bólu, nie byłem w stanie pojąć strasznej doniosłości tego wyroku, ostatni cios spadał na człowieka powalonego już gromem nieszczęścia.

Ale gdy powstali wszyscy, gdy sędziowie, obrońcy i ciekawi opuszczali salę sadową, gdy drzwi zamknęły się za nami, ocknąłem się jakby ze snu ciężkiego do cięższej rzeczywistości.

Więc na prawdę dla mnie skończyło się wszystko? Więc ten próg, który przechodziłem przed kilku godzinami w niepewności i trwodze, teraz zamykał się przedemną, jak owe wrota Dantejskiego piekła? Więc miłość moja była potępioną niepowrotnie? Anielka umrzeć musiała — i widziałem ją zbroczoną we krwi, omdlałą w białej sukni z różami; widziałem ją bladą, znękaną, jak wyciągała ręce błagalnie do doktora, pytając jak długo jeszcze żyć może. Na te obrazy, szaleństwo zawirowało mi w mózgu. Prawnik mówił coś do mnie, — cóż mi znaczyły teraz ludzkie pociechy i ludzkie mowy? Nie zważałem, uciąłem w pół frazesu i uciekłem jak gnany furyami; w sercu mojem wrzało piekło.

Dzień cały błąkałem się po ulicach miasta, pół-szaleniec, pół-zbrodniarz, nie mogłem spocząć, nie mogłem zatrzymać się nigdzie; straszne poszepty zemsty drgały w powietrzu w koło mnie, otaczały mnie niewidzialnem kołem pokus. Jam nie miał już domu; gdzie schronić się, gdzie powrócić mogłem? Czy tam na wieś, patrzeć bezczynnie na męczarnie i powolne konanie Anielki?

Daremnie ruchem fizycznym chciałem zagłuszyć te straszne myśli, bo lękałem się samego siebie; ciało moje

stało się niezmordowane, opanowane jedną tylko myślą, myślą, której wymknąć się nie mogłem, choć nie sformowałem jej jasno samemu sobie. Wola moja nie chciała jej przyjąć, opierała się całą siłą, ale mimo to myśl ta była we mnie, rządziła mną jak zły duch opętańcem, może rządziła nawet marnemi wypadkami, które stanęły mi na drodze i jak za rękę poprowadziły do jej spełnienia.

Zdawało mi się, że ludzie wszyscy oglądali się za mną przerażeni, że jakiś znak widomy potępienia palił się na czole mojem, że przechodnie omijali mnie ze wstrętem. Szedłem naprzód z pochyloną głową, zaledwie widząc i słysząc co działo się w około; blask słońca zagasał wobec ognia płonącego mi w czaszce; wrzawa wielkiego miasta milkła wobec namiętności szalejących w piersi mojej.

Nad wieczorem, sam nie wiem jakim sposobem, znalazłem się w alejach; nie kierowałem sobą przez ten dzień cały, nie zatrzymywałem się, nie miałem nic w ustach; paliła mnie gorączka, ale nie czułem tego. Zapewne tłum ludzi idących w tę stronę jak zwykle w letnie wieczory pociągał mnie za sobą, może poprowadził mnie jakiś szatan niewidzialny — najpewniej niemylny instynkt zemsty.

W jednym z tych wykwintnych pałacyków, które wznoszą się po obu stronach alei, ujrzałem przez kratę ogrodową w strojnej werendzie towarzystwo zgromadzone, a w pośród niego kogo? kogo? Leonorę. Z daleka migała mi jej dumna postać, tylko byłem zbyt oddalony, by dosłyszeć słowa toczącej się rozmowy, rozeznać wyraz jej twarzy. Od werendy oddzielało mnie tylko kilka klombów rozkwitłych bzów i jaśminów, ogrodowa brama i nic więcej. Stałem

wsparłszy się o nią jak przykuty do tego miejsca, gdy jakby na spełnienie tajemnych życzeń moich, ktoś zbliżył się do bramy i zadzwonił. Otworzono, wszedł nieznajomy mi mężczyzna, wszedłem i ja za nim, nie zwróciwszy uwagi odźwiernego, przywykłego snadź do licznych gości. Nowo przybyły zwrócił się do werendy, szedłem za nim, tylko on wszedł na schody, a ja skryłem się w klombie niepostrzeżony wśród wieczornego mroku, bo noc zapadła chmurna, duszna i bez księżyca. Tu mogłem bezpiecznie wszystko widzieć i słyszeć.

Leonora piękna, strojna, wyniosła, królowała jak zwykle wśród towarzystwa swego. Różowe globy lamp rzucały fantastyczne światło na twarze zgromadzonych, na kosztowne kryształy i srebra zastawionej herbaty. Leonora bezsprzecznie była tutaj najpiękniejszą; czytałem to w spojrzeniach mężczyzn pełnych uwielbienia, w zazdrosnych uśmiechach kobiet. Była podziwiana, wielbiona, miała wszystko co świat dać może, a jednak nie dotknęło jej żadne oszczerstwo, żadne dwuznaczne słówko nawet, bo owszem władała berłem opinii, a wyroki zapadłe z jej wązkich ust, przyjmowane były bez wahania przez całe grono otaczających ją, i ztamtąd rozchodziły się promieniami jak niezbite pewniki.

— A ja niebaczny rzuciłem się do walki z tą kobietą! ja śmiałem nietylko zerwać jej jarzmo, ale stanąć przeciwko niej! Ona nie potrzebowała nawet ukazywać się jawnie, ale jednem skinieniem ręki zniweczyła zamiary moje, szczęście i życie, tak jak owe budowy z kart stawiane przez płoche dzieci.

Z miejsca, w którem byłem ukryty, nie straciłem ani jednego wyrazu, jednego spojrzenia; mówiono o sprawie rannej. Nie omyliło mnie przeczucie; w wyroku zapadłym przeciwko mnie, był ukryty wpływ tej kobiety dumnej, nieubłaganej, której miłość własną drasnąłem niebacznie, którą poznałem i lekceważyłem, a która w zamian dała mi uczuć całym ciężarem potęgę swoją.

Przy stole jej ujrzałem kilka twarzy widzianych dziś z rana; ci sami ludzie, co niemiłosiernemi usty wyrzekli na mnie wyrok potępienia, z poszanowaniem i przyjaźnią spoglądali na nią; wyrok ten był tylko potwierdzeniem tego, który od dawna zapadł w ich przekonaniu. Poznałem, że łudziłem się dotąd nadzieją walki i sądem: wszystko to było tylko czczą formą, rozwiązanie nie pozostawiało nigdy wątpliwości. Dowiedziałem się tego teraz z mowy tych ludzi; widziałem jasno jak na dłoni nędzny światowy spisek, którego padłem ofiarą, a uczucie bezsilnej wściekłości powiększyło jeszcze szaleństwo moje.

I czegóż szukałem tutaj? czegóż czekałem jeszcze? Pogrążony w ponurej rozpaczy, spoglądałem na tę kobietę, piękną, strojną, wykwintną, a w myśli mojej ukazywała się blada postać Anielki, z tą wielką boleścią w sercu, ze łzą w oku, z cierpliwym uśmiechem na ustach. Która z nich zasługiwała na szczęście? która była promienną gwiazdą dla otaczających? która kochająca i kochana? według sumienia i sprawiedliwości, która miejsca drugiej ustąpić powinna?

Biada człowiekowi, któremu w przeklętej godzinie los i ludzie podobne pytanie przyniosą do myśli! Mnie ono

paliło mózg, rozrywało skronie, krążyło we krwi. Daremnie jak sennej zmory pozbyć go się chciałem: ono było we mnie, ono stało się mną. Świat cały mógł zapaść się, a w oczach moich pozostałyby te dwie kobiety, z których jedna koniecznie umrzeć musiała.

Któż zbadał głębie rozpaczy? kto wie, dokąd ból bez nadziei istoty ukochanej doprowadzić może człowieka? Stanąłem na granicy szaleństwa i zbrodni, byłem w gorączce, byłem opętany, a jednak na minutę nie straciłem przytomności. Straszne pytanie, które postawiłem sobie, zrodziło postanowienie; na wykonanie jego nie zabrakło mi rozwagi, owszem jakaś piekielna jasność rozpaliła się w myśli mojej i przyświecała do spełnienia czynu.

Od tej chwili wiedziałem już po co tu byłem, i czekałem ja także nieubłagany.

Godzina mijała po godzinie, towarzystwo rozeszło się zwolna, Leonora pozostała sama, służba krzątała się czas jakiś porządkując i wynosząc sprzęty. Na werendę wychodził szereg drzwi szklanych; jedne z nich pozostały otwarte, światło lampy migotało w pokoju, a w progu ukazała się panna służąca. Na nieszczęście Leonorze spać się nie chciało; wieczór był parny bez gwiazd i księżyca, niebo przysłonione całunem chmur zdawało się ciążyć nad ziemią ołowiem. Żaden wietrzyk nie poruszył liści, nie ulżył piersiom szukającym oddechu, burza wisiała w powietrzu.

— Możesz odejść już Antosiu, odezwał się głos Leonory do dziewczyny czekającej na nią; ja sama rozbiorę się i położę.

— A Józef czy ma czekać, by zamknąć okienicę? spytała służąca.

— Nie potrzeba, zamknę ją sama, wyrzekła z pewną niecierpliwością Leonora.

Dziewczyna odeszła; teraz ta kobieta pozostała sama na werendzie, sama w obec zemsty mojej, jak gdyby sam los chciał mi ją oddać w ręce.

Chwilę siedziała na miejscu zamyślona, marmurowe ramiona opuściły się ku ziemi, ręce splotły na kolanach, i w mroku nocnym jej biała postać, jej jasna głowa otoczona złotemi splotami włosów zarysowała się nieruchoma jak posąg. O czem myślała ona? o czem myśleć mogła? czy żałowała złego co spełniła? czy snuła zamiary przyszłości? czy jaki duch ostrzegał ją, że tuż przy niej czuwała nienawiść moja? Czy oczy moje jak dwa sztylety utkwione w nią, przebiły ciemność nocy, bo palić się w nich musiała ślepa żądza krwi jak w oczach dzikiego zwierza? nie wiem. Ale powstała i poczęła niespokojnym krokiem przechadzać się po werendzie. Klomb, w którym byłem ukryty dotykał jednego jej rogu i gałęzie jaśminu wspinały się i oplatały jej kolumny. Gdy przechodziła koło mnie, długie fałdy jej sukni musnęły mi prawie czoło. To zbudziło mnie z osłupienia, w którem na pozór zatopiony byłem. I czegóż czekałem jeszcze? Dom jej i miasto całe zarówno uśpione były, nic nie przerywało ciszy. Miałżem opuścić sposobność, jaką szatan sam dawał mi w ręce? Wówczas przyszedł na mnie moment upamiętania. W chwili samej spełnienia zbrodni zawahałem się, wszystkie instynkta moje oburzyły się raz ostatni przeciw konieczności, która śmierć

tej kobiety stawiała jako warunek życia Anielki, i kazała mi pomiędzy niemi wybierać.

Opuściłem ręce, serce omdlewało mi w piersi i przestawało uderzać. Nie, nie! jam nie był w stanie wykonać myśli mojej; duch mój, pragnienie spełniło już zbrodnię, ale ręka była czystą jeszcze, czystą lub bezsilną. Czy budziło się we mnie sumienie, czy tylko zabrakło mi odwagi?

Ale w tej chwili błyskawica rozdarła chmury i przy jej krwawym blasku ujrzałem tę twarz nienawistną, szyderczą tuż przy mnie, ujrzałem te oczy świecące zimno jako połysk stali, te usta pełne sarkazmu i słów zjadliwych. Fala krwi uderzyła mi do głowy, ostatnia iskra człowieczeństwa, litości, uczucia zagasła we mnie, i jak szalony rzuciłem się na nią, schwyciłem za gardło i dusiłem z siłą rozpaczy, bezprzytomny zupełnie.

Huk grzmotu, który rozległ się w tej chwili zagłuszył krzyk jej, jeśli miała czas krzyknąć; ciemność nocy pokryła okropność czynu. Kilka chwil — konwulsyjne rzucanie się kobiety w moich żelaznych rękach — coraz słabsze zduszone jęki... stało się: byłem mordercą, faktem zarówno jak wolą. Węzeł łączący nas był zerwany, zerwany zbrodnią.

Drugi raz błyskawica rozdarła niebo i ujrzałem u nóg powalonego trupa tej, co była żoną moją. Wtedy i duszę moją rozświeciła błyskawica wewnętrzna, i zrozumiałem jasno, com uczynił. Włosy najeżyły mi się na głowie ze zgrozy i przerażenia. Pokonywając dreszcz wstrętu, pochyliłem się nad nią, szukając śladu życia. Oddech jej

ustał, serce bić przestało. Ręka moja aż nadto dobrze wykonała to, na co się odważyła. Leonora umarła.

Na teraz nie miałem czasu zastanawiać się nad tem com spełnił; instynkt zachowawczy, wzmocniony uczuciem wyswobodzenia, zbudził się we mnie nagle i kazał szukać środków ocalenia.

W tej chwili nie czułem wyrzutów sumienia, żalu, skruchy, wstydu nawet, czułem się nieledwie w prawie mojem zabijając tę kobietę. Ale stanąłem w walce ze społeczeństwem, szukałem więc środków zabezpieczenia się od zemsty jego.

Stałem na miejscu, przecierając czoło. Deszcz, który lunął w tej chwili zimnym strumieniem, ochłodził głowę moją rozpaloną i wrócił mi zimną rozwagę. Począłem myśleć, rozważać, obrachowywać czas, jaki mi zostawał na ukrycie zbrodni mojej.

Nikt nie widział mnie wchodzącego tutaj, a jednak czułem, że podejrzenia na mnie spaść muszą: ja jeden byłem interesowany w jej śmierci, jeden z niej korzystać mogłem. Trzeba więc było zmyślić pozory i ujść za zwyczajnego mordercę złodzieja. Drzwi do sypialnego pokoju Leonory były otwarte; wszedłem do niego i spostrzegłem na tualecie szkatułkę, w której zwykle chowała klejnoty; klucze leżały tuż obok, znałem je wszystkie, otworzyłem ją i zabrałem wszystko. Zdobycz to była dość bogata, by usprawiedliwić jej śmierć.

Teraz trzeba mi było tylko wydobyć się z tego miejsca. Krata nie była tak wysoką, bym jej przeskoczyć nie mógł; deszcz i burza osłaniała ucieczkę moją, zacierała ślady

kroków w aleach ogrodu, głuszyła łoskot jaki uczynić mogłem. Znalazłem się na ulicy. Miasto było puste i głuche. Gwałtowna burza szalała na niebie tak samo jak w myśli mojej.

Cóż uczynić miałem z klejnotami zabitej, które znalezione w rękach moich stawały się strasznym dowodem? One obarczały mnie fantastycznym ciężarem, waga ich zdawała mi się zwiększać z każdą chwilą.

Co sam z sobą uczynić miałem? Lękałem się światła, lękałem się ludzkiego oka, lękałem się głosu własnego, lękałem się, że czyn mój wypisany na czole i w oku każdy wyczyta od razu; a jednak każda chwila była drogą, każda mogła obrócić się przeciwko mnie posądzeniem i dowodem nawet.

Obejrzałem się w koło: dotąd szedłem wprost przed siebie i znalazłem się aż na placu Zygmuntowskim; nowa myśl zabłysła mi w głowie, skierowałem się do Zjazdu na most, i w sam środek rzeki rzuciłem klejnoty Leonory.

I tutaj burza przyszła mi w pomoc, plusk fali zagłuszył wszystko. Zdawało mi się, że z tym ciężarem zrzuciłem z siebie zbrodnię całą, i zbierając siły zdecydowałem się wrócić do hotelu. Traf sprzyjał mi widocznie; zaspany szwajcar otworzył drzwi nie zwracając najmniejszej na mnie uwagi, dostałem się do swego mieszkania nie spotkawszy nikogo, zamknąłem drzwi na klucz i tu dopiero odetchnąłem swobodnie.

Widząc te same ściany, te sprzęty, które opuściłem dziś rano, dzień ten tak pełen wrażeń strasznych zdawał mi się snem, maligną. Drżałem od zimna i gorączki w

zmoczonych sukniach; te suknie mogły świadczyć przeciw mnie! zdjąłem je, i zwinąwszy starannie, schowałem w głąb walizy. W tej chwili myślałem o wszystkiem i lękałem się utracić owocu zbrodni mojej.

Wychodząc z rana, wyjazd mój zapowiedziałem na jutro, mogłem więc wyjechać nie wzbudzając podejrzeń. Sen daleki był od oczu moich, jednak położyłem się i zgasiłem świece: światło i czuwanie zdradzić mnie mogło. Czekałem dnia wśród śmiertelnego niepokoju. Rano wieść o spełnionem morderstwie rozejść się miała po mieście; prawdopodobnie tą wieścią zbudzony być miałem. Chwila ta była stanowczą, czekałem jej z trwogą nie do opisania; każdy łoskot uliczny, każdy odgłos kroków zdawał mi się odkryciem. Męczarnie to były, od których włos bieleje na skroni; godziny nie miały końca, a jednak gdy pierwsze promienie świtu rozświeciły okna, ukryłem oczy przed ich blaskiem. Zbrodnia była spełniona, teraz zaczynała się kara; jak Kain po śmierci Abla, próżno uciekałem przed światłem, próżno szukałem spokoju. Dla mnie nie było go już więcej. Odkryty lub nie, występek ciążyć miał na mnie nieuchronnie.

A jednak byłem co się zowie szczęśliwym zbrodniarzem; żadna z tych nieprzewidzianych okoliczności, które tak często niweczą najmądrzej obmyślane plany, nie pokrzyżowała mnie w niczem. Nikt mnie nie widział, nikt nie rzucił nawet cienia podejrzeń na imię moje, ja sam nie zdradziłem się w niczem i wieść o niespodzianej tragicznej śmierci żony, przyjąłem jak przyjąć mi ją należało, bez żalu, ale ze zdziwieniem i współczuciem. Rolę swoją

potrafiłem odegrać do końca. Zatrzymałem się w Warszawie, byłem nawet na jej pogrzebie, zadość uczyniłem wszystkim światowym formom.

Ale gdy zostawiłem po za sobą miasto, gdy znów dążyłem do tych, których kochałem, wolny teraz od wszystkich więzów, niosąc im zdrowie i szczęście, zajrzałem w głąb serca mego z przerażeniem: tam już być nie mogło chwili jednej wesela ani nadziei. Głos wewnętrzny szeptał mi, że zbrodnia taka jak moja dla mnie ani dla nikogo dobrych owoców wydać nie może. Jakiem prawem rękę krwią skalaną mogłem podać Anielce i związać jej niewinne przeczyste życie z życiem mordercy? A jednak ona była jedynym celem zbrodni mojej, spełniłem ją dla niej jednej. Teraz już nie mogłem się cofnąć, cokolwiek wypaść miało; musiałem iść naprzód drogą swoją i dźwigać do śmierci ciężar wyrzutów i niepokojów tem straszniejszych, że w przyszłości odpowiedzialność za to co się stało spaść mogła i na nią.

Pogrążony w myślach, z bijącem sercem zajechałem przed ganek. Staś w czarnej sukience wybiegł naprzeciw mnie. Wieść o śmierci Leonory wyprzedziła mnie tutaj: dziecię jej ubrane w żałobę. Wysiadłem, wziąłem syna na ręce dawnym zwyczajem, ale w chwili gdy usta moje dotknąć miały ust jego, zatrzymałem się przerażony. Jakkolwiek była matką jego, jam go uczynił sierotą; pocałunek mordercy zdawał mi się świętokradztwem.

— Tato, co tobie? pytał Staś wyciągając do mnie ręce, gdym go znowu postawił na ziemi.

Czułem, żem bladł i chwiał się.

— Gdzie Anielka? spytałem nawzajem, nie podnosząc na dziecko oczu utkwionych w ziemię ponuro.

Chłopczyk wyciągnął rączkę: we drzwiach stała Anielka z twarzą białą jak ściana, o którą się wspierała plecami; była świadkiem tej niemej sceny, a wzrok jej pytający, trwożny, zawiał na mnie z niepokojem dziwnym. I zdało mi się, żem w nim wyczytał podejrzenie; ale wszakże jam je widział w każdem oku i na każdej twarzy, to musiało być złudzenie rozszalałych zmysłów, wszakże nie podejrzewał mnie nikt. Jednak było coś dziwnego, niewytłómaczonego dla mnie w postawie Anielki: stała w miejscu i zapominała witać; nie wyciągnęła do mnie ręki, nie uśmiechnęła się, nie wyrzekła słowa, ale cicha, nieruchoma stała jak biały posąg na straży tego domu, którego próg po raz pierwszy skalaną stopą przestąpić miałem. A jam nie śmiał zbliżyć się do niej, ani spojrzeć w to czoło promienne, jasne jak sama świętość; ani przemówić nawet przejęty poszanowaniem, rozpaczą, miłością.

I takie było pierwsze spotkanie dwojga kochających się ludzi, w chwili gdy znikły dzielące nas zapory, w której mogliśmy wobec świata połączyć dłonie nasze i wyznać całą miłość. Niestety! uczułem, że zamiast faktów pomiędzy nami stanęły idee, a te moralne przeszkody trudniejsze jeszcze były do usunięcia.

Pierwsza istota ludzka, która pojawiła się na ganku, wyrwała nas z tej zadumy, z tego badania bez słów, w którem może duchy nasze rozumiały się aż nadto. Wszedłem powitać matkę; tutaj przynajmniej nie potrzebowałem lękać się jej oka, ona przynajmniej nie

mogła wyczytać zbrodni na mojem czole. Zbliżyłem się do niej.

— Kazimierzu! zawołała wyciągając do mnie ręce; wiem wszystko, jesteś znowu wolnym, możesz być szczęśliwym jeszcze.

— Matko! przerwałem zdziwiony temi słowy, które raniły mnie do głębi serca: matko, przez miłosierdzie, nie mów mi teraz o szczęściu.

— Czemu? spytała. Bóg słusznie ukarał tę kobietę za krzywdy ci wyrządzone.

— Bóg? zawołałem przerażony. Jam się nie skarżył na nią nigdy.

— Wiem o tem, aleś cierpiał Kazimierzu. Czyżeś sądził, żem nie odczuła cierpień twoich? Nie żałuj jej, nie broń, to była zła kobieta. Przeczułam to od chwili gdym ją pierwszy raz ujrzała. Kochałeś ją, nie chciałeś mi uwierzyć.

— Matko! zostawmy umarłych w pokoju, nie kłóćmy ich pamięci, mówiłem drżącym głosem.

— Niech każdy pracuje życiem, by na dobrą pamięć zasłużyć, wyrzekła matka, której snadź nazbierało się goryczy przeciw tej, co była sprawczynią nieszczęść moich.

— Ciociu, Kazimierz ma słuszność; przebaczyć trzeba tym, co przeciwko nam zawinili.

Na te słowa wymówione półgłosem, obejrzałem się przerażony: Anielka stała za mną z tą samą kredową bladością na twarzy, z tymże samym wyrazem badawczym słuchała rozmowy naszej, i po raz drugi spuściłem wzrok przed nią pokonany jej przeczystym duchem, po raz drugi nie znalazłem słów odpowiedzi.

Więc widok jej sam stawał się dla mnie męczarnią. Błogosławiłem codzienne troski życia, które odrywały mnie od niej; pilno mi było ujść przed jej spojrzeniem: zdawało mi się widzieć pomiędzy nami groźny cień zamordowanej, zagradzający mi drogę do szczęścia. A jednak położenie to trwać nie mogło: trzeba mi było wyjść z niego jakimbądź kosztem, wyznać jej wszystko lub wprawniej kłamać; ale jedno jak drugie zarówno było mi niepodobne. Czułem, że choćby nawet wola jej i serce przebaczyły mi, odepchnie mnie jej sumienie; ja zawsze dla niej pozostałbym zbrodniarzem, tak samo jak i we własnem przekonaniu.

Anielka nie należała do rzędu heroin, które prawa namiętności stawiają po nad powszednie prawo, dla których miłość tłómaczy wszystko. Nie, to była natura przedziwej prostoty i czystości, nie zbałamucona żadnym sofizmatem, obdarzona w najwyższym stopniu tym moralnym zmysłem odróżniającym od razu złe od dobrego, prawdę od fałszu, pomimo wszystkich błyskotnych pozorów i świetnych rozumowań. Czyż mogłem uskarżać się na to, ja, com właśnie ukochał tę duchową stronę jej istoty? A jednak położenie obecne dłużej trwać nie mogło; ja mogłem cofać się przed stanowczą chwilą, ale nie było w naturze Anielki cofać się. Są podejrzenia tak straszne, tak zdaje się niepodobne, że chcemy pozbyć ich się jak złego snu czemprędzej.

Z taką myślą pewno ona szukała mnie dnia jednego w ogrodzie. Mrok zapadał, cudne blaski wieczoru grały na niebie; samotny, pożerany niepokojem, trapiony zgryzotą, siedziałem na ławce wśród rozkwitłych krzewów, gdy

ujrzałem jej postać zbliżającą się do mnie. Na widok jej serce moje uderzyło gwałtownie; chciałbym był ujść przed jej wzrokiem, a przecież miłość moja silniejsza była niż wszystko, i po raz pierwszy wyciągnąłem drżące ramiona, by objąć i przycisnąć do piersi tę najdroższą istotę.

— Anielko! zawołałem zwyciężony namiętnością, zapominając o wszystkiem, teraz nic już nie stoi pomiędzy nami, teraz moją w końcu będę cię mógł nazwać.

Ale ona cofnęła się przed uściskiem moim i wlepiła we mnie oczy głębokie, z takim wyrazem, jakby patrzała na mnie po raz pierwszy lub ostatni w życiu. Usta jej poruszyły się, lecz nie wydały głosu, jakby ten zamarł jej w piersi.

Spuściłem głowę i machinalnie przeciągnąłem ręką po czole; zdawało mi się, że ona na niem czyta znak zbrodni i potępienia mego.

— Kazimierzu! wyrzekła w końcu Anielka tak cicho, jakby lękała się, by nie podsłuchały jej liście drzew ani gwiazd promienie: Kazimierzu, powiedz mi, że to nie ty...

Mogłem spodziewać się tych słów, a jednak uderzyły mnie jakby gromem. Ona stała trwożna, pochylona naprzód, podnosząc ku mnie ręce złożone błagalnie; cała postawa jej, wzrok, głos i słowa prosiły o zaprzeczenie.

— Anielko! zawołałem, zkąd ci ta myśl?

— Powiedz mi, żeś nie ty... powtórzyła tylko zaledwie słyszalnym głosem.

— Anielko! Anielko! czemu o to pytasz?

— Powiedz mi, żeś nie ty ją zabił, wyrzekła ze wzrastającą mocą.

Domagała się odpowiedzi, miała do niej prawo; uczułem, że jej nie zbędę półsłowem, na wyznanie zabrakło mi odwagi, w jej pytaniu była wątpliwość jeszcze.

— Boże! zawołałem nieprzytomny prawie: Boże, miej litość nademną!

— Powiedz, żeś nie ty... powiedz to jedno słowo! Czyż nie widzisz, że konam czekając na nie?

Mrok nocny zakrywał mi zmianę jej twarzy, ale głos był ostry, syczący, urywany, przeraził mnie brzmieniem swojem. Nie znalazłem już odpowiedzi. Ona zrozumiała milczenie moje, nie mogła się na niem omylić, z rozpaczą załamała ręce gwałtownie, a z piersi jej wydobył się jęk stłumiony a straszny, jakby w tej chwili serce jej pękło. Minutę jeszcze stała na miejscu jak skamieniała; spoglądałem na nią z rozpaczą i przerażeniem, czekając słowa z jej ust, które miało być wyrokiem moim, ale nie wyrzekła go, pochyliła głowę na piersi i zachwiała się. Martwą prawie pochwyciłem w ramiona; obronić mi się nie mogła. Uczułem tylko krew gorącą płynącą z jej ust, uczułem jej głowę zwieszoną bezwiednie na mojej piersi i serce bijące słabo a nierówno.

Byłem podwójnie mordercą: zabiłem to, com nienawidził, i to, com ukochał, a jakkolwiek straszna była wina moja, zadośćuczynienie straszniejsze było jeszcze.

*

* *

I cóż powiem więcej o smutnej przeszłości mojej? Mamże opisywać cierpliwe, powolne konanie Anielki? mamże opisywać uczucia moje? Są cierpienia, dla których braknie słów w ludzkiej mowie. Idąc za trumną tej przeczystej ofiary, uznać musiałem karzącą mnie sprawiedliwość.

Spełniłem zbrodnię, — poznałem, żem powinien odpokutować, pozostałem na ziemi samotny, z rozdartą piersią, z szemrzącem sumieniem, ze strasznemi pamiątkami. Miałem matkę, miałem syna: nie wolno mi było myśleć o sobie.

Odtąd życie moje snuło się zaklęte w kole obowiązków, ponure jak pokuta; odtąd wlokę je czekając końca, nieprzydatny nikomu. Matka umarła na rękach moich; Staś wyrósł na człowieka, o własnej sile idzie przez życie. Jam był zapewne złym i szkodliwym; a jednak gdy bezstronnie spoglądam w przeszłość, czuję, żem nie był zrodzony na zbrodniarza, i nie wiem co było większe, cierpienia czy winy moje?

K O N I E C.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Waleria Marrené](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Mąż Leonory

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wieralee
- Alenutka
- Salicyna
- Arekowy
- Anagram16
- Himiltruda
- Nawider
- Fallaner
- Mudbringer
- Airam57
- Matlin
- Sp5uhe
- Ency
- Wikisource-bot
- Vearthy

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium